

# DZIEŁA

## ADAMA MICKIEWICZA

-----

III

BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. 1082



*No. 2*

LWÓW

PARYŻ

Gubrynowicz & Schmidt

Księgarnia Luksemburska

1885

*20 rozprawy  
Paryż*

# WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	zlr. ct.
Astr. Pierwszy romantyk, powieść . . . . .	2 60
<b>BIBLIOTEKA POLSKA.</b> Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw. . . . .	2 30
T. I II. Krasinski Z. Pisma. Wydanie z przedmowa Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski B. Poezye. Wydanie przejrzone przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzone przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz J. Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra A. Małeckiego. XVII. — XIX. El...y, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX. — XXII. Małcki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybicki, Pamiętniki. — XXIV. — XXV. Mickiewicz A. Dzieła. V, VI. — XXVI — XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencya, 3 t. — XXIX. — XXXI. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII. — XXXIII. Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV. — XXXVII. Romanowski M., Pisma, 4 t. — XXXVIII. — XXXIX. Słowacki J. Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. Słowacki J. Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie drugie znacznie pomnożone.	
Bronikowski, Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVII. w. 2 t.	4 20
Chłędowski J. Sylwetki spółeczne . . . . .	2 40
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie . . . . .	3 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom . . . . .	3 —
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarchy. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobléty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy. . . . .	5 60
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya. . . . .	— 60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie . . . . .	2 80
Jeź J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej . . . . .	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich Wspomnienia 1808—1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy . . . . .	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly . . . . .	1 20
— Dwaj Krzemieńczykowie. Wizerunki literackie, 2 tomy . . . . .	3 60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye, każda po . . . . .	3 40
— Jerzy Osoliński, 2 tomy . . . . .	6 80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy. . . . .	6 40
Lisak X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki . . . . .	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemleńskiego. . . . .	2 80
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimierzy w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683. . . . .	2 80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825 . . . . .	1 80
Monumenta historiae polonicae. Pomniki dziejowe Polski. Wydanie nakład Akad. Umiejęt. tom III. 12 zlr., tom IV. 14 zlr.	
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu . . . . .	2 20
Pamiętnik. Jamy polskiej z XVIII wieku . . . . .	1 80
Przyborowski W. Rubin Wezyrski. Powieść . . . . .	1 30
— Księżniczka z Minsterbergu . . . . .	1 50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy . . . . .	2 40
Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy. . . . .	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść . . . . .	2 40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z ilustracyami . . . . .	5 40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy . . . . .	4 20
— Medytacye kawalerskie . . . . .	2 40
Wilkońska P. Na teraz, powieść. . . . .	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Byberyi . . . . .	2 60
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy . . . . .	2 60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus . . . . .	3 20

*destygnacja*

DZIEŁA

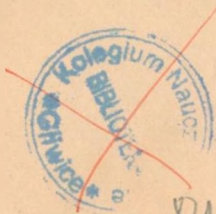
ADAMA MICKIEWICZA

III



**SN** 21658

~~~~~  
*Prawo własności co do układu niniejszej edycji zastrzegają sobie wydawcy.*  
~~~~~



82.162.1-1



# PAN TADEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.



*Shic*

*P.Tad*

~~*1082*~~

*8-1*

*O czém tu dumać na paryżskim bruku,\*  
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,  
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,  
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów? . . .*

*Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy  
Łkliwe nieśli za granicę głowy!  
Bo gdzie stąpili, szła za nimi trwoga,  
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga;  
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha,  
I każą oddać co najprędzej ducha.*

*A gdy na żale ten świat niema ucha,  
Gdy ich co chwila nowina przeraża,  
Bijąca z Polski jako dzwon cmentarza,  
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,  
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze,  
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą . . .  
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,*

---

\* Wiersz powyższy, z rękopisów Mickiewicza, miał stanowić przedmowę do „Pana Tadeusza”. Napisany był w roku 1834. Sam poeta zaczął pisać w zimie 1832 roku, a skończył go, wliczając w to dłuższe przerwy czasu, w lutym 1834 roku.

Ze utraciwszy rozum w mękach długich,  
 Plwają na siebie i żrą jedni drugich!

\* \* \*

Chciałem pominąć, ptak małego lotu,  
 Pominąć strefy ulewy i grzmotu,  
 I szukać tylko cienia i pogody:  
 Wieki dzieciństwa, domowe zagrody. . .

Jedyne szczęście: kto w szarej godzinie,  
 Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie,  
 Drzwi od Europy zamykał hałasów,  
 Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów.  
 I dumał, marzył o swojej krainie. . .

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,  
 O łzach, którymi płynie Polska cała,  
 O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała:  
 O nich pomyśleć nie mieliśmy duszy! . . .  
 Bo naród bywa na takiej katuszy,  
 Że, kiedy zwróci wzrok ku jego męce,  
 Nawet odwaga załamuje ręce. . .

\* \* \*

Te pokolenia żałobami czarne,  
 Powietrze tyłą kłatwami ciężarne,  
 Tam, myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów  
 W sferę okropną nawet ptakom grzmotów: . . .

O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie  
Złożona... Niemasz sił mówić o tobie?...

Ach! czyjeż usta śmiać pochlebiać sobie,  
Ze znajdą dzisiaj to czarowne słowo,  
Które rozczuli rozpacz marmurową,  
Które z serc wieko podejmie kamienne,  
Rozwiąże oczy, tylą łez brzemienne?...

Kiedys... gdy zemsty lwie przechuczą ryki,  
Przebrzmi głos trąby, przełamia się szyki,  
Gdy orły nasze lotem błyskawicy  
Spadną u dawniej Chrobrego granicy,  
Giał się najedzą, krwią całe opłyną,  
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwina;  
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,  
Umilknie, światu swobodę obwieści:  
Wtenczas... dębowym liściem uwieńczeni,  
Rzuciwszy miecze, siedą rozbrojeni  
Rycerze nasi, słuchać o przeszłości;  
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami,  
I wtenczas łza ta ich lica nie splami...

✓ Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości,  
W całej przeszłości i w całej przyszłości,  
✓ Jedna już tylko dziś kraina taka,  
W której jest trochę szczęścia dla Polaka:



✓ Kraj lat dziecińczych!... On zawsze zostanie  
 Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,  
 Niezaburzony błędów przypomnieniem,  
 Niepodkopany nadziei złudzeniem,  
 Ani zmieniony wypadków strumieniem.

\* \* \*

Te kraje radbym myślami powitał,  
 Gdzie rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał:  
 Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie  
 Biegł, jak po łące, a znał tylko kwiecie  
 Miłe i piękne, jadowite rzucił,  
 Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,  
 Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny:  
 Jakże tam wszystko do nas należało,  
 Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:  
 Od lipy, która koroną wspaniała  
 Gałęj wsi dzieciom używała cienia,  
 Aż do każdego strumienia, kamienia,  
 Jak każdy kącik ziemi był znajomy  
 Aż po granicę, po sąsiadów domy!

A jeśli czasem i Moskał się zjawił,  
 Tyle nam tylko pamiątki zostawił,  
 Że był w błyszczącym i pięknym mundurze:  
 Bo węża tylko znaleźmy po skórze...

I tylko krajów tych obywatele  
 Jedni zostali wierni przyjaciele,  
 Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni!  
 Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,  
 Sąsiedzi dobrzy!... Kogo z nich ubyło,  
 Jakże tam o nim czule się mówiło!  
 Nie pamiętek, jaka żałość długa,  
 Tam, gdzie do pana przywiązany sługa,  
 Niż w innych krajach małżonka do męża;  
 Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,  
 Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze  
 I dłużej, niż tu lud po bohaterze...

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie,  
 I do pieśni rzucali mi słowo po słowie:  
 Jak bajeczne żorawie na dzikim ostrowie,  
 Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną  
 I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,  
 Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:  
 On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...

\* \* \*

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,  
 Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy;  
 Żeby wieśniaczki kręcąc kołowrotki,  
 Gdy odśpiewają ulubione zwrotki:  
 O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,  
 Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła;

O tej sierocie, co piękna jak zorze,  
 Zaganiać ptastwo szła w wieczornej porze ;  
 Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki,  
 Te księgi proste jako ich piosenki !...

Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie,  
 Czytano nieraz pod lipą na trawie,  
 Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie ;  
 A przy stoliku drewnianym pan włodarz,  
 Albo ekonom, lub nawet gospodarz,  
 Nie bronił czytać, i sam słuchać raczył,  
 I młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczył,  
 Chwalił piękności, a błędom wybaczył.

I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,  
 Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu,  
 I którym droższy niż laur Kapitolu:  
 Wianek rękami wieśniaczki usnuty,  
 Z modrych bławatków i zielonej ruty...

# PAN TADEUSZ.

## KSIEGA I. GOSPODARSTWO.

Powrót panicza. — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu. — Ważna Sędziego nauka o grzeczności. — Podkomorzego uwagi polityczne nad modami. — Początek sporu o Kusego i Sokola. — Żale Wojskiego. — Ostatni woźny trybunału. — Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.

Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie  
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej święcisz Bramie! Ty, co gród zanikowy  
Nowogródzki, ochraniasz z jego wiernym ludem!  
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem —  
(Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę  
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,  
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu  
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu).  
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!...  
Tymczasem, przenoś moję duszę utęsknioną,  
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;  
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłacanych przenicą, posrebrzanych żytem;  
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała  
Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała,  
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą  
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,  
 Na pogórku niewielkim, we brzozowym gaju,  
 Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;  
 Świćciły się zdaleka pobielane ściany,  
 Tém bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
 Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.  
 Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,  
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi  
 Użątka, co pod strzechą zmieścić się nie może.  
 Widać, że okolica obfita we zboże,  
 I widać z liczby kopiec, co wzdłuż i wszérz smugów  
 Świćcą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów  
 Orzących wczesnie łany ogromne ugoru,  
 Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,  
 Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:  
 Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.  
 Brama na wściąg otwarta przechodniom ogłasza,  
 Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,  
 I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek.  
 Wysiadł z powozu; konie porzucone same,  
 Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.  
 We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto  
 Zaszczépkami, i kolkiem zaszczéпки przetknięto.  
 Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,  
 Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.  
 Dawno domu nie widział; bo w dalekiem mieście  
 Kończył nauki, końca doczekał nareście.  
 Wbiega, i okiem chciwie ściany starodawne  
 Ogląda czule, jako swe znajome dawne.  
 Też same widzi sprzęty, też same obicia,  
 Z którymi się zabawiać lubił od powicia,  
 Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.  
 I też same portrety na ścianach wisiały:  
 Tu Kościuszkó w czamarce krakowskiej, z oczyma  
 Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma;  
 Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,  
 Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,  
 Albo sam na nim padnie. Daléj, w polskiej szacie



Siedzi Rejtan, żaloszny po wolności stracie;  
 W rękę trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,  
 A przed nim leży Fedon i żywot Katona.  
 Daléj Jasiński, młodzian piękny i posepny;  
 Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny:  
 Stoją na szanćach Pragi, na stosach Moskali,  
 Siekąc wrogów, a Praga już się wkolo pali.  
 Nawet stary, stojący zegar kurantowy  
 W drewnianéj szafie, poznał, u wnijścia alkowy;  
 I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,  
 By stary Dąbrowskiego usłyszcć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,  
 Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.  
 Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice  
 Po ścianach: w téj komnacie mieszkanie kobiéce!  
 Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty;  
 A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.  
 To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepiano?  
 Na niém nóty i książki; wszystko porzucano  
 Niedbale i bezładnie: nieporządek miły!  
 Niestare były rączki, co je tak rzuciły.  
 Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta  
 Do ubrania, na krzesła poręczy rozpięta;  
 A na oknach donice z pachniącymi ziołki,  
 Geranium, lewkonja, astry i fijołki.  
 Podróżny stanął w jedném z okien; nowe dziwo:  
 W sadzie, na brzegu niegdys zarosłym pokrzywą,  
 Był malenki ogródek ścieżkami porznięty,  
 Pełen bukietów trawy angielskiéj i mięty.  
 Drewniany, drobny, w cyfrę powiazany płotek,  
 Połyskał się wstażkami jaskrawych stokrotek.  
 Grządkki widać że były świeżo polewane;  
 Tuż stało pełne wody naczynie blaszane,  
 Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki.  
 Tylko co wyszła: jeszcze kołyszą się drzwiczki  
 Świeżo tracone; blisko drzwi ślad widać nożki  
 Na piasku: bez trzewika była i pończoszki.  
 Na piasku drobnym, suchym, białym na kształt śniegu,  
 Ślad wyraźny, lecz lekki; odgadniesz, że w biegu

Chybkim, był zostawiony nóżkami drobnemi  
Od kogoś, co za ledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,  
Wonnymi powiewami kwiatów oddychając.  
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,  
Oczyma ciekawymi po drożynach gonił,  
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,  
Myślał o nich, i czyje były odgadywał.  
Przypadkiem oczy podniósł, i tuż na parkanie  
Stała młoda dziewczyna... Białe jój ubranie  
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
Odslaniając ramiona i łabędzią szyję.  
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,  
W takim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana:  
Więc choć świadka niemiała, założyła ręce  
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.  
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki białe  
Pokręcony, schowany w drobne strączki małe  
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku  
Świecił się jak korona na Świętych obrazku.  
Twarzy nie było widać. Zwrócona na pole  
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;  
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,  
Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie,  
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,  
I po desce opartej o ścianę komnaty,  
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,  
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.  
Nócać chwyciła suknię, biegła do zwierciadła:  
Wtém ujrzała młodzieńca, i z rąk jój wypadła  
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.  
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,  
Jak obłok, gdy z jutrzrenką napotka się ranną.  
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,  
Chciał coś mówić, przeproszać; tylko się uklonił  
I cofnął się. Dziewica krzyknęła boleśnie,  
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;  
Podróżny zląkł się, spojrział; lecz już jój nie było.  
Wyszedł zmieszany i czuł, że mu serce biło

Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć  
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,  
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.  
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano  
Jako w porządnym domu, i obrok i siano:  
Bo Sędzia nigdy nie chciał, według nowój mody,  
Odsyłać koni gości żydom do gospody.  
Słudzy nie wyszli witać; ale nie myśl wcale,  
Aby w domu Sędziego służono niedbale:  
Słudzy czekają, nim się pan Wojski ubierze,  
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.  
On pana zastępuje i on w niebytności  
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;  
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).  
Widząc gościa, na folwark dążył pokryjomu,  
Bo nie mógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie;  
Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie  
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,  
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce rozkrzyżował  
I z krzykiem podróznego ścisnął i całował.  
Zaczęła się ta prędką, zmieszana rozmowa,  
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa  
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,  
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.  
Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabał,   
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

„Dobrze, mój Tadeuszu“ (bo tak nazywano  
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano  
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził),  
„Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził  
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.  
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele:  
Jest z czego wybrać; u nas towarzystwo liczne,  
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,  
Dla skończenia dawnego z Panem Hrabią sporu.

I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;  
 Podkomorzy już zjechał z żoną i córkami.  
 Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,  
 A starzy i kobiety żniwo oglądają  
 Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.  
 Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy  
 Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy“.

Pan Wojski z Tadeuszem idą pod las drogą,  
 I jeszcze się dowoli nagadać nie mogą.  
 Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,  
 Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło,  
 Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze  
 Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze  
 Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty  
 Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty,  
 Napelniając wierzchołki i gałęzie drzewa,  
 Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;  
 I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,  
 Słońce nad nim czerwone jak pożar na dachu.  
 Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary  
 Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,  
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące  
 We zbożach, i grabiska suwane po łące,  
 Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe,  
 U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.  
 „Pan świata wie jak długo pracować potrzeba;  
 Słońce, Jego robotnik, kiedy znajdzie z nieba,  
 Czas i ziemianinowi ustępować z pola.“  
 Tak zwykł mawiać Pan Sędzia, a Sędziego wola  
 Była ekonomowi pocziwemu świętą;  
 Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto  
 Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły:  
 Cieszą się z niezwykajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,  
 Weszło, lecz w porządku. Naprzód dzieci małe  
 Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkomorzyną,  
 Obok Pan Podkomorzy otoczony rodziną;

Panny tuż za starszymi, a młodzież na boku;  
 Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku.  
 (Tak każe przyzwoitość). Nikt tam nie rozprawiał  
 O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał  
 A każdy mimowolnie porządku pilnował;  
 Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,  
 I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu  
 Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu.  
 „Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,  
 Z jego upadkiem domy i narody giną“.  
 Więc do porządku wykli domowi i służdy;  
 I przyjezdny gość, krewny, albo człowiek cudzy  
 Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,  
 Przyjmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego z synowcem witania:  
 Dał mu poważnie rękę do pocałowania,  
 I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;  
 A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mowił.  
 Widać było z łez, które wylotem kontusza  
 Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza, wszystko ze żniwa i z boru,  
 I z łąk i z pastwisk razem wracało do dworu.  
 Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy  
 I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy  
 Stado cielic tyrolskich z mosiężnymi dzwonki;  
 Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki:  
 Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa  
 Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,  
 Nie chybił gospodarskiej ważnej powinności:  
 Udał się sam ku studni. Najlepiej z wieczora  
 Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora.  
 Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy;  
 Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni  
 Stali i rozprawiali, nieco poróżnieni;



Bo w niebytność Wojskiego, Woźny pokryjomu  
 Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,  
 I ustawić co prędej w pośrodku zamczyska,  
 Którego widne były pod lasem zwaliska.  
 Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił  
 I przeproszał Sędziego, Sędzia się zadziwił,  
 Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić;  
 Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.  
 Po drodze Woźny ciągle Sędziem tłumaczył,  
 Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył:  
 We dworze, żadna izba niema obszerności  
 Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości;  
 W zamku, sień wielka, jeszcze dobrze zachowana,  
 Sklepienie całe; — awdzie pękła jedna ściana,  
 Okna bez szyb, iecz latem nic to nie zawadzi;  
 Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi...  
 Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,  
 Że miał i tań inne, ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,  
 Okazały budową, poważny ogromem,  
 Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków.  
 Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszeków;  
 Dobra, całe zniszczone sekwestrami rządu,  
 Beźładnością opieki, wyrokami sądu,  
 W części spadły dalekim krewnym po kądzieli,  
 A resztę rozdzielono między wierzycieli.  
 Zamku żaden wziąć nie chciał, bo w szlacheckim stanie  
 Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;  
 Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,  
 Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,  
 Przyjechawszy z wojażu, upodobał mury,  
 Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;  
 Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem,  
 Że architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem.  
 Dość że Hrabia chciał zamku. Właśnie i Sędziem  
 Przyszła na myśl taż chętka, nie wiadomo czemu.  
 Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,  
 W senacie, znowu w ziemstwie i guberskim rządzie;

Wreszcie, po wielu kosztach i ukazach licznych,  
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał, że w zamkowej sieni  
Zmieści się i palestra i goście proszeni.  
Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem  
Na filarach, — podłoga wysłana kamieniem,  
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;  
Sterczały w koło sarnie i jelenie rogi  
Z napisami, gdzie, kiedy te łupy zdobyte;  
Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte,  
I stoi wypisany każdy po imieniu;  
Herb Horeszków, Półkoziec, jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stał kołem.  
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;  
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
Idąc, kłaniał się damom, starcom i młodzieży.  
Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.  
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;  
Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,  
I chłodzic litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz, choć młodzik, ale prawem gościa  
Wysoko siadł przy damach obok jegomościa;  
Między nim i stryjaskiem jedno pozostało  
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.  
Stryj nieraz na to miejsce i na drzwi poglądał,  
Jakby czyjś przyjścia był pewny i żądał.  
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,  
I z nim na miejscu pustym oczy swe osadzał.  
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,  
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,  
Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna:  
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.  
To miejsce jest zagadką; młódz lubi zagadki.  
Roztargniony, do swojej nadobnej sąsiadki  
Ledwo słów kilka wyrzekł, do Podkomorzanki;  
Nie zmienia jój talerzów, nie nalewa szklanki,  
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,  
Z którychby wychowanie poznano stołeczne.

To jedno puste miejsce nęci go i mamii...  
 Już nie puste, bo on je napełnił myślami;  
 Po tém miejscu biegało domysłów tysiące,  
 Jako po dészczu żabki na samotnej łące;  
 Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę  
 Lilia jeziór, skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. Wtém Pan Podkomorzy,  
 Wlawszy kropelkę wina w szklanekę panny Roży,  
 A młodziej przysunawszy z talerzem ogórki,  
 Rzekł: „Muszę ja wam służyć, moje panny córki,  
 Choć stary i niezgrabny“. Zatém się rzuciło  
 Kilku młodych od stołu i pannom służyło.  
 Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza  
 I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,  
 Nalał węgryzna i rzekł: „Dziś, nowym zwyczajem,  
 My na naukę młodzież do stolicy dajem,  
 I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki  
 Mają od starych więcej książkowej nauki.  
 Ale codzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,  
 Że niéma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.  
 Dawniej, na dwory pańskie jechał szlachcic młody;  
 Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody,  
 Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,  
 (Mówiąc, Podkomorzemu ścisnął za kolana);  
 On mnie radą do usług publicznych sposobił,  
 Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił;  
 W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,  
 Codzień za duszę jego proszę Pana Boga.  
 Jeslim tyle na jego nie korzystał dworze  
 Jak drudzy, i wróciwszy, w domu ziemię orzę,  
 Gdy inni więcej godni Wojewody względów,  
 Doszli potém najwyższych krajowych urzędów:  
 Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu  
 Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu  
 W uczciwości, w grzeczności; a powiem to śmiało,  
 Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.  
 Nielatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą  
 Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;  
 Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka,

Ale nie staropolska, ani téż szlachecka.  
 Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;  
 Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,  
 I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i pana  
 Dla sług swoich; a w każdój jest pewna odmiana.  
 Trzeba się długo uczyć ażeby nie zbłądzić,  
 I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.  
 I starzy się uczyli: u panów rozmowa  
 Była to historya żyjąca krajowa,  
 A między szlachtą dzieje domowe powiatu.  
 Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,  
 Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;  
 Więc szlachcie obyczaj swe trzymał pod strażą.  
 Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?  
 Z kim on żył? co porabiał? Każdy gdzie chce wchodzi,  
 Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.  
 Jak ów Wespazyanus nie wachał pieniędzy,  
 I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów;  
 Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów;  
 Dość, że ważny i że się stępel na nim widzi...  
 Więc szanują przyjaciół, jak pieniądze żydzi“.

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;  
 Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,  
 Wiedział, że niecierpliwa młodzież terażniejsza,  
 Że ją nudzi rzecz długa, choć najwymowniejsza.  
 Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem.  
 Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem;  
 Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,  
 Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.  
 Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;  
 Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,  
 I dalej mówił: „Grzeczność nie jest rzeczą małą;  
 Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,  
 Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,  
 Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:  
 Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,  
 Musim kogoś posadzić na przeciwnój szali.  
 Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej  
 Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej;

Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,  
 Objasniają wrodzone wdzięki i przymioty.  
 Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy  
 Wspaniały domów sojusz — tak myśleli starzy.  
 A zatém...“ Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy  
 Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy:  
 Znać było, że przychodził już do wniosków mowy.

Wtém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy  
 I rzekł: „Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!  
 Teraz, niewiem, czy moda i nas starych zmienia,  
 Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorszenia.  
 Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny,  
 Piérwszy raz zawitała moda francuzczyzny!  
 Gdy raptem paniczyki obce z cudzych krajów  
 Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,  
 Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiare,  
 Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.  
 Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,  
 Gadających przez nosy, a często bez nosów,  
 Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,  
 Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.  
 Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza:  
 Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,  
 Odbiera naprzód rozum od obywateli.  
 I tak, mędrsi fircykom oprzecz się nie śmieli,  
 I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,  
 Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.  
 Krzyczano na modnisiów a brano z nich wzory;  
 Zmieniano wiare, mowę, prawa i ubiory:  
 Była to maskarada, zapustna swawola,  
 Po której miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,  
 Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,  
 Przyjechał Pan Podczaszyce na francuzkim wózku,  
 Piérwszy człowiek, co w Litwie chodził po francuzku.  
 Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem.  
 Zazdroszczono domowi, przed którego progiem  
 Stała Podczaszyca dwukolna dryndulka,



Która się po francuzku zwała karyulka:  
 Zamiast lokajów, w kielni siedzieli dwa pieski,  
 A na kozłach Niemczysko, chude naksztalt deski;  
 Nogi miał długie, cieńkie, jak od chmielu tyki,  
 W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki,  
 Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.  
 Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,  
 A chłopci żegnali się, mówiąc: że po świecie  
 Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie.  
 Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;  
 Dostyc, że się nam zdawał małpą lub papugą,  
 W wielkiej peruce, którą do złotego runa  
 On lubił porównywać, a my do kołtuna.  
 Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie  
 Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,  
 Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza  
 Kulturze — że tamuje progresy — że zdradza!  
 Taka była przesądów owoczesnych władza!

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,  
 Cywilizować będzie i konstytuować.  
 Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni  
 Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi...  
 Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,  
 I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.  
 Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!  
 Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,  
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,  
 Jeśli ich nie czytano w francuzkiej gazecie.  
 Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza.  
 Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,  
 A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.  
 Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,  
 Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;  
 Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,  
 Demokrata przyjechał z Paryża Baronem;  
 Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,  
 Z Barona przechrzcilby się kiedyś Demokratą.  
 Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,  
 A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

„Chwała Bogu, że teraz, jeśli nasza młodzież  
 Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,  
 Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,  
 Lub wymowy uczyć się w paryzkich kawiarniach.  
 Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,  
 Nie daje czasu szukać mody i gawędki.  
 Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,  
 Że znowu o Polakach tak na świecie głośno.  
 Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!  
 Zawszy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.  
 Tylko smutno, że nam, ach! tak się lata wleką  
 W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!  
 Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina!...  
 Ojcie Robaku (ciszej rzekł do Bernardyna),  
 Słyszałem, żeś z za Niemua odebrał wiadomość;  
 Może téż co o naszym wojsku wie Jegomość?“  
 — „Nie a nic“, odpowiedział Robak obojętnie;  
 (Widać było, że słuchał rozmowy niechętnie):  
 „Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy  
 Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy  
 Bernardyńskie: cóż o tém gadać u wieczerzy?  
 Są tu świeccy, do których nic to nie należy“.

Tak mówiąc, spojrział zézem, gdzie wśród biesiadników  
 Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków,  
 Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,  
 Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.  
 Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,  
 Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniósłszy głowę:  
 „Pan Podkomorzy! Oj, Wy! Pan zawsze ciekawy  
 O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!  
 He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a po polsku umiem;  
 Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!  
 Wy Polaki, ja Ruski: teraz się nie bijem,  
 Jest armistycyum, to my razem jemy, pijem.  
 Często na awanpostach nasz z Francuzem gada,  
 Pije wódkę; jak krzykną: ura! — kanonada.  
 Ruskie przysłowie: z kim się biję, tego lubię;  
 Gładź družkę jak po duszy, a bij jak po szubie.  
 Ja mówię: będzie wojna u nas. Do Majora

Płuta, adjutant sztabu przyjechał zawczora:  
 Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,  
 Czy na Francuza; oj, ten Bonapart figurka!  
 Bez Suwarowa to on może nas wytuza.  
 U nas w pułku gadano jak szli na Francuza,  
 Że Bonapart czarował: no tak i Suwarów  
 Czarował; tak i były czary przeciw czarów.  
 Raz w bitwie, gdzie podział się? — szukać Bonaparta,  
 A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta;  
 Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,  
 Dalej drzec pazurami, a Suwarów w kuca,  
 Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą...“  
 Tu Ryków przerwał i jadł; wtém, z potrawą czwartą  
 Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba, przystojna i młoda.  
 Jój zjawienie się nagle, jój wzrost i uroda,  
 Jój ubiór zwrócił oczy; wszyscy ją witali:  
 Prócz Tadeusza, widać, że ją wszyscy znali.  
 Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,  
 Suknię materyalną, różową, jedwabną,  
 Gors wycięty, kołnierzyk z koronek, rękawki  
 Krótkie; w rękę kręciła wachlarz dla zabawki  
 (Bo nie było gorąco); wachlarz pozłocisty  
 Powiewając, rozlewał dėszez iskier rzęsimy;  
 Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,  
 W pukle, i przeplatane różowymi wstęgi,  
 Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,  
 Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu:  
 Słowem, ubiór galowy; szeptali niejedni,  
 Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.  
 Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,  
 Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczej,  
 Jako osóbk, które na trzykrólskie święta  
 Przesuwają w jaselkach ukryte chłopięta.  
 Biegła, i wszystkich lekkim witając ukłonem,  
 Chciała usiąść na miejscu sobie zostawionem:  
 Trudno było; bo krzesel dla gości nie stało,  
 Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało.  
 Trzeba było rząd ruszyć, lub ławę przeskoczyć;

Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,  
 A potem, między rzędem siedzących i stołem,  
 Jak bilardowa kula toczyła się kołem.  
 W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;  
 Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana,  
 Pośliznęła się nieco, i w tém roztargnieniu  
 Na Pana Tadeusza wsparła się ramieniu.  
 Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła  
 Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła,  
 Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek  
 Kręciła, to kołnierzyk z brabantkich koronek  
 Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki  
 Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.  
 Tymczasem, w końcu stoła, naprzód ciche szmery,  
 A potem się zaczęły w półgłosie rozmowy;  
 Mężczyźni rozsądzały swe dzisiejsze łowy.  
 Asesora z Rejentem wzmogła się uparta  
 Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,  
 Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił  
 I utrzymywał, że on zajęcia pochwycił;  
 Asesor zaś dowodził na złość Rejentowi,  
 Że ta chwala należy chartu Sokołowi.  
 Pytano zdania innych; więc wszyscy do koła  
 Brali stronę Kusego albo téż Sokoła,  
 Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.  
 Sędzia na drugim końcu do nowój sąsiadki  
 Rzekł półgłosem: „Przepraszam, musieliśmy siadać,  
 Niepodobna wieczerzy na później odkładać:  
 Goście głodni, chodzili daleko na pole;  
 Myślałem, że dziś z nami nie będziesz przy stole“.  
 To rzekłszy, z Podkomorzym, przy pełnym kielichu,  
 O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,  
 Tadeusz przyglądał się nieznanój osobie.  
 Przypomniawszy, że za pierwszym na miejsce wejściem  
 Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.  
 Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie:

Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!  
 Więc było przeznaczono, by przy jego boku  
 Usiadła owa piękność, widziana w pomroku!  
 Wprawdzie, zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,  
 Bo ubrana, a ubiór powiększa i zmniejsza.  
 I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,  
 A u tej krucze, długie, zwijały się sploty?  
 Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,  
 Którymi przy zachodzie wszystko się czerwieni.  
 Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła  
 Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła:  
 Myślał, że pewnie miała czarniutkie oczęta,  
 Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;  
 U tej znalazł podobne oczy, usta, lica.  
 W wieku możeby była największa różnica:  
 Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,  
 A pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;  
 Lecz młodzież o piękności metrykę nie pyta,  
 Bo młodzieńcowi młoda jest każda kobieta,  
 Chłopcowi każda piękność zda się równienną,  
 A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz, chociaż liczył lat blisko dwadzieście,  
 I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście,  
 Miał za dozorcę księdza, który go pilnował,  
 I w dawniej surowości prawidłach wychował.  
 Tadeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne  
 Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;  
 Ale razem niemalą chętkę do swawoli.  
 Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli  
 Używać na wsi długo wzbronioną swobody;  
 Wiedział, że był przystojny, czuł się rzeźki, młody,  
 A w spadku po rodzicach wziął czérstwość i zdrowie,  
 Nazywał się Soplica: wszyscy Soplicowie  
 Są, jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,  
 Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził:  
 Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,  
 Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,



Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił;  
 On wolał z flinty strzelać, albo szabłą robić.  
 Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,  
 Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;  
 Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.  
 Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,  
 Kazał aby przyjechał i aby się żenił,  
 I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek  
 Dać małą wieś, a potem cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety  
 Sciągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.  
 Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,  
 Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,  
 I w twarz spojrzała, z której wytryskał rumieniec,  
 Ilekroć z jęj oczyma spotkał się młodzieniec:  
 Bo z pierwszej lekliwości całkiem już ochłonął,  
 I patrzył wzrokiem śmiałym, w którym ogień płonął.  
 Również patrzyła ona: i cztery źrenice  
 Gorzały przeciw sobie, jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francuzku zaczęła rozmowę.  
 Wracał z miasta, ze szkoły: więc o książki nowe,  
 O autorach pytała Tadeusza zdania,  
 I ze zdań wyciągała na nowo pytania.  
 Cóż, gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,  
 O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie,  
 Dowiodła, że zna równie pędzel, nóty, druki:  
 Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki!  
 Lękał się, by nie został pośmiewiska celem,  
 I jękał się jak żaczek przed nauczycielem.  
 Szczęściem, że nauczyciel ładny i nie srogi;  
 Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,  
 Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,  
 O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,  
 I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,  
 By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.  
 Tadeusz odpowiadał śmieliej, szła rzecz dalej,  
 W pół godziny już byli z sobą poufali;  
 Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.

W końcu, stawila przed nim trzy z chleba galeczki,  
 Trzy osoby na wybór: wziął najbliższą sobie;  
 Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,  
 Sąsiadka zaśmiała się, lecz nie powiedziała  
 Kogo owa szczęśliwsza galka oznaczała.

Inaczéj bawiono się w drugim końcu stola;  
 Bo tam, wzmóglszy się nagle, stronnicy Sokoła  
 Na partyą Kusego bez litości wsiedli.  
 Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli;  
 Stojąc i pijąc obie klóciły się strony,  
 A najstraszniej Pau Rejent był zacietrzewiony:  
 Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował,  
 I gestami ją bardzo dobitnie malował,  
 (Był dawniej adwokatem pan Rejent Bolesta,  
 Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta).  
 Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,  
 Z pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,  
 Przedstawiając dwie smycze chartów tym obrazem:  
 Właśnie rzecz kończył. „Wyczha! puściliśmy razem  
 Ja i Asesor, razem, jakoby dwa kurki  
 Jednym palcem spuszczone u jednéj dwururki;  
 Wyczha! poszli, a zając jak struna smyk! w pole,  
 Psy tuż (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole  
 I palcami ruch chartów przedziwnie udawał),  
 Psy tuż, i hec! od lasu odsadzili kawał.  
 Sokół smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,  
 Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec:  
 Wiedziałem że spudluje. Szarak, gracz nielada,  
 Czcha! niby prosto w pole, za nim psów gromada;  
 Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,  
 Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,  
 A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,  
 Psy za nim fajt na lewo: on w las, a mój Kusy  
 Cap!!“ Tak krzycząc, pan Rejent na stół pochylony,  
 Z palcami swymi zabiegł aż do drugiey strony,  
 I „cap!“ — Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem.  
 Tadeusz i sąsiadka, tym głosu wybuchem  
 Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,  
 Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy,

Jako wierzchołki drzewa powiązane spodem,  
Gdy je wichur rozerwie; i ręce pod stołem,  
Blisko siebie leżące, wstecz nagle uciekły,  
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz, by nie zdradzić swego roztargnienia:  
„Prawda, rzekł, mój Rejencie, prawda bez wątpienia,  
Kusy piękny chart z kształtu, jeśli równie chwytny...“  
— „Chwytny? krzyknął Pan Rejent — mój pies faworytny  
Żeby niemiał być chwytny?...“ Więc Tadeusz znowu  
Cieszył się, że tak piękny pies niema narowu,  
Żałował, że go tylko widział idąc z lasu  
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrzał Asesor, puścił z rąk kieliszek,  
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliiszek.  
Asesor mniej krzywliwy i mniej był ruchawy  
Od Rejenta, — szczuplejszy i mały z postawy,  
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,  
Bo powiadano o nim: ma żądło w języku;  
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,  
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:  
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniej człek dostatni,  
Schedę ojca swojego i majątek bratni,  
Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;  
Teraz wszedł w służbę rządu, by znaczyć w powiecie.  
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,  
Już to, że odgłos trąbki i widok oblawy  
Przypominał mu jego lata młodociane,  
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane:  
Teraz mu z całej psiarni dwa charty zostały,  
I jeszcze z tych jednemu chciano przeczyć chwały!  
Więc zbliżył się, i zwolna gładząc faworyty,  
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:  
„Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,  
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,  
A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?  
Zresztą, zdać się możemy na sąd pańskiej cici.  
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy,  
I bawi się niedawno w naszej okolicy,

Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:  
Tak to nauka sama z latami przychodzi.“

Tadeusz, na którego niespodzianie spadał  
Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic nie gadał,  
Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej...  
Wtém, wielkiém szczęściem, dwakroć kichnął Podkomorzy:  
„Wiwat!“ krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,  
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił.  
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,  
A w środku jój był portret Króla Stanisława;  
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,  
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował;  
Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać:  
Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.  
On rzekł: „Wielmożni Szlachta! Bracia Dobrodzieje!  
Forum myśliwskim tylko są łąki i knieje;  
Wiec ja w domu podobnych spraw nie decyduję,  
I posiedzenie nasze na jutro solwuję,  
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę.  
Woźny! odwołaj sprawę na jutro na pole.  
Jutro i Hrabia z całym myślistwem tu zjedzie,  
I waszeć z nami ruszysz, Sędzio mój sąsiedzie,  
I Pani Telimena i Panny i Panie,  
Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;  
I Wojski towarzystwa nam też nie odmowi.“  
To mówiąc, tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,  
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,  
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,  
Bo nikt lepiej od niego nie znał polowania.  
On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył  
W palcach, i długo dumał, nim ją w końcu zażył;  
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,  
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:  
„O, jak mnie to starego i smuci i dziwi!  
Cóżby to o tém starzy mówili myśliwi,  
Widząc, że w tyłu szlachty, w tyłu panów gronie,  
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?”

Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?  
 Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!  
 Coby rzekł Wojewoda Niesiołowski stary,  
 Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,  
 I dwieście strzelców trzyma obyczajem pańskim,  
 I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim,  
 A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,  
 Nikt go na polowanie uprosić nie może,  
 Białopiotrowiczowi samemu odmówił!  
 Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?  
 Piękna byłaby sława, ażeby Pan taki,  
 Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraki!  
 Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,  
 Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlache-  
 A zwierzę niemające klów, rogów, pazurów, [ckiém,  
 Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;  
 Żaden Pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki  
 Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!  
 Trzymano wprawdzie charty, bo z łowów wracając,  
 Trafia się, że z pod konia mknie się biédak zając;  
 Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,  
 I na konikach małe goniły panicze  
 Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie  
 Ledwie raczyli widzieć, cóż klócić się o nie!  
 Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy  
 Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,  
 Że nie mogę na takie jechać polowanie,  
 I nigdy na niém noga moja nie postanie!  
 Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,  
 Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha.“

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,  
 Wstano od stołu. Pierwszy Podkomorzy ruszył:  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc, kłaniał się damom, starcom i młodzieży;  
 Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,  
 Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,  
 Tadeusz Telimienie, Asesor Krajczance,  
 A Pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.



Tadeusz z kilku gośćmi poszedł do stodoły,  
 A czuł się pomieszany, zły i niewesoły.  
 Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki:  
 Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki;  
 A szczególnież mu słowo „ciocia“ koło ucha  
 Brzęczało ciągle, jako naprzykrzona mucha.  
 Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać  
 O pani Telimienie, lecz go nie mógł schwytać;  
 Wojskiego też nie widział; bo zaraz z wieczerzy,  
 Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,  
 Urządzając we dworze izby do spoczynku.  
 Starsi i damy spały we dworskim budynku;  
 Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano  
 W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W pół godziny tak było głucho w całym dworze,  
 Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;  
 Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.  
 Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu nie zmruża:  
 Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę  
 W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.  
 Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumienym,  
 Pisarzom, ochmistrzyńni, strzelcom i stajennym,  
 I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać.  
 Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.  
 Woźny pas mu odwiązał, pas słucki, pas lity,  
 Przy którym świecą gęste kutasy jak kity:  
 Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,  
 Na wywrót jedwab czarny posrębrzany w kraty;  
 Pas taki można równie kłaść na strony obie,  
 Złotą na dzień galowy a czarną w żałobie.  
 Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;  
 Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:

„Cóż złego, że przeniosłem stoly do zamczyska?  
 Nikt na tém nic nie stracił, a pan może zyska.  
 Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa:  
 My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,  
 I mimo całą strony przeciwnę zajadłość,  
 Dowiodę, że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.

Wszakże, kto gości prosi w zamek na wieczerzę,  
 Dowodzi, że posiadłość tam ma, albo bierze;  
 Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:  
 Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.“

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,  
 Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,  
 Która mu jak Oltarzyk Złoty zawsze służy,  
 Któręj nigdy nie rzuca w domu i w podróży.  
 Była to trybunalska wokanda: tam rzędem  
 Stały spisane sprawy, które przed urzędem  
 Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,  
 Albo o których później dowiedzieć się zdołał.  
 Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem;  
 Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.  
 Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,  
 Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,  
 Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojc z Rodultowskim,  
 Obuchowicz z Kahalem, Juraha z Piotrowskim,  
 Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia  
 Z Soplicą; i czytając, z tych imion wywabia  
 Pamięć spraw wielkich, wszystkie procesu wypadki,  
 I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;  
 I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,  
 W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,  
 Jedną ręką na szabli a drugą do stoła,  
 Przywoławszy dwie strony: „Uciszcie się!“ wola.  
 Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomalu  
 Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata,  
 Śród cichęj wsi litewskiej, kiedy reszta świata  
 We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,  
 Otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,  
 Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,  
 Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych,  
 Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,  
 W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabor  
 Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,  
 Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu

Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów  
 Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,  
 Które broniły Litwę murami żelaza  
 Przed wieścią, dla Rossyi straszną jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba,  
 Spadała w Litwę. Nieraz dziad zebrzący chleba,  
 Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę  
 Stał, i oczy wkoło obracał ostróżne.  
 Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,  
 Ani jarmulek, ani czerwonych kołnierzy,  
 Wtenczas kim był, wyznawał: był legionistą,  
 Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,  
 Którój już bronić nie mógł... — Jak go wtenczas cała  
 Rodzina pańska, jak go czeladka ścisła,  
 Zanosząc się do płaczu! On za stołem siadał,  
 I dziwniejsze od baśni historye gadał.  
 On opowiadał, jako Jenerał Dąbrowski,  
 Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski;  
 Jak on rodaków zbiera na lombardzkim polu;  
 Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu,  
 I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów  
 Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;  
 Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,  
 Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie  
 Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju  
 Tam wódz murzyny gromi a wzdycha do kraju.  
 Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;  
 Chłopiec co je posłyszał, znikął nagle z domu,  
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,  
 Ścigany od Moskali, skazał kryć się w Niemnie,  
 I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,  
 Gdzie usłyszał głos miły: „Witaj nam kolego!“  
 Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia,  
 I Moskalom przez Niemen rzekł: „Do zobaczenia!“  
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,  
 Piotrowski, Obolcowski, Różycki, Janowicz,  
 Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,  
 Kopść, Gedymin i inni, których nie policzę:

Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,  
I dobra, które na skarb carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru  
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał panów dworu,  
Gazetę im pokazał, wyprutą z szkaplerza.  
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,  
I nazwisko każdego wodza legionu,  
I każdego z nich opis zwycięstwa lub zgonu.  
Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina  
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna:  
Brał dom żalobę, ale powiedzieć nie śmiano  
Po kim była żaloba; tylko zgadywano  
W okolicy, i tylko cichy smutek panów,  
Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:  
Często on z Panem Sędzią rozmawiał osobno;  
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina  
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać Bernardyna  
Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze  
Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.  
Miał on nad prawym uchem, nieco wyżej skroni,  
Bliznę wyciętej skóry na szerokość dłoni,  
I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;  
Ran tych nie dostał pewnie przy czytaniu mszału.  
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,  
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wniesionymi zwracał się rękami  
Od ołtarza do ludu, by mówić: „Pan z wami!“  
To nieraz tak się zręcznie skręcił jednym razem,  
Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,  
I słowa liturgii takim wyrzekł tonem  
Do ludu, jak oficer stojąc przed szwadronem:  
Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy.  
Spraw także politycznych był Robak świadomszy  
Niżli żywotów Świętych; a jeżdżąc po kweście,  
Często się zastanawiał w powiatowym mieście.

Miał pełno interesów: to listy odbierał,  
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,  
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co,  
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą  
Do dworów pańskich; z szlachtą ustawicznie szeptał.  
I okoliczne wioski dokoła wydeptał,  
I w karczmie z wieśniakami rozprawiał niemało,  
A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.  
Teraz Sędziego, który już spał od godziny,  
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

---



## KSIEGA II

### ZAMEK.

Połowanie z chartami na upatrzonego. — Gość w zamku. — Ostatni z dworzan opowiada historią ostatniego z Horeszków. — Rzut oka w sad. — Dziewczyna w ogórkach. — Śniadanie. — Pani Telimeny anegdota petersburska. — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokola. — Interwencya Robaka. — Rzecz Wojskiego. — Zakład. — Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę,  
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole,  
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,  
Gdzie przestępując miedzę, nie poznasz, że cudza!  
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,  
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu:  
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku  
Wiele jest znaków, widnych strzeleckiemu oku;  
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha  
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szeptu mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,  
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;  
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,  
Również głęboko w niebie schowany skowronek;  
Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary  
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;  
Zaś jastrząb, pod jasnymi wiszący błękitny,  
Trzepie skrzydłem, jak motyl na szpilce przybity,  
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zajaca,  
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,  
 I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,  
 I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,  
 Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki,  
 Nie znać innych, prócz kosy i sierpa rynsztunków,  
 I innych gazet, oprócz domowych rachunków!...

Nad Soplicowem słońce weszło i już padło  
 Na strzechy, i przez szpary w stodołę się wkradło;  
 I po ciemnozieloném, świeżém, wonném sianie,  
 Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,  
 Rozpływały się złote, migające pręgi  
 Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;  
 I słońce usta sennych promykiem poranka  
 Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.  
 Już wróble skacząc, świerkać zaczęły pod strzechą;  
 Już trzykroć gęgnął gąsior, a za nim jak echo,  
 Odezwały się chórem kaczki i indyki,  
 I słyhać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież. Tadeusz jeszcze senny leży:  
 Bo też najpóźniej zasnął; z wczorajszej wieszery  
 Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu  
 Jeszcze oczu nie zmrużył, a na swém posłaniu  
 Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,  
 I spał twardo: aż zimny wiatr w oczy mu wionął,  
 Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto z trzaskiem,  
 I Bernardyn, ksiądz Robak, wszedł z węzlastym paskiem,  
 „Surge puer!“ wołając, i po nad barkami  
 Rubasnie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słyhać myśliwskie okrzyki;  
 Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,  
 Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie.  
 Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;  
 Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;  
 Widząc rumaki szczerwaczów, dojeżdżaczów smycze;  
 Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze;  
 Potém biegną i kładą szyje na obroże:

Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży.  
 Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.  
 Ruszyli szczerwacze zwolna, jeden tuż za drugim;  
 Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim.  
 W środku jechali obok Asesor z Rejentem;  
 A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,  
 Rozmawiali przyjaźnie, jak ludzie honoru,  
 Idąc na rozstrzygnięcie śmiertelnego sporu:  
 Nikt ze słów, zawziętości ich poznać nie zdoła;  
 Pan Rejent wiódł Kusego, Asesor Sokola.  
 Z tyłu damy w pojazdach; młodzieńcy, stronami  
 Cwałując tuż przy kołach, gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem,  
 Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem  
 Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,  
 Wreszcie kiwnął nań palcem. Tadeusz podjechał,  
 Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:  
 Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby,  
 Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczyć,  
 Bernardyn odpowiedzieć, ni spojrzeć nie raczył;  
 Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;  
 Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie wtenczas myśliwi smycze zatrzymali,  
 I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;  
 Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,  
 A wszyscy obrócili oczy do kamienia,  
 Nad którym stał pan Sędzia. On zwierza obaczył,  
 I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.  
 Pojeli wszyscy: stoją, a środkiem po roli  
 Asesor i Pan Rejent kłusują powoli.  
 Tadeusz, będąc bliższy, obudwu wyprzedził,  
 Stał obok Sędziego i oczyma śledził.  
 Dawno już nie był w polu; na szarzej przestrzeni  
 Trudno dojrzyć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.  
 Pokazał mu Pan Sędzia. Siedział biedny zając,  
 Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,  
 Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie,

I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,  
 Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka,  
 I pod opoką siedział martwy jak opoka.  
 Tymczasem kurz na roli rośnie coraz bliżej;  
 Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokół chyży,  
 Tuż Asesor z Rejentem razem wrzaśli z tyłu:  
 „Wyczha! wyczha!“ i z psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem  
 Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem.  
 Wiedziano w okolicy, że ten Pan nie może  
 Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze.  
 I dziś zaspiał poranek; więc na sługi zrzędził,  
 Widząc myśliwców w polu, cwałem do nich pędził.  
 Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,  
 Polami na wiatr puścił; z tyłu konno sługi,  
 W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśniących, małych,  
 W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych.  
 Sługi, które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,  
 Nazywają się w jego pałacu dżokeje.

Cwałująca czereda zleciała na błonia,  
 Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.  
 Pierwszy raz widział zamek zrana i nie wierzył,  
 Że to były też same mury; tak odświeżył  
 I upiękniał poranek zarysy budowy;  
 Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.  
 Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca  
 Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,  
 Pod nim błyszczala w kratkach reszta szyb wybitych,  
 Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;  
 Niższe piętra oblała tumanu powłoka,  
 Rozpadliny i szczyrby zakryła od oka.  
 Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany,  
 Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:  
 Przysiągłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną  
 Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykle i nowe,  
 Zwał je romansowymi; mawiał, że ma głowę

Romansową; w istocie był wielkim dziwakiem.  
 Nieraz, pędząc za lisem albo za szarakiem,  
 Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,  
 Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokości sośnie,  
 Często bez psa, bez strzelby, błakał się po gaju,  
 Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju  
 Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,  
 Jak czapla wszystkie ryby chcącą pożreć okiem.  
 Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,  
 Wszyscy mówili, że mu czegoś nie dostaje;  
 Szanowano go przecież, bo pan z prapradziadów,  
 Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów,  
 Nawet dla żydów.

Hrabski koń, zwrócony z drogi,  
 Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.  
 Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,  
 Wyjął papier, ołówek i kręślił figury.  
 Wtém, spojrzawszy w bok — ujrzał o dwadzieścia kroków  
 Człowieka, który równie miłośnik widoków,  
 Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,  
 Zdawało się, że liczył oczyma kamienie.  
 Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy  
 Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.  
 Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,  
 Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;  
 Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,  
 Marszczkami pooraną, posepną, surową.  
 Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości sływał;  
 Ale od bitwy, w której dziedzie zamku zginął,  
 Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu  
 Ani był na kiermaszu, ani na weselu;  
 Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano,  
 I uśmiechu na jego twarzy nie widziano.  
 Zawsze nosił Horeszków liberyą dawną:  
 Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,  
 Który dziś żółty, dawniej zapewne był złoty.  
 W koło szyte jedwabiem herbowe klejnoty,  
 Półkolicie: i stąd téż cała okolica  
 Półkolicem przeważa starego szlachcica.  
 Czasem téż od przysłowia, które bez ustanku



Powtarzał, nazywano go także Mopanku;  
 Czasem Szczerbem, że całą łysinę miał w szczerbach;  
 Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach  
 Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,  
 Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.  
 I dotąd nosił wielki pęk kluczków za pasem,  
 Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.  
 Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje  
 Stały otworem. Przecież wynalazł drzwi dwoje,  
 Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,  
 I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.  
 W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;  
 Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,  
 Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym.  
 Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,  
 I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił,  
 Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,  
 I naciętą od licznych kordów jak nasieka;  
 Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko  
 Skłoniwszy się, rzekł smutnie: „Mopanku, panisko,  
 Daruj mi, że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,  
 To jest mój zwyczaj, nie zaś nieusznanowanie:  
*Mopanku* powiadali wszyscy Horeszkowie,  
 Ostatni Stolnik, pan mój, miał takie przysłowie.  
 Czyż to prawda, Mopanku, że Pan grosza skąpisz  
 Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz?  
 Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.“  
 Tu poglądając w zamek, nie przestawał wdychać.

„Cóż dziwnego?“ rzekł Hrabia, „koszt wielki a nuda  
 Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlacheć maruda  
 Upiera się; przewidział, że mię znudzić może:  
 Dłużej téż nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,  
 Przyjmę warunki zgody, jakie mi sąd poda.“  
 „Zgody? krzyknął Gerwazy: z Soplicami zgoda?  
 Z Soplicami, Mopanku?!“ — To mówiąc wykrzywił  
 Usta, jakby nad własną mową się zadziwił. —

„Zgoda i Soplicowie! Mopanku, panisko,  
Pan żartuje, co? Zamek, Horeszków siedlisko,  
Ma pójść w ręce Sopliców? Niech Pan tylko raczy  
Zsiąść z konia. Pójdźmy w zamek. Niechno Pan obaczy.  
Pan sam nie wie co robi. Niech się Pan nie wzbrania,  
Zsiadaj Pan“... I przytrzymał strzemień do zsiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:  
„Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,  
Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze.  
Pan godził spory włościan, lub w dobrym humorze,  
Gościom różne ciekawe historye prawił,  
Albo ich powieściami i żarty się bawił,  
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,  
Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty“.

Weszli w sien. Rzekł Gerwazy: „W téj ogromnej sieni  
Brukowanej, nie znajdziesz pan tyle kamieni,  
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;  
Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach,  
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,  
Albo na imieniny pańskie, lub na łowy.  
Podczas uczy, na chórze tym kapela stała,  
I w organ i w rozliczne instrumenty grała;  
A gdy wnoszono zdrowie, trąby, jak w dniu sądnym  
Grzmiały z chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym:  
Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,  
Potém Prymasa, potém królowej Jejmości,  
Potém Szlachty i całej Rzeczypospolitej,  
A nakoniec po piątój szklanicy wypitej,  
Wnoszono: Kochajmy się! Wiwat bez przestanku,  
Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku:  
A już gotowe stały cugi i podwody,  
Aby każdego odwieźć do jego gospody“.

Przeszli już kilka komnat, Gerwazy w milczeniu,  
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,  
Przywołując pamiątkę tu smutną, tam miłą;  
Czasem, jakby chciał mówić: „wszystko się skończyło“,

Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką.  
 Widać, że mu wspomnienie samo było męką,  
 I że je chciał odpędzić. Aż się zatrzymali  
 Na górze, w wielkiej, niegdyś zwierciadlanej sali.  
 Dziś, wydartych zwierciadeł stały puste ramy,  
 Okna bez szyb, z krążgankiem wprost naprzeciw bramy.  
 Tu wszedłszy, starzec głowę zadumaną skłonił,  
 I twarz zakrył rękami; a gdy ją odsłonił,  
 Miała wyraz żałości wielkiej i rozpaczy.  
 Hrabia, chociaż nie wiedział co to wszystko znaczy,  
 Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,  
 Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,  
 Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą:  
 „Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą  
 I krwią Horeszków; w Panu krew Horeszków płynie,  
 Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczyńie,  
 Która się rodzi z drugiej córki Kasztelana,  
 Który był, jak wiadomo, wujem mego pana.  
 Słuchaj Pan historyi swęj własnej rodzinnej,  
 Która się stała właśnie w tęg izbie, nie innej.

„Nieboszczyk pan mój, Stolnik, pierwszy Pan w powiecie,  
 Bogacz i familiant, miał jedyne dziecię,  
 Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało  
 Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.  
 Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,  
 Klótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda  
 Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,  
 Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,  
 I trzystu ich kréskami rządził wedle woli,  
 Choć sam nic nie posiadał prócz kawalka roli,  
 Szabli i wielkich wąsów od ucha do ucha.  
 Owóż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha,  
 I ugaszczal w pałacu zwłaszcza w czas sejmików,  
 Popularny dla jego krewnych i stronników.  
 Wąsał tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,  
 Że mu się uroiło zostać pańskim zięciem.  
 Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,  
 W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł,  
 I już miał się oświadczać: lecz pomiarkowano,

I czarną mu polewkę do stołu podano.  
 Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,  
 Ale przed rodzicami tała głęboko.

„Było to za Kościuszki czasów; pan popierał  
 Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,  
 Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy:  
 Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy.  
 Ledwie był czas z moździerza na trwozę wypalić,  
 Podwoje dolne zamknąć i rygłem zawalić.  
 W zamku całym był tyko: Pan Stolnik, ja, Pani,  
 Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,  
 Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali.  
 Więc za strzelby, do okien. Aż tu tłum Moskali,  
 Krzycząc: ura! od bramy wali po tarasie;  
 My im ze strzelb dziesięciu palnęli „a zasię!“  
 Nie tam nie było widać; słudzy bez ustanku  
 Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.  
 Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze:  
 Dwadzieścia strzelb leżało tu, na téj podłodze;  
 Wyrzuciliśmy jedną, podawano drugą.  
 Książd proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,  
 I pani i panienska i nadworne panny:  
 Trzech było strzelców, a szedł ogień nieustanny.  
 Grad kul sypały z dołu moskiewskie piechury;  
 My z rzadka, ale celniej dogrzewali z góry.  
 Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,  
 Ale za każdym razem trzech nogi zadarło.

Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.  
 Pan Stolnik, wesół, wyszedł ze strzelbą na ganek,  
 I skoro z pod lamusa Moskal leb wychylił,  
 On dawał zaraz ognia, a nigdy nie mylił;  
 Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,  
 I już się rzadko który z za ściany wykradał.  
 Stolnik, widząc strwożone swe nieprzyjaciele.  
 Myślał zrobić wycieczkę, porwał karabelę,  
 I z ganku krzycząc, sługom wydawał rozkazy;  
 Obróciwszy się do mnie, rzekł: „Za mną Gerwazy!“

Wtém strzelono z pod bramy... Stolnik się zająknął,  
 Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął;  
 Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same.  
 Pan słaniając się, palcem ukazał na bramę:  
 Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!  
 Po wroście i po wąsach! Jego to postrzałem  
 Zginał Stolnik, widziałem! Łotr, jeszcze do góry  
 Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!  
 Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!  
 Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały  
 Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył...  
 Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzałem, — Pan nie żył“.

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał;  
 Potém rzekł kończąc: „Moskal już wrota wywalał;  
 Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,  
 I nie widziałem co się działo w okolo mnie.  
 Szczęściem, na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz,  
 Przywiódłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,  
 Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w czleka,  
 A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

„Tak zginał pan potężny, pobożny i prawy,  
 Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,  
 Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie  
 Syna, któryby zemstę poprzysiął na grobie!  
 Ale miał sługi wierne. Ja w krew jego rany  
 Obmoczyłem mój rapiér, scyzorykiem zwany,  
 (Zapewne pan o moim słyisał scyzoryku,  
 Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku),  
 Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach;  
 Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;  
 Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;  
 Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,  
 Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze:  
 Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę,  
 Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,  
 Który dotąd odemnie pamiątki nie dostał:  
 Rodzoniutki braciszek owego wąsala,  
 Żyje dotąd i z swoich bogactw się przechwala,



Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,  
 Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sedzią!  
 I pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi  
 Mają krew pana mego zetrzeć z téj podłogi?  
 O nie! Póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,  
 I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy,  
 Scyzoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie,  
 Póty Sopllica tego zamku nie dostanie!“

— „O! — krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry —  
 Dobrze miałem przecucie, zem lubił te mury!  
 Choć nie wiedziałem, że w nich taki skarb się mieści,  
 Tyle scen dramatycznych i tyle powieści!  
 Skoro zamek mych przodków Sopllicom zagrabie,  
 Ciebie osadzę w murach jak mego burgrabie;  
 Twoja powieść, Gerwazy, zajęła mię mocno.  
 Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;  
 Udrapowany płaszczem, siadłbym na ruinach,  
 A ty byś mi o krwawych rozpowiadał czynach.  
 Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania!  
 Nieraz takie słyszałem i czytam podania;  
 W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,  
 W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów.  
 W każdéj dawnéj, szlachtetnéj, potężnéj rodzinie,  
 Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,  
 Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:  
*Nie wiedzą cudzoziemcy, że i nasze kraje*  
*Ucywilizowane miały obyczaje\**  
 Ucywilizowane miały obyczaje.  
 Czuję, że we mnie mężnych krew Horeszków płynie,  
 Wiem, co winienem sławie i mojej rodzinie;  
 Tak! muszę zerwać wszelkie z Sopllicą układy;  
 Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!  
 Honor każe... Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,  
 A Gerwazy szedł z tyłu w milczeniu głębokiem.  
 Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,  
 Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,  
 Tak samotną rozmowę kończąc roztargniony:

\* Tych dwóch wierszy niéma w pierwotnych wydaniach «Pana Tadeusza».  
 (P. W.)

„Szkoła, że ten Soplica stary niema żony,  
 Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki!  
 Kochając i nie mogąc otrzymać jęj ręki  
 Nowa by się w powieści zrobiła zawilość:  
 Tu serce, tam powinność — tu zemsta, tam miłość!“

Tak szepcąc spiał ostrogi; koń leciał do dworu,  
 Gdy z drugięj strony strzelcy wyjeżdżali z boru.  
 Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,  
 Zapomniawszy o wszystkiem, prosto ku nim skoczył,  
 Mijając bramę, ogród, płoty — gdy w zawrocie  
 Obejrzał się i konia zatrzymał przy płocie;  
 Był sad.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,  
 Ocieniały szerokie pole; spodem grzędę :  
 Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,  
 Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;  
 Tam, płacząc strąki w marchwi zielonęj warkoczu,  
 Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;  
 Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza;  
 Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,  
 Który od swęj łodygi aż w daleką stronę  
 Wtoczył się jak gość, między buraki czerwone.

Grzędę rozcięte miedzą. Na każdym przykopie  
 Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie —  
 Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;  
 Ich liście i woń służą grzędom za obronę,  
 Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,  
 A ich woń gąsienice i owad zabija.  
 Dalej maków białawe górują badyle;  
 Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle,  
 Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni  
 Z rozmaitością tęczy blask drogięch kamieni:  
 Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę mami.  
 W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,  
 Kragły solencznik, licem wielkiem, gorejącem,  
 Od wschdu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, dlegie, wypukłe pagórki,  
 Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogróki.

Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,  
 Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.  
 Pośrodku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,  
 W majowej zieloności tonąc po kolana;  
 Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stapać,  
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.  
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,  
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe  
 I kilka pukłów światłych, rozwitych warkoczy;  
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,  
 Prawą rękę podniosła niby do chwytania,  
 Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania  
 Bawiące się z jój nóżką, tak ona co chwila  
 Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,  
 Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia, zachwycony tak cudnym widokiem,  
 Stał cicho. Słyszac tętent towarzyszków w dali,  
 Ręką dał znak, ażeby wstrzymać konie; stali.  
 On patrzył z wyciągniętą szyją, jak dziobaty  
 Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty,  
 Stojąc na jednej nodze, z czujnymi oczyma,  
 I by nie zasnąć, kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;  
 Był to Bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni  
 Podniesione do góry węzłowate sznurki:  
 „Ogórków chcesz Waśc, krzyknął, oto masz ogórki!  
 Wara panie od szkody; na tutejszój grzędzie  
 Nie dla waszeci owoc; nic z tego nie będzie...“  
 Potém palcem pogroził, kaptura poprawił,  
 I odszedł. Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,  
 Śmiejąc się i klnąc razem téj nagłej przeszkodzie.  
 Okiem powrócił w ogród: ale już w ogrodzie  
 Nie było jój; mignęła tylko śród okienka  
 Jój różowa wstążeczka i biała sukienka.  
 Widać na grzędach, jaką przeleciała drogą;  
 Bo liś zielony, w biegu potracony nogą,  
 Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,  
 Jak woda, którą ptaszek skrzydłami rozkroił.

A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony  
Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,  
Pogubiwszy owoce na liściach zawisał  
I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho.  
Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho;  
Zawsze dumal, a strzelcy zawsze nieruchomie  
Za nim stali. Aż w cichym i samotnym domie  
Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoly,  
Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.  
Był to znak, że wracali goście z polowania,  
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż, po wszystkich izbach panował ruch wielki:  
Roznoszono potrawy, sztucce i butelki.  
Mężczyzni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach,  
Z talerzami, z szklankami, chodząc po pokojach  
Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,  
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach.  
Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku  
Panny szeptały z sobą; nie było porządku,  
Jaki się przy obiadach i wieczerszach chowa;  
Była to w staropolskim domu moda nowa:  
Przy śniadaniach, Pan Sędzia, choć nie rad, pozwalał  
Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:  
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,  
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,  
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,  
I z porcelany saskiej złote filiżanki;  
Przy każdej garnuszczyk mały do śmietanki.  
Takię kawy, jak w Polsce, niema w żadnym kraju:  
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,  
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,  
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta,  
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,  
I zna tajne sposoby gotowania trunku,  
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,

Zapach moki i gęstość miodowego płynu.  
 Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;  
 Na wsi nie trudno o nią: bo kawiarka z rana  
 Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,  
 I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie  
 Do każdój filiżanki w osobny garnuszek,  
 Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę;  
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę,  
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,  
 W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:  
 Półgęski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru,  
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym  
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;  
 W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie:  
 Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:  
 Starszyna przy stoliku małym zgromadzona,  
 Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,  
 O nowych, coraz sroższych ukazach cesarskich;  
 Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski  
 Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.  
 Panna Wojska, włożywszy okulary sine,  
 Zabawiała kabałą z kart Podkomorzynę.  
 W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,  
 W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach.  
 Bo Asesor i Rejent, oba mówcy wieley.  
 Pierwsi znawcy myśliwstwa i najlepsi strzelcy,  
 Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni.  
 Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni  
 Zwycięstwa swoich chartów: gdy pośród równiny  
 Znalazł się zagon chłopskiej niezżętej jarzyny;  
 Tam wpadł zając, już Kusy, już go Sokół imał,  
 Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał.  
 Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie;  
 Psy powróciły same: i nikt pewnie nie wie,



Czy zwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć nie zdoła  
 Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,  
 Czyli obudwu razem: różnie sądzą strony,  
 I spór na dalsze czasy trwał nierozstrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,  
 Po obu stronach oczy roztargnione wodził,  
 Nie mieszał się w myśliwych ni w starców rozmowę,  
 I widać, że czém inném zajętą miał głowę;  
 Nosił skórzaną plackę; czasem w miejscu stanie,  
 Duma długo i — muchę zabije na ścianie.

Tadeusz z Telimeną, pomiędzy izbami  
 Stojąc we drzwiach, na progu, rozmawiali sami.  
 Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,  
 Więc szeptali. Tadeusz teraz się dowiedział:  
 Że ciocia Telimena jest bogata pani,  
 Że nie są kanonicznie z sobą powiązani  
 Zbyt bliskiem pokrewieństwem, i nawet niepewno,  
 Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,  
 Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice  
 Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę;  
 Że potem ona żyjąc w stolicy czas długi,  
 Wyrządziła niezmierne Sędziemu usługi;  
 Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem  
 Lubił, może z próżności, nazywać się bratem,  
 Czego mu Telimena przez przyjaźń nie wzbrania.  
 Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.  
 Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;  
 A wszystko to się stało w jednej, krótkiej chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Asesora,  
 Rzekł Rejent mimojazdem: „Ja mówiłem wczora,  
 Że polowanie nasze udać się nie może:  
 Jeszcze zbyt wczesnie, jeszcze na pniu stoi zboże,  
 I mnóstwo sznurów chłopskiej, niezjętej jarzyny;  
 Stąd i Hrabia nie przybył mimo zaprosiny.  
 Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,  
 Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;  
 Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,

I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa  
 Polować, tak jak u nas, bez żadnego względu  
 Na artykuły ustaw, przepisy urzędu,  
 Nie szanując niczyich kopców ani miedzy,  
 Jeździć po cudzym gruncie bez dziedzica wiedzy;  
 Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,  
 Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,  
 Albo cierpieć, iż kotną samicę zajęczą  
 Charty w runi uszczują, a raczej zamęcżą,  
 Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,  
 Że cywilizacya większa u Moskali;  
 Bo tam o polowaniu są ukazy cara  
 I dozór policyi i na winnych kara.“

Telimena, ku lewej izbie obrócona,  
 Wachlując batystową chusteczką ramiona:  
 „Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się nie myli.  
 Znam ja dobrze Rossyą. Państwo nie wierzyli,  
 Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów  
 Godna pochwały czujność i srogość urzędów.  
 Byłam ja w Petersburku, nie raz, nie dwa razy!  
 Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!  
 Co za miasto! Nikt z panów nie był w Petersburku?  
 Chcecie może plan widzieć? Mam plan miasta w biurku...  
 Latem, świat petersburski zwykł mieszkać na daczy,  
 To jest w pałacach wiejskich, (dacza wioskę znaczy).  
 Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,  
 Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,  
 Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:  
 Ach co to był za domek! Plan mam dotąd w biurku...  
 Otóż, na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie  
 Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;  
 Trzymał kilkoro chartów: co to za męczarnie,  
 Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie!  
 Ilekroć z książką wyszłam sobie do ogrodu,  
 Użyć księżycy blasku, wieczornego chłodu:  
 Zaraz i pies przyleciał i kręcił ogonem,  
 I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.  
 Nieraz się nalekałam. Serce mi wróżyło  
 Z tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło.

Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,  
 Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka  
 Bonończyka! Ach, była to roszkowna psina!  
 Miałam ją w podarunku od księcia Sukina  
 Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka,  
 Mam jój portrecik... tylko nie chcę iść do biurka...  
 Widząc ją zadławioną, w wielkiej alteracyi  
 Dostałem mdłości, spazmów, serca palpitacyi.  
 Możeby gorzej jeszcze z mojem zdrowiem było;  
 Szczęściem, nadjechał właśnie z wizytą Kiryło  
 Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu.  
 Pyta się o przyczynę tak złego humoru;  
 Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;  
 Staje poblady, drżący i prawie bez duszy.  
 — Jak śmieiesz, krzyknął Kiryło piorunowym głosem,  
 Szczęść wiosną łanię kotną tuż pod carskim nosem? —  
 Oslupiały czynownik darmo się zaklinał,  
 Że polowania dotąd jeszcze nie zaczynał,  
 Że z Wielkiego Łowczego wielkiem pozwoleniem,  
 Zwierz uszczuty zda mu się być psem, nie jeleniem.  
 — Jakto? krzyknął Kiryło, to śmiałbyś hultaju,  
 Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju  
 Niżli ja, Kozodusin, carski Jegermajster?  
 Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster! —  
 Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo.  
 — Ja, rzecze Kozodusin, wydaję świadectwo,  
 Że to łania; on plecie, że to pies domowy:  
 Rozsądź nas, kto zna lepiej zwierzynę i łowy! —  
 Policmajster powinność służby swój rozumiał;  
 Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,  
 I odwiódłszy na stronę, po bratersku radził,  
 By przyznał się do winy i tém grzech swój zgładził.  
 Łowczy udobruchany przyrzekł, że się wstawi  
 Do Cesarza, i wyrok nieco ulaskawi.  
 Skończyło się, że charty poszły na powrozy,  
 A czynownik na cztery tygodnie do kozy.  
 Zabawiła nas cały wieczór ta pustota;  
 Zrobiła się nazajutrz z tego anegdota,  
 Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się:  
 I nawet, wiem z pewnością, że sam Cesarz śmiał się.“

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem  
 Grał w maryasza, i właśnie z wyświęconém winem  
 Miał coś ważnego zadać: już ksiądz ledwo dyszał,  
 Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał,  
 I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,  
 I z kartą podniesioną, do bicia gotową,  
 Siedział cicho i tylko Bernardyna trwożył.  
 Aż gdy skończono powieść, pamfila położył,  
 I rzekł śmiejąc się: „Niech tam sobie kto chce chwali  
 Niemców cywilizacyą, porządek Moskali;  
 Niechaj Wielkopoleanie uczą się do Szwabów  
 Prawować się o lisa i przyzywać drabów,  
 By wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;  
 Na Litwie, chwała Bogu stare obyczaje:  
 Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,  
 I nie będziemy nigdy o to robić śledztwa;  
 I zboża mamy dosyć, psy nas nie ogłodzą,  
 Że po jarzynach albo po życie pochodzą:  
 Na morgach chłopskich broń robić polowanie.“

Ekonom z lewej izby rzekł: „Nie dziw Mospanie,  
 Bo też pan drogo płaci za taką zwierzynę.  
 Chłopi i radzi temu, kiedy w ich jarzynę  
 Wskoczy chart; niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta:  
 To pan mu kopę oddasz, i jeszcze nie kwita,  
 Często chłopi talara w przydatku dostali.  
 Wierz mi pan, że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,  
 Jeśli...“ — Reszty dowodów pana ekonomy  
 Nie mógł usłyszeć Sędzia: bo pomiędzy dwoma  
 Rozprawami, wszczęło się dziesięć rozgovorów,  
 Anegdot, opowiadań i nakoniec sporów.

Tadeusz z Telimeńą całkiem zapomniani,  
 Pamiętali o sobie. — Rada była Pani,  
 Że jój dowcip tak bardzo Tadeusza bawil;  
 Młodzieniec jój nawzajem komplementy prawil.  
 Telimena mówiła coraz wolniej, ciszej,  
 I Tadeusz udawał że jój nie dosłyszcy  
 W tłumie rozmów: więc szepcąc tak zbliżył się do niej,

Że uczul twarzą lubą gorącość jój skroni;  
 Wstrzymując oddech, usty chwytal jój westchnienie,  
 I okiem łowił wszystkie jój wzroku promienie.

Wtém pomiędzy ich usta mignęła znienacka  
 Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi  
 Gatunek much osobny, zwanych szlacheckiem.  
 Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,  
 Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych,  
 Latając bardzo huczą i nieznośnie brzęczą,  
 A tak silne, że tkankę przebija pajęczą;  
 Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,  
 Bo z pajakiem sam na sam może się borykać.  
 Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził,  
 Że się z tych much szlacheckich pomniejszy lud rodził,  
 Że one tém są muchom, czém dla roju matki,  
 Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.  
 Prawda, że ochmistrzyni, ani pleban wioski,  
 Nie uwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski  
 I trzymali inaczej o naszym rodzaju;  
 Lecz Wojski nie odstąpił dawnego zwyczajaju:  
 Ledwo dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.  
 Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił;  
 Po dwakroć Wojski machnął, ździwił się że chybił,  
 Trzeci raz machnął, tylko co okna nie wybił:  
 Aż mucha odurzona od tyła łoskotu,  
 Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,  
 Rzuciła się z rozpaczą pomiędzy ich lica;  
 I tam za nią mignęła Wojskiego prawica.  
 Raz tak był tęgi, że dwie odskooczyły głowy,  
 Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy:  
 Uderzyły się mocno oboje w uszaki,  
 Tak, że obojgu sine zostały się znaki.

Szczęściem nikt nie uważał, bo dotychczasowa  
 Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa  
 Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu;  
 Jak strzelcy, gdy na lisa zaciągną do lasu,



Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni granie:  
 A wtém, dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,  
 Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,  
 Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy;  
 Tak dzieje się z rozmową: zwolna się pomyka,  
 Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.  
 Dzikiem rozmów strzeleckich był ów spór zażarty  
 Rejenta z Aseşorem o sławne ich charty.  
 Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;  
 Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,  
 Ze wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części:  
 Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali,  
 I tocząc się przezedrzwi naksztalt bystrój fali,  
 Unieśli młodą parę stojącą na progu,  
 Podobną Janusowi, dwulicemu bogu.

Tadeusz z Telimeną nim na skroniach włosy  
 Poprawili, już groźne ucichły odgłosy.  
 Szmer zmieszany ze śmiechem śród ciżby się szerzył;  
 Nastąpił rozejm klótni, kwestarz ją uśmierzył:  
 Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.  
 Właśnie kiedy Asesor podbiegł do jurysty,  
 Gdy już sobie giestami grozili szermierze,  
 On raptem porwał obu z tyłu za kołnierze,  
 I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne  
 Jedną o drugą, jako jaja wielkanocne,  
 Rozkrzyżował ramiona na kształt drogoskazu  
 I we dwa kąty izby rzucił ich od razu.  
 Chwilę z rozciągnionymi stał w miejscu rękami,  
 I „Pax, Pax, Pax” vobiscum! krzyczał, pokój z wami!”

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie.  
 Przez szacunek, należny duchownej osobie,  
 Nie śmiano łajać mnicha, a po takiej probie  
 Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę.  
 Zaś kwestarz Robak, skoro uciszył gromadę,  
 Widać było, że wcale tryumfu nie szukał,  
 Ani groził klótnikom więcój, ani fukał:

Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem  
Zatknąwszy, wyszedł cicho z pokoju.

Tymczasem

Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony  
Plac zajęli. Pan Wojski, jakby przebudzony  
Z głębokiego dumania, w środku się postawił,  
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił,  
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą,  
I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,  
Tam uciszając machał swą placką ze skóry;  
Wreszcie podniósłszy trzonek z powagą do góry,  
Jak łaskę marszałkowską, nakazał milczenie:

„Uciszcie się! powtarzał; miejcie téż baczenie,  
Wy, co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,  
Z gorszącój kłótni waszój co będzie? czy wiecie?  
Oto, młodzieź, na której Ojczyzny nadzieje,  
Która ma wslawiać nasze ostępy i knieje,  
Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,  
Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy,  
Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,  
Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady!  
Miejcie téż wzgląd powinny dla mych włosów siwych;  
Bo znałem większych dawniej niżli wy myśliwych,  
A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.  
Któż był w lasach litewskich Rejtanowi równym?  
Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się z zwierzem,  
Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?  
Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,  
Co kulą z pistoletu w biegu trafiał kota?  
Terajewicza znałem, co idąc na dziki  
Nie brał nigdy innego oręża prócz piki;  
Budrewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy:  
Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!  
Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?  
Oto, obrali sędziów i zakład stawili.  
Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka;  
Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!  
I wy, panowie, pójdźcie za starych przykładem,  
I rozstrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.

Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca;  
 Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zajaca.  
 Więc polubownych sędziów najpierw obierzcie,  
 A co wyrzekną, temu sumiennie zawiercie.  
 Ja uproszę Sędziego, ażeby nie bronił  
 Dojeżdżaczowi, choćby po prznicy gonił,  
 I tuszę, że tę łaskę otrzymam od Pana“.  
 To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

— „Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem,  
 I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,  
 Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę“.  
 — „Ja, rzekł Asesor, stawię me złote obroże,  
 Jaszczurem wykładane z kółkami ze złota,  
 I smycz tkany, jedwabny, którego robota  
 Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.  
 Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,  
 Jeślibym się ożenił: ten sprzęt mnie darował  
 Książę Dominik, kiedym z nim razem polował  
 I z Marszałkiem Sanguszką księciem, z Jenerałem  
 Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwalem.  
 Tam, bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,  
 Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.  
 Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiem błoniu;  
 Książę Radziwiłł nie mógł dosiedzieć na koniu:  
 Zsiadł, i objąwszy sławną mą charcicę Kanię,  
 Trzykroć jój w samą głowę dał pocałowanie,  
 A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,  
 Rzekł: — Mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku. —  
 Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa  
 Od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa“.

Telimena znudzona zbyt długimi swary,  
 Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary;  
 Wzięła koszyczek z kołka: „Panowie, jak widzę,  
 Chcecie zostać w pokoju; ja idę na rydze:  
 Kto łaska, proszę za mną“. Rzekła, koło głowy  
 Obwijając czerwony szal kaszemirowy:  
 Córceczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,  
 A drugą podchyliła do kostek sukienkę.  
 Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pospieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył;  
Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,  
A więc krzyknął: „Panowie, po grzyby do boru!  
Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,  
Ten obok najpiękniejszej panienki usiedzie:  
Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,  
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama“.

---

## KSIEGA III.

### UMIZGI.

Wyprawa Hrabi na sad. — Tajemnicza nimfa gęsi pasie. — Podobieństwo grzybobrania do przechadzki cieniów elizejskich. — Gatunki grzybów. — Telimena w świątyni dumania. — Narady dotyczące się postanowienia Tadeusza. — Hrabia pejzażysta. — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami. — Hrabiego myśli o sztuce. — Dzwon. — Bilecik. — Niedźwiedź Mospaniel

Hrabia wracał do siebie, lecz konia wstrzymywał,  
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał,  
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka  
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,  
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,  
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,  
Pomiędzy zielonymi świeciło ogrórki:  
Jako promień słoneczny, wykradłszy się z chmurki,  
Kiedy wśród roli padnie na krzemienia skibę,  
Lub wśród zielonej łąki w drobną wody szybę,  
*Odbijając się od niej naksztalt lampy gore,*  
*Tak oświecała biała sukienka rozorę.\**

Hrabia zsiadł z konia, sługi odprawił do domu,  
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu.  
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,  
I wcisnął się pocichu, jak wilk do obory.  
Nieszczęściem, trącił krzaki suchego agrestu:  
Ogrodniczka, jak gdyby zlekła się szelestu,  
Oglądała się wkoło, lecz nic nie spostrzegła;  
Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.

\* Tych dwóch wierszy nieznajdujemy ani w wydaniu z 1834 r. ani w następnych, dokonanych za życia autora. (P. W.)



A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,  
 Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,  
 Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blisko,  
 Wytknął głowę i ujrzał cudne widowisko:

W tej części sadu, rosły tu i ówdzie wiśnie,  
 Śród nich zboże w gatunkach zmieszanych umyślnie:  
 Przenica, kukuruza, bób, jęczmień wąsaty,  
 Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.  
 Domowemu to ptastwu, taki ochmistrzynie  
 Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,  
 Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowiczówna.  
 Jój wynalazek epokę stanowi  
 W domowym gospodarstwie; dziś powszechnie znany,  
 Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,  
 Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,  
 Nim go wydał kalendarz pod tytułem: *Sposób  
 Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek  
 Wychowywania drobiu* — był to ów ogródek.

Jakoż, zaledwie kogut, co odprawia warty,  
 Stanie i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,  
 I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,  
 Aby tém łatwiej w niebo mógł celować okiem,  
 Dostrzeże wiszącego jastrzębia śród chmury,  
 Krzyknie: — zaraz w ten ogród chowają się kury,  
 Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestraszu  
 Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego nie widziano wroga,  
 Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,  
 Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku;  
 Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Śród ptaszyczych głów sterczały główki ludzkie małe,  
 Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;  
 Szyje nagie do ramion; a pomiędzy niemi  
 Dziewczyzna głową wyższą, z włosami dłuższemi.  
 Tuż za dziećmi paw' siedział i piór swych obręcze  
 Szeroko rozprzestrzenił w różnobarwną tęczę,

Na której główki białe, jak na tle obrazku,  
 Rzucone w ciemny błękit nabięrały blasku,  
 Obrysowane wkoło kręgiem pawich oczu  
 Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu,  
 Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski,  
 I angielską trawicą posrebrzaną w paski,  
 I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,  
 Których kształty i barwy mieszały się razem,  
 Niby krata ze srebra i złota pleciona,  
 A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów  
 Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,  
 Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,  
 Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,  
 Gdy w powietrzu zawisną, zaledwo widome,  
 I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę  
 Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku;  
 Nią zdała się oganiać główki niemowlęce  
 Od złotego motylów deszczu. W drugiej ręce  
 Coś u niej rogatego, złocistego świeci,  
 Zdaje się, że naczynie do karmienia dzieci:  
 Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei;  
 Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę  
 Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,  
 Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony  
 Zbliżył się, czolgając się jak wąż przez zagony:  
 Aż wyskoczył z łopuchu. Spojrzała, — stał blisko,  
 O cztery grzędy od niej, i kłaniał się nisko.  
 Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,  
 I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,  
 I już lekkie jój stopy wionęły nad liściem,  
 Kiedy dzieci przelekłe podróznego wniściem  
 I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie.  
 Posłyszała, uczuła, że jest nieroztropnie  
 Działwę małą, przelekłą i samą porzucić:  
 Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,

Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem.  
 Przybiegła z najkrzykliwszém bawić się dziecięciem,  
 Siadła przy niém na ziemi, wzięła je na łono,  
 Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;  
 Aż się uspokoiły, objawszy w rączęta  
 Jój kolana i tuląc główki jak pisklęta  
 Pod skrzydło matki. Ona rzekła: „Czy to pięknie  
 Tak krzyzczyć? czy to grzecznie? Ten pan was się złąknie.  
 Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny,  
 To gość, dobry pan, patrzcie tylko jaki ładny“.

Sama spójrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,  
 I widocznie był wdzięczen jój za pochwał tyle;  
 Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,  
 I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny pan, słusznój urody,  
 Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,  
 Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;  
 Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,  
 Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,  
 Zieleniły się jako wieniec rozpleciony.

„O ty! rzekł, jakiémkolwiek uczczę cię imieniem,  
 Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!  
 Mów: własna-li cię wola na ziemię sprowadza,  
 Obca-li więzi ciebie na padole władza?  
 Ach! domyślam się: pewnie wzgardzony miłośnik,  
 Jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik  
 W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeżel  
 Godna, by o cię bronią walczyli rycerze,  
 Byś została romansów heroiną smutnych!  
 Odkryj mi, piękna, tajnie twych losów okrutnych:  
 Znajdziesz wybawiciela. Odtąd twém skinieniem,  
 Jak rządysz sercem mojem, tak rządź mém ramieniem“.  
 Wyciągnął ramię.

Ona, z rumieńcem dziewiczym,  
 Ale z rozweseloném słuchała obliczem.  
 Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe,  
 I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,

Nim rozezna ich wartość: tak się słuch jej pieści  
 Z dźwięcznymi słowy, których nie pojęła treści.  
 Nakoniec zapytała: „Skąd tu pan przychodzi?  
 I czego tu po grzędach szuka pan dobrodziej?”

Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,  
 Milczał; wreszcie zniżając swój rozmowy tony:  
 „Przepraszam, rzekł, panienko! Widzę żem pomieszał  
 Zabawy. Ach, przepraszam; jam właśnie pospieszał  
 Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć;  
 Panienska więc, że drogą trzeba wkoło krażyć,  
 Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościćj...“  
 Dziewczyna rzekła: „Tędy droga jegomości;  
 Tylko grząd psuć nie trzeba. Tam, między murawą  
 Ścieżka“. — „W lewo? zapytał Hrabia, czy na prawo?“  
 Ogrodniczka, podniósłszy błękitne oczęta,  
 Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:  
 Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,  
 A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej  
 Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu  
 Rozmowy. — „Panna mieszka tu? blisko ogrodu?  
 Czy na wsi? Jak to było, żem panny we dworze  
 Nie widział? czy niedawno tu? przyjezdna może?“  
 Dzięwcę wstrząsnęło głową. „Przepraszam panienko,  
 Czy nie tam pokój panny, gdzie owo okienko?“

Myślał zaś w duchu: jeśli nie jest heroiną  
 Romansów, jest młodziuchną, przesliczną dziewczyną.  
 Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta,  
 W samotności, jak róża wśród lasów rozkwita;  
 Dostyc ją wynieść na świat, postawić przed słońcem,  
 Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem...

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,  
 Podniosła jedno dziecię zwisle na ramieniu,  
 Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem  
 Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła: „Czy też pan nie może  
 Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?“

— „Ja ptastwo wpędzać?“ krzyknął Hrabia z zadziwieniem...  
 Ona tymczasem znikła, zakryta drzew cieniem.  
 Chwilę jeszcze z szpaleru, przez majowe zwoje,  
 Przeświétało coś na wskrós jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie.  
 Dusza jego, jak ziemia po słońca zachodzie,  
 Ostygła powoli, barwy brała ciemne;  
 Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.  
 Zbudził się, sam nie wiedząc na kogo się gniewał:  
 Niestety, mało znalazł, nadto się spodziewał!  
 Bo gdy zagonem pełznął ku owój pasterce,  
 Palilo mu się w głowie, skakało w nim serce:  
 Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,  
 W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!  
 Wszystko znalazł inaczej. Prawda, że twarz ładną,  
 Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną!  
 A owa pulchność liców i rumieńca żywość,  
 Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!  
 Znak, że myśl jeszcze drzémie, że serce nieczynne.  
 I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!  
 „Pocóż się ludzi? krzyknął, zgaduję po czasie:  
 Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!“

Z nimfy zniknięciem, całe czarowne przezrocze  
 Zmieniło się. Te wstęgi, te kraty urocze  
 Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanymi poglądał rękoma  
 Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,  
 Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.  
 Nie zapomniał naczynia: złocista konewka,  
 Ów rożek Amaltei, była to marchewka!  
 Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:  
 Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec, kiedy ujrzy cykoryi kwiaty,  
 Wabiące dłoń miękkimi, lekkimi bławaty,  
 Chce je pieścić; zbliża się, dmuchnie: i z podmuchem  
 Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,



A w ręku tylko widzi badacz zbyt ciekawy  
Nagą łodygę szaro-zielonawej trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz, i wracał  
Tamtędy, kędy przyszedł: ale drogę skracał,  
Stąpając po jarzynach, kwiatkach i agreście,  
Aż przeskoczywszy parkan, odetchnął nareście!  
Przypomniął, że dzieweczynie mówił o śniadaniu:  
Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu  
W ogrodzie, blisko domu? może szukać wysła?  
Postrzegli że uciekał? kto wie co pomyśla?  
Więc wypadło wrócić. Chyląc się u plotów,  
Okolo miedz i zielska, po tysiącach zwrotów  
Rad był przecież, że wyszedł w końcu na gościniec,  
Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.  
Szedł przy płocie, a głowę odwracał od sadu,  
Jak złodziej od śpichlerza, aby nie dać śladu  
Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.  
Tak Hrabia był ostrożny, choć go nikt nie śledził;  
Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

✓ Był gaj rzadka zarosły, wysłany murawą,  
Po jój kobiercach, na wskrós białych pniów brzozowych,  
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,  
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,  
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy  
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,  
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;  
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,  
Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem  
Obwiani, idąc na wiatr puszczają zasłony,  
Ciągające się za głową, jak komet ogony.  
Každy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,  
Tylko oczyma kręci na dół spuszczone mi;  
Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy  
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy:  
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony  
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.  
Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,  
Ani mówią do siebie, ani się witają,

Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.  
 Hrabia widział w nich obraz elizejskich cieni,  
 Które, chociaż boleściom, troskom niedostępne,  
 Błakają się spokojne, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,  
 Owi milczący ludzie, są nasi znajomi,  
 Sędziowscy towarzysze? Z hucznego śniadania  
 Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.  
 Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować  
 Mowy i ruchy swoje, aby je stosować  
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.  
 Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,  
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,  
 Służące do przechadzki opończe płócienne,  
 Którymi osłaniają po wierzchu kontusze,  
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze,  
 Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.  
 Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny  
 I kilku po francuzku chodzących.

Téj sceny

Hrabia nie pojął, nie znał wiejskiego zwyczaju:  
 Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,  
 Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,  
 Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada  
 I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.  
 Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*,  
 Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.  
 Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy,  
 I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,  
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennój pory,  
 Czy zimą. Ale Wojski zbierał *muchomorę*.

Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku  
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;  
 Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą  
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.  
 Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi  
 Naczyń stołowych sterczą: tu, z krągłymi brzegi

*Surojadki* srebrzyste, żółte i czerwone,  
 Niby czareczki różném winem napelnione;  
*Koźlak*, jak przewrócone kubka dno wypukłe;  
*Lejki*, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;  
*Bielaki* kragłe, białe, szerokie i płaskie,  
 Jakby mlékiem nalane filizanki saskie,  
 I kulista, czarniawym pyłkiem napelniona  
*Purchawka*, jak pieprzniczka; zaś innych imiona,  
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,  
 Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.  
 Ni wilczych, ni zajęczych, nikt dotknąć nie raczy;  
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój zobaczy,  
 Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie:  
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera.  
 Roztargniona, znudzona, dokola spoziera,  
 Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie  
 Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;  
 Asesor ją złośliwiej równał do samicy,  
 Która miéjsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy.  
 Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,  
 I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,  
 Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.  
 W środku szarzał się kamień; strumień z pod kamienia  
 Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia,  
 Chowal się między gęste i wysokie zioła,  
 Które wodą pojone bujały dokola;  
 Tam ów bystry swawolnik, spowijany w trawy  
 I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,  
 Niewidzialny i ledwie dosłyszany szeptem,  
 Jako dziecię krzykliwe złożone w kolebce,  
 Gdy matka nad niém zwiąże firanki majowe  
 I liścia makowego nasypie pod głowę.  
 Miéjsce piękne i ciche: tu się często schrania  
 Telimena, zowiąc je *Świątynią dumania*.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik  
 Z ramion, swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik;

I podobna pływaczce, która do kąpieli  
 Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,  
 Klęknęła i powoli schyliła się bokiem;  
 Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem  
 Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła.  
 Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,  
 Z głową na dół skłonioną; na dole, u głowy,  
 Błysnął francuzkiej książki papier welinowy;  
 Nad alabastrowymi stronicami księgi,  
 Wily się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym szalu  
 W sukni długiej, jak gdyby w powłoce koralu,  
 Od której odbijał się włos z jednego końca,  
 Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca  
 Śnieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,  
 Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,  
 Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

#### Niestety!

Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety  
 Darmo czekały znawców, nikt nie zważał na nie:  
 Tak mocno zajmowało wszystkich grzybobranie.  
 Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,  
 I nie śmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem.  
 Jak strzelec, gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,  
 Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,  
 Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,  
 Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,  
 Niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą,  
 A coraz się przybliży kędy ptaki siedzą:  
 Tak skradal się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał,  
 I przeciawszy mu drogę, do źródła pospieszał.  
 Z wiatrem igrały białe poły sarafana,  
 I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;  
 Słomiany, podwiązany kapelusz od ruchu  
 Nagłego, chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,  
 Spadając to na barki, to znowu na oczy;  
 W ręku ogromna laska: tak Pan Sędzia kroczy.

Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,  
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,  
I wsparłszy się oburącz na galkę słoniową  
Trzciny ogromnej, z taką ozwał się przemową:

„Widzi Aśka, od czasu jak tu u nas gości  
Tadeuszek, niemało mam niespokojności.  
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyzna,  
Wszak to moja na świecie pociecha jedyna,  
Przyszły dziedzie fortunki mojej. Z łaski nieba,  
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;  
Już mu też czas obmyślić los, postanowienie:  
Ale zważaj-no Aśka moje utrapienie!  
Wiiesz, że Pan Jacek, brat mój, Tadeusza ociec,  
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,  
Nie chce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje.  
Nawet nie chce synowi oznajmić, że żyje,  
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony  
Chciał go posyłać, byłem okropnie zmartwiony.  
Potem zgodził się przecie, by w domu pozostał  
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;  
Partyę upatrzyłem. Nikt z obywateli  
Nie wyrówna z imienia, ani z parenteli  
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna  
Jest na wydaniu, piękna i posażna panna;  
Chciałem zagaić...“ Na to Telimena zbladła,  
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

„Jak mamę kocham, rzekła, czy to panie bracie  
Jest w tém sens jaki? czy wy Boga w sereu macie?  
To myślisz Tadeusza zostać dobrodziejem,  
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem?  
Świat mu zawiązesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie:  
Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!  
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecię,  
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie.  
Dobrze brat robi, gdy go do stolicy wyśle,  
Naprzykład do Warszawy? Lub wieć brat, co myślę?...  
Żeby do Petersburka? Ja pewnie téj zimy  
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy,



Co zrobić z Tadeuszem. Znam tam wiele osób,  
 Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.  
 Za mą pomocą, znajdzie wstęp w najpiérwsze domy,  
 A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,  
 Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci  
 Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,  
 Mając już i znaczenie i znajomość świata.  
 I cóż brat myśli o tém? — „Juźci, w młode lata,  
 Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,  
 Obejrzeć się po świecie, między ludźmi przetrzeć;  
 Ja za młodu niemało świata objechałem:  
 Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem  
 Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy  
 Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.  
 Człek niemało skorzystał! Chciałbym i synowca  
 Wysłać pomiędzy ludzi, prosto jak wędrowca,  
 Jak czeladnika, który terminuje lata,  
 Ażeby nabył trochę znajomości świata.  
 Nie dla rang, ni orderów! Proszę uniżenie,  
 Ranga moskiewska, order: cóż to za znaczenie?  
 Któryż to z dawnych panów, ba nawet dzisiejszych,  
 Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,  
 Dba o podobne fraszki? Przecież są w estymie  
 U ludzi! bo szanujem w nich ród, dobre imię,  
 Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem  
 Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem“.

Telimena przerwała: „Jeśli brat tak myśli,  
 Tém lepij: więc go jako wojażera wyslij“.

„Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę,  
 Chciałbym bardzo: cóż, kiedy mam trudności nowe!  
 Pan Jacek nie wypuszcza z opieki swój syna,  
 I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna  
 Robaka, który przybył z tamtej strony Wisły,  
 Przyjaciel brata, wszystkie wié jego zamysły;  
 A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,  
 I chcą, by się ożenił, aby pojął Zosię,  
 Wychowankę Waćpani. Oboje dostaną,  
 Oprócz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano

W kapitałach; wiesz Aśka, że ma kapitały,  
 I z łaski jego mam téż fundusz prawie cały:  
 Ma więc prawo rozrządzić... Aśka pomyśl o tem,  
 Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem.  
 Trzeba ich z sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,  
 Szczególnie Zosia mała: lecz to nic nie szkodzi.  
 Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,  
 Bo wszak-ci to już pono wyrasta z dziecięcia“.

Telimena, zdziwiona i prawie wylękła,  
 Podnosiła się coraz, na szalu uklękła;  
 Zrazu słuchała pilnie, potem dłoni ruchem  
 Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,  
 Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa  
 Napowrót w usta mówcy.

„A! a! to rzecz nowa!

Czy to Tadeuszowi szkodzi, czy nie szkodzi,  
 Rzekła z gniewem, sądz o tém sam Waćpan Dobrodziej!  
 Mnie, nic do Tadeusza; sami o nim radźcie,  
 Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,  
 Niech szynkuje, lub z lasu niech zwierzynę znosi:  
 Z nim sobie co zechcecie zróbcie. Lecz do Zosi?  
 Co Waćpaństwu do Zosi? Ja jój ręką rządzę,  
 Ja sama! Że Pan Jacek dawał był pieniądze  
 Na wychowanie Zosi, i że jój wyznaczył  
 Małą pensyjkę roczną, więcój przyrzec raczył:  
 Toć jój jeszcze nie kupił. Zresztą Państwo wiecie,  
 I dotąd jeszcze o tém wiadomo na świecie,  
 Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu...  
 Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu“.  
 (Tój części mowy Sędzia słuchał z niepojętem  
 Pomieszaniam, żalością i widocznym wstrętem;  
 Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,  
 I ręką potakując, mocno się zapłonił).

Telimena kończyła: „Byłam jój piastunką,  
 Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.  
 Nikt oprócz mnie nie będzie myślał o jój szczęściu“. —  
 — „A jeśli ona szczęście znajdzie w tém zamęściu?  
 Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; jeśli Tadeuszka  
 Podoba?“ — „Czy podoba? to na wierzbie gruszka!

Podoba, nie podoba: a to mi rzecz ważna!  
 Zosia nie będzie, prawda, partya posażna;  
 Ale też nie jest z lada wsi, lada szlachecianka,  
 Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,  
 Rodzi się z Horeszkówny! małżonka dostanie!  
 Staraliśmy się tyle o jój wychowanie!  
 Chybaby tu ździczała...“ Sędzia pilnie słuchał  
 Patrząc w oczy, zdało się, że się udobruchał,  
 Bo rzekł dosyć wesoło: „No, to i cóż robić!  
 Bóg widzi, szczerze chciałem interesu dobić;  
 Tylko bez gniewu. Jeśli Aśka się nie zgodzi,  
 Aśka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi.  
 Radziłem, bo brat kazał; nikt tu nie przymusza,  
 Gdy Aśka rekuzuje Pana Tadeusza,  
 Odpisuję Jackowi, że nie z mojej winy  
 Nie dojdą Tadeusza z Zosią zareczyny.  
 Teraz sam będę radzić. Pono z Podkomorzym  
 Zagaimy swatowstwo i resztę ułożym“.

Przez ten czas Telimena ostygła z zapалу:  
 „Ja nie nie rekuzuję, braciszku, pomału!  
 Sam mówiłeś, że jeszcze zawczasie, zbyt młodzi:  
 Rozpatrzmy się, czekajmy, nic to nie zaszkodzi.  
 Poznajmy z sobą państwo młodych, będziem zważać;  
 Nie można szczęścia drugich tak na traf narażać.  
 Ostrzegam tylko wcześniej: niech brat Tadeusza  
 Nie namawia, kochać się w Zosi nie przymusza;  
 Bo serce nie jest sługa, nie zna co to pany,  
 I nie da się przemocą okuwać w kajdany“.

Zaczém Sędzia powstawszy odszedł zamyślony.  
 Pan Tadeusz z przeciwnej przybliżył się strony,  
 Udając, że szukanie grzybów tam go zwabia.  
 W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów z Telimeną,  
 Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną.  
 Dobył z kieszeni papier i ołówek — sprzęty,  
 Które zawsze miał z sobą, — i na pień wygięty,  
 Rozpiąwszy kartkę, widać, że obraz malował,  
 Mówiąc sam z sobą: „Jakbyś umyślnie grupował:

Ten na glazie, ta w trawie; grupa malownicza!  
Głowy charakterowe! z kontrastem oblicza!“

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,  
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał:  
„Miałoby to cudowne, śliczne widowisko  
Zginać, albo zmienić się, gdy podejść blisko!  
Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie?  
W nimfie téj, czyż obaczę jaką ochmistrzynię?“

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał  
W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,  
Lecz mało ją uważał: zadziwił się zrazu,  
Rozpoznając w niej model swojego obrazu.  
Mięjsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania  
Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.  
W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;  
Twarz, ożywiona wiatru świeżymi powiewy,  
Sporem z Sędzią i naglém przybyciem młodzieńców,  
Nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców.

„Pani, rzekł Hrabia, racz mój śmiałości darować;  
Przychodzę i przepraszać i razem dziękować:  
Przepraszać, że jój kroki śledziłem ukradkiem,  
I dziękować, że byłem jój dumania świadkiem.  
Tyle ją obraziłem! winienem jój tyle!  
Przerwałem chwilę dumań; winienem ci chwile  
Natchnienia, chwile błogie! potępiaj człowieka,  
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!  
Na wielem się odważył, na więcej odważę:  
Sądź!“ — Tu ukląkł i podał swoje peizaze.

Telimena sądziła malowania proby  
Tonem grzecznej, lecz sztukę znającój osoby;  
Skapa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:  
„Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu,  
Tylko pan nie zaniedbuj; szczególniej potrzeba  
Szukać pięknej natury!... O! szczęśliwe nieba  
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!  
Wy klasyczne Tyburu spadające wody!“

I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!  
 To Hrabio kraj malarzów! U nas, żal się Boże!  
 Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,  
 Umrze pewnie... Mój Hrabio, oprawię to w ramki,  
 Albo w album umieszczę, do rysunków zbiórku,  
 Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biurku“.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,  
 Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,  
 Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,  
 Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.  
 A przecież w około nich ciągnęły się lasy  
 Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!  
 Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,  
 Jarzębiny, ze świeżym pasterskim rumieńcem,  
 Leszczyna, jak menada, z zielonymi berły,  
 Ubranymi jak w grona, w orzechowe perły;  
 A niżej, dziatwa leśna: glóg w objęciu kalin,  
 Ożyna, czarne usta tuląca do malin.  
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,  
 Jak do tańca stojące panny i młodzieńce  
 W kółko pary małżonków. Stoi pośród grona  
 Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona  
 Wysmukłością kibici i barwy powabem:  
 Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.  
 A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki  
 Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,  
 Tam matrony topole, i mchami brodaty  
 Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,  
 Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,  
 Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się, nudząc niepomalu  
 Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału;  
 Aż, gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,  
 I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje:  
 Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,  
 Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,  
 Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,  
 Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi:



Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,  
Nakoniec, nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,  
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:  
„Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie,  
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie  
I na południu, — w owej pięknej włoskiej ziemi;  
Któreż równać się może z drzewami naszymi?  
Czy aloes, z długimi jak konduktor palki?  
Czy cytryna, karlica z złocistymi galki,  
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,  
Jako kobieta mała, brzydka lecz bogata?  
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,  
Co zdaje się być drzewem nie smutku, lecz nudy?  
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie;  
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie,  
Nieśmiejący ręk podnieść, ani głowy skrzywić,  
Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.

„Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,  
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna,  
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy  
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!  
Niema z żalu, postawą jak wymownie szloch!  
Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,  
Nie maluje drzew naszych pośród których siedzi?  
Prawdziwie, będą z Pana żartować sąsiedzi,  
Że mieszkając na żyznej, litewskiej równinie,  
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie“.

„Przyjacielu, rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie  
Jest formą, tłem, materyą, a duszą — natchnienie,  
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,  
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.  
Nie dość jest przyrodzenia, nie dosyć zapалу:  
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!  
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!  
Dowieś się o tém wszystkiém z książek w swoim czasie.  
Co się tyczy malarstwa: do obrazu trzeba

Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba...  
 Nieba włoskiego! Stąd też, w kunszcie pejzażów,  
 Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów!  
 Stąd też, oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,  
 Ale pejzażyści, (bo są dwaj Brejgelle),  
 I oprócz Ruisdala, na całej północy  
 Gdzie był pejzażysta który pierwszej mocy?  
 Niebios, niebios potrzeba. — „Nasz malarz Orłowski,  
 Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.  
 (Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,  
 Ze im oprócz Ojczyzny nic się nie podoba.)  
 Orłowski, który życie strawił w Petersburgu,  
 Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biurku),  
 Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju:  
 A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił po kraju!  
 Lubił ciągle wspominać swój młodości czasy,  
 Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy“...

„I miał rozum! zawołał Tadeusz z zapalem.  
 To państwa niebo włoskie, jak o niem slyszalem,  
 Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzyła woda;  
 Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?  
 U nas, dość głowę podnieść: ileż to widoków!  
 Ileż scen i obrazów z samój gry obłoków!  
 Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna  
 Pełnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,  
 I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,  
 Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi;  
 Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,  
 Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,  
 Szum wielki słyhać wkoło; nawet te codzienne,  
 Patrzcie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!  
 Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,  
 A z tyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi:  
 Ściskają się, grubieją, rosna — nowe dziwy!  
 Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,  
 Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie  
 Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;  
 Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się... nagle  
 Z ich karków rosna maszty, z grzyw szerokie żagle:

Tabun zmienia się w okręt i wspaniałe płynie  
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!“

Hrabia i Telimena poglądali w górę;  
Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,  
A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny.  
Kilka już upłynęło minut cichłej sceny;  
Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,  
I wydobył ołówek. Wtém, przykry dla uszu  
Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu  
Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia, kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:  
„Tak to-na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem!  
Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni,  
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,  
Wylania się serc czułych; gdy spiż zdala ryknie,  
Wszystko miesza się, zrywa, maści się i nienie!...“  
Tu, obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie:  
„Cóż zostaje?...“ a ona mu rzekła: „Wspomnienie!...“  
I chcąc Hrabiego nieco ulagodzić smutek,  
Podala mu urwany kwiatek niezabudek.  
Hrabia go ucałował i na piers przyszpilał;  
Tadeusz, z drugiej strony, krzak ziela rozchylał,  
Widząc, że się ku niemu tém zieleń przewija  
Coś białego: była to rączka jak lilija;  
Pochwycił ją, całował, i usta pocichu  
Utonął w niej, jak pszczoła w lilii kielichu.  
Uczuł na ustach zimno: znalazł klucz i biały  
Papiér w trąbę zwiniony; był to listek mały.  
Porwał, schował w kieszenie; nie wie, co klucz znaczy:  
Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem, z głębi cichych lasów,  
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów.  
Odgłos to był szukania i nawoływania,  
Hasło zakończonego na dziś grzybobrania;  
Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy,  
Jak się Hrabiemu zdało: owszem, obiadowy.  
Dzwon ten, w każde południe krzyczący z poddasza,

Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:  
 Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,  
 I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju  
 Wychodziła gromada, niosąca krobeczki,  
 Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,  
 Pełne grzybów; a panny w jednej ręce niosły,  
 Jako wachlarz zwiniony, *borowik* rozrosły,  
 W drugiej, związane razem, jakby polne kwiatki,  
*Opieńki*, i rozlicznój barwy *surojadki*.  
 Wojski miał *muchomora*. Z próżnymi przychodzi  
 Rękami *Telimena*; z nią panicze młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem.  
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc, kłaniał się starcom, damom i młodzieży;  
 Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.  
 Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;  
 Podano w kolój wódkę: zaczęm wszyscy siedli,  
 I chołodziec litewski milczkiem żwawo jedli.

Obiadowano ciszej niż się zwykle zdarza;  
 Nikt nie gadał, pomimo wezwań gospodarza.  
 Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie,  
 Myślały o jutrzejszej walce i zakładzie;  
 Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.  
*Telimena*, mówiąca wciąż do *Tadeusza*,  
 Musiała ku *Hrabiemu* nieraz się odwrócić,  
 Nawet na *Asesora* nieraz okiem rzucić;  
 Tak *ptasznik* patrzy w sidło. kędy szczygły zwabia,  
 I razem w pastkę wróbla. *Tadeusz* i *Hrabia*,  
 Obadwa radzi z siebie, obadwa szczęśliwi,  
 Oba pełni nadziei, więc nie gadatliwi.  
*Hrabia* na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie,  
 A *Tadeusz* ukradkiem spozierał w kieszenie,  
 Czy ów kluczyk nie uciekł? Ręką nawet chwycił  
 I kręcił kartkę, której dotąd nie przeczytał.  
 Sędzia *Podkomorzemu* węgryzna, szampana  
 Dolewał, służył pilnie, ścisnął za kolana,

Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty,  
I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania;  
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania  
Gość niespodziany. Szybko wpadając gajowy,  
Nie zważał nawet że czas właśnie obiadowy,  
Podbiegł do pana; widać z postawy i z miny,  
Że ważnej i niezwyklej jest posłem nowiny.  
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie.  
On odetchnąwszy nieco, rzekł: „Niedźwiedź Mospanie!“  
Resztę wszyscy odgadli: że zwierz z *matecznika*  
Wyszedł, że w zaniemeńską puszcę się przemyka,  
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,  
Choć ani się radzili, ani namyślali;  
Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,  
Z giestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,  
Które, wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu,  
Dażyły przecież wszystkie do jednego celu.  
Taka to była zgoda, chociaż w wielkim tłumie,  
Gdzie każdy gada tylko o tém co rozumie.

„Na wieś! zawołał Sędzia, héj! konno, setnika,  
Jutro na brzask oblawa, lecz na ochotnika;  
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny  
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.“

„Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,  
Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo  
Dwie pjawki, które w całej okolicy słyną,  
Pies zowie Sprawnikiem, a suka Strapczyną;  
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu,  
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu.“

— „Wańka! krzyknął na chłopca Asesor po rusku:  
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku,  
Wiész, tasak co od księcia miałem w podarunku;  
Pas opatrzeć, czy kula jest w każdym ładunku.“

— „Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu!“  
Asesor wołał ciągle: „Ołowiu, ołowiu!



Formę do kul mam w torbie.“ — „Do księdza plebana  
Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro z rana  
Mszę miał w kaplicy leśnej: krócioczną ofertę  
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.“

Po wydanych rozkazach nastąpiło milczenie.  
Każdy dumał i rzucał dokoła wejrzenie,  
Jak gdyby kogoś szukał; zwolna wszystkich oczy  
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:  
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę  
Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.  
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszków wolę,  
I uderzywszy ręką poważnie po stole,  
Pociągnął złocistego z zanadru łańcuszka,  
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka:  
„Jutro, rzekł, pójdź do piątą, przy leśnej kaplicy  
Stawia się bracia strzelcy, wiara obławnicy.“

Rzekł i ruszył od stołu; za nim szedł gajowy:  
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze, gdy na jutro bitwę zapowiedzą,  
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,  
Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;  
A wodze wśród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień zszedł na kowaniu koni,  
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni;  
U wieczerzy, za ledwo kto przysiadł do stoła;  
Nawet strona Kusego z partją Sokoła  
Przestała dawnym, wielkim, zatrudniać się sporem:  
Pobrawszy się pod rękę, Rejent z Asesorem  
Wyszukają ołowiu. Reszta spracowana  
Szła spać wcześniej, ażeby przebudzić się z rana.\*

Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.  
Wszedłszy, drzwi zamknął, świecę postawił w kominku,  
Udając, że już zasnął, lecz oczu nie zmrużył.  
Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.

\* Na tym ustępie, w pierwotnych wydaniach »Pana Tadeusza« kończy się księga trzecia.

Stań przy oknie, patrzal wyrzniętym otworem,  
Co robi stróż, chodzący ciągle pode dworem?  
Gdy go ujrzał daleko, nogami równemi  
Wyskoczył, okno zamknął, chyląc się do ziemi  
I wzdłuż ścian skradając się. Dalsze jego kroki  
Jesienna noc gęstymi osłoniła mroki.

---

## KSIĘGA IV.

### DYPLMATYKA I ŁOWY.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Zapóźne postrzeżenie omyłki. — Karczma. — Emisaryusz. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusję na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagalasówki z Sanguszkówką rozstrzygnięty na stronę jednorurki Horeszkowskię. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa  
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!  
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy  
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,  
I Gedymina, kiedy na Ponarskiej górze,  
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze  
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,  
A Wilii widokiem i szumem Wilejki  
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,  
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,  
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,  
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!  
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,  
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,  
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,  
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.  
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:  
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,  
 Ostatni król, co nosił kolpak Witoldowy,  
 Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,  
 I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.  
 Drzewa moje ojczyste! Jeśli Niebo zdarzy,  
 Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy:  
 Czyli was znajdzie jeszcze? czy dotąd żyjecie?  
 Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię...  
 Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie,  
 Wiekami wydrażonym, jakby w dobrym domie,  
 Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?  
 Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?  
 I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi  
 Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,  
 Lipa tak rozrośniona, że pod jój cieniami  
 Sto młodzieńców, sto panien, szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera  
 Kupiecka, lub rządowa moskiewska siekiera!  
 Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,  
 Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.  
 Wszak lipa czarnolaska, na głos Jana czuła,  
 Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,  
 Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!  
 Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy,  
 Za chybną zwierzynę, ileż w waszój ciszy  
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,  
 Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,  
 A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,  
 Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,  
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,  
 Strojne w brusznicę, jakby w koralów paciórki.  
 W około była ciemność; gałęzie u góry  
 Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;  
 Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,  
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:  
 Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,  
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu  
 Występka z ziemi, naksztalt ogromnego zrębu;  
 Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,  
 Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,  
 Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu  
 Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,  
 Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości  
 Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości;  
 Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,  
 Jakby dwa wodotryski dwa rogi jelenie,  
 I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,  
 Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie  
 Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,  
 Schował się: ale dziobem nie przestaje pukać,  
 Jak dziecko gdy schowane, woła, by go szukać.  
 Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,  
 Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,  
 Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera:  
 Chociaż tak osłonią, dokółta spoziera,  
 Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznicą  
 Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;  
 Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,  
 Jak wracająca w drzewo rodzinne Dryada.  
 Znowu cicho.

Wtém, gałąź wstrzęsła się tracona,  
 I pomiędzy jarzębin rozsunięte grona,  
 Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica:  
 To jagód, lub orzechów zbieraczka, dziewica;  
 W króbeczce z prostej kory, podaje zebrane  
 Brusznice świeże, jako jój usta rumiane.  
 Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina:  
 Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtém usłyszeli odgłos rogów i psów granie:  
 Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,  
 I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,  
 Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.



W Soplicowie ruch wielki. Lecz ni psów hałasy,  
 Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,  
 Ni odgłos trąb dających hasło polowania,  
 Nie mogły Tadeusza wyciągnąć z posłania;  
 Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.  
 Nikt z młodzieży nie myślał szukać go po dworze;  
 Każdy sobą zajęty, spieszył gdzie kazano:  
 O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał. Słońce w otwór, co śród okienicy  
 Wyrnięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy  
 Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło.  
 On jeszcze chciał zadrzémac i kręcił się w koło,  
 Chroniąc się blasku. Nagle usłyszał stuknienie,  
 Przebudził się. Wesole było przebudzenie.  
 Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,  
 Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał:  
 Myśląc o wszystkiém co mu wczoraj się zdarzyło,  
 Rumienił się i wdychał i serce mu biło.  
 Spojrzał w okno: o dziwy! W promieni przezroczu,  
 W owém sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,  
 Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzzenie,  
 Kiedy z jasności dziennéj przedziera się w cienie.  
 Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku  
 Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku;  
 Palce drobne, zwrócone na światło różowe,  
 Czerwieniły się na wskrós jakby rubinowe.  
 Usta widział ciekawe, roztulone nieco,  
 I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,  
 I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią  
 Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu,  
 Leżąc na wznak cudnemu dziwił się zjawieniu,  
 I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy:  
 Nie wiedział, czy to jawa, czyli mu się marzy  
 Jedna z tych miłych, jasnych twarzączek dziecinnych,  
 Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.  
 Twarzączka schyliła się: ujrzał, drżąc z bojaźni  
 I radości, niestety ujrzał najwyraźniej,

Przypomniął, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,  
 W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,  
 Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku  
 Świeciły, jak korona na Świętych obrazku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało  
 Przestraszone łoskotem; czekał, nie wracało!  
 Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie  
 I słowa: „Niech pan wstaje, czas na polowanie,  
 Pan zaspal“. Skoczył z łóżka, i obu rękami  
 Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami,  
 I rozwarłszy się, w obie uderzyła ściany;  
 Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany,  
 Nic nie widział, nie dostrzegł niczyjego śladu.  
 Niedaleko od okna był parkan od sadu,  
 Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce  
 Chwiały się; czy je lekkie potrafiły ręce?  
 Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,  
 Nie śmiał iść w ogród; tylko wsparł się na parkanie,  
 Oczy podniósł, i z palcem do ust przyciśnionym  
 Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapioném  
 Nie rozerwał milczenia: potem w czoło stukał,  
 Niby do wspomnień dawnych, uspionych w niém pukał,  
 Nakoniec, gryząc palce do krwi się zadrasnął,  
 I na cały głos: „dobrze, dobrze mi tak!“ wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,  
 Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:  
 Wszyscy ruszyli w pole, Tadeusz nadstawił  
 Uszu, i ręce do nich jak trąbki przyprowadził,  
 Słuchał, aż mu wiatr przyniósł wiejący od puszczy  
 Odgłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy.

Koń Tadeusza czekał w stajni osiodłany.  
 Wziął więc flintę, skoczył nań, i jak opętany  
 Pędził ku karczmom, które stały przy kaplicy,  
 Kędy mieli się rankiem zebrać oblawnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,  
 Oknami wzajem sobie grożące jak wrogie;

Stara należy z prawa do zamku dziedzica;  
 Nową na złość zamkowi, postawił Soplca.  
 W tamtej, jak w swém dziedzictwie, rej wodził Gerwazy,  
 W tej najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma nie była ciekawa z pozoru.  
 Stara, wedle dawnego zbudowana wzoru.  
 Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,  
 A potem go Żydowie po świecie roznieśli:  
 Rodzaj architektury, obcym budowniczym  
 Wcale nieznany; my go od Żydów dziedziczym.

Karczma z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia:  
 Korab, istna Noego czworogranna skrzynia,  
 Znany dziś pod prostackim nazwiskiem stodoły;  
 Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,  
 Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,  
 I płazów choć po parze, są też i owady.  
 Część tylna, naksztalt dziwnej świątyni stawiona,  
 Przypomina z pozoru ów gmach Salomona,  
 Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle  
 Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.  
 Żydzi go naśladowają dotąd we swych szkołach,  
 A szkół rysunek widny w karczmach i stodołach.  
 Dach z dranic i ze słomy, spiczasty, zadarty,  
 Pogięty, jako kołpak żydowski podarty.  
 Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,  
 Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie.  
 Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,  
 Trwałe, chociaż w pół zgniłe i stawione krzywo,  
 Jako w wieży pizańskiej, nie podług modeliów  
 Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.  
 Nad kolumnami biegą wpółokrągłe łuki,  
 Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.  
 Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłótka,  
 Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane skłutem,  
 Krzywe, jak szabasowych ramiona świeczników;  
 Na końcu wiszą galki, coś naksztalt guzików,  
 Które Żydzi modląc się, na łbach zawieszają,  
 I które, po swojemu, *cyces* nazywają.

Słowem, zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,  
 Podobna jest do żyda gdy się modląc kiwa:  
 Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrząśniona,  
 Ściany dymne i brudne, jak czarna opona,  
 A z przodu rzeźba stérczy, jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiej szkole:  
 Jedna część, pełna izbic ciasnych i podłużnych,  
 Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;  
 W drugiej ogromna sala: koło każdej ściany  
 Ciągnie się wielonożny stół wąski, drewniany;  
 Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,  
 Jako dzieci do ojca.

Na stołkach, dokoła  
 Siedziały chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna,  
 Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.  
 Po rannój mszy, z kaplicy, że była niedziela,  
 Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.  
 Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,  
 Ponad wszystkimi z butlą biegła szynkarka.  
 W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi  
 Szarafanie, zapiętym haftkami srebrnymi,  
 Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,  
 Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;  
 Rzucając w koło okiem rozkazy wydawał,  
 Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał  
 Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,  
 Lecz nie służył nikomu: tylko się przechadzał.  
 Żyd stary i powszechnie znany z poczciwości,  
 Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości,  
 Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu.  
 O cóż skarżyć? Miał trunki dobre do wyboru,  
 Rachował się ostrożnie, lecz bez oszukaństwa,  
 Ochoty nie zabraniał, nie cierpiał pijaństwa,  
 Zabaw wielki miłośnik: u niego wesele  
 I chrzciny obchodzono, on w każdą niedzielę  
 Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,  
 Przy której i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam sływał muzycznym talentem;  
 Z cymbalami, narodu swego instrumentem,  
 Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał  
 I pieśniami, bo biegle i uczenie śpiewał.  
 Chociaż Żyd, dosyć czystą miał polską wymowę,  
 Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;  
 Przywoził mnóstwo, z każdej za Niemen wyprawy,  
 Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;  
 Wieść, nie wiem czyli pewna, w całej okolicy  
 Głosiła, że on pierwszy przywiózł z zagranicy  
 I upowszechnił wówczas w tamecznym powiecie,  
 Owę piosenkę, sławną dziś na całym świecie,  
 A którą po raz pierwszy na ziemi Anzonów  
 Wygrały Włochom polskie trąby legionów.  
 Talent śpiewania bardzo na Litwie popłaca,  
 Jedna miłość u ludzi, wślawia i wzbogaca:  
 Jankiel zrobił majątek; syt zysków i chwały,  
 Zawiesił dźwięcznostrunne na ścianie cymbały;  
 Osiadłszy z dziećmi w karczmie, zatrudniał się szynkiem,  
 Prztém w pobliskim mieście był też podrabinkiem,  
 A zawsze miłym wszędzie gościem, i domowym  
 Doradcą; znał się dobrze na handlu zbożowym,  
 Na wicinnym: potrzebna jest znajomość taka  
 Na wsi. Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy zgodził kłótnie często nawet krwawe,  
 Między dwiema karczmami: obie wziął w dzierzawę;  
 Szanowali go równie i starzy stronnicy  
 Horeszkowscy, i słudzy sędziego Soplicy.  
 On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym  
 Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym;  
 Przed Jankielem, tłumili dawne swe urazy:  
 Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego nie było; ruszył na obławę,  
 Niechcąc, aby tak ważną i trudną wyprawę  
 Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;  
 Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miéjsce Gerwazego, najdalsze od progu,  
 Między dwiema lawami, w samym karczmy rogu,



Zwane *pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował;  
 Jankiel go tam posadził. Widać, że szanował  
 Wysoko Bernardyna: bo skoro dostrzegal  
 Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał  
 I rozkazał dolewać lipcowego miodu.  
 Słysząc, że z Bernardynem znali się za młodu,  
 Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał  
 Nocą do karczmy, tajnie z Żydem się naradzał  
 O ważnych rzeczach; słysząc było, że towary  
 Ksiądz przemycal, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak, wsparty na stole, wpółgłośno rozmawiał,  
 Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,  
 I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze;  
 Brano z niej, i kichała szlachta jak moździerze.

„Reverendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,  
 To mi tabaka, co to idzie aż do czuba!  
 Od czasu jak nos dźwigam, (tu głasnął nos długi),  
 Takięj nie zażywałem, (tu kichnął raz drugi);  
 Prawdziwa Bernardynka, pewnie z Kowna rodem,  
 Miasta sławnego w świetcie tabaką i miodem,  
 Byłem tam lat już...“ — Robak przerwał mu: „Na zdrowie  
 Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie!  
 Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi  
 Z dalszėj strony, niż myśli Skołuba dobrodzięj:  
 Pochodzi z Jasnėj Góry. Księża Paulinowie  
 Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,  
 Kędy jest obraz tyłu cudami wslawiony,  
 Bogarodziocy Panny, Królowej Korony  
 Polskiej... zowią ją dotąd i Księżną Litewską —  
 Koronę jeszcze dotąd piastuje królewską...  
 Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyszma siedzi!“  
 „Z Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam w spowiedzi,  
 Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście.  
 Czy to prawda, że Francuz gości teraz w mieście,  
 Że chce kościół rozwalać, i skarbiec zabierze?  
 Bo to wszystko w *Litewskim* stoi *Kuryerze*?“  
 „Nieprawda, rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy  
 Napoleon, katolik jest najprzykładniejszy:

Wszak go Papiież narzącił, żyją z sobą w zgodzie  
 I nawracają ludzi w francuzkim narodzie,  
 Który się trochę popsuł. Prawda, z Częstochowy  
 Oddano wiele srebra na skarb narodowy  
 Dla Ojczyzny, dla Polski; sam Pan Bóg tak każe;  
 Skarbcem ojczyzny, zawsze są Jego ołtarze.  
 Wszakże w Warszawskim Księstwie mamy sto tysięcy  
 Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcej:  
 A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini?  
 Wy tylko grosz dajecie do moskiewskiej skrzyni“.  
 „Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą“.  
 „Oj dobrodzieju, — chłopiek ozwał się z pokorą,  
 Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę —  
 Już to szlachcie, to jeszcze bięda przez połowę;  
 Lecz nas drą jak na łyka“... „Cham! Skołuba krzyknął,  
 Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknął,  
 Jak węgorz do odarcia: lecz nam, *urodzonym*,  
 Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!  
 Ach, bracia! wszak to dawniej szlachcie na zagrodzie...  
 („Tak, tak, — krzyknęli wszyscy, — równy wojewodzie!“)  
 Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować  
 Papiéry, i szlachectwa papiérem próbować“.  
 „Jeszcze waszeci mniejsza, zawołał Juraha:  
 Waszec z pradziadów chłopów uszlachcony szlachą;  
 Ale ja, z kniaziów! Pytać u mnie o patenta,  
 Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamiętał  
 Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny,  
 Kto jej dał patent rosnąć nad wszystkie krzewiny?“  
 „Kniazium, rzekł Żagiel, świeć waść baki lada komu,  
 Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu“.  
 „Waść ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta  
 Alluzya, że w rodzie bywał neofita“.  
 „Fałsz! przerwał Birbasz, przecież ja z tatarskich hrabiów  
 Pochodzę, a mam krzyże nad herbem Korabiów“.  
 „Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotém,  
 Herb książęcy, Strykowski gęsto pisze o tém“.

Zaczém wielkie powstały w całej karczmie szmery.  
 Ksiądz Bernardyn uciekł się do swój tabakiery,  
 W kolój częstował mówców. Gwar zaraz ucichnął;

Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął.  
Bernardyn, korzystając z przerwy, mówił dalej:  
„Oj, wielcy ludzie od téj tabaki kichali!  
Czy uwierzycie Państwo, że z téj tabakierzy,  
Pan Jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?“  
„Dąbrowski?“ zawołali. „Tak, tak, on, Jenerał.  
Byłem w obozie, gdy on Gdańsk Niemcom odbierał;  
Miał coś pisać; bojąc się ażeby nie zasnął,  
Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął:  
Księżę Robaku, mówił, księżę Bernardynie,  
Obaczmy się w Litwie może nim rok minie;  
Powiedz Litwinom, niech mnie czekają z tabaką  
Częstochowską, nie biorę innéj tylko taką“.

Mowa księdza wzbudziła takie zadziwienie,  
Taką radość, że całe huczne zgromadzenie  
Milczało chwilę; potem na pół ciche słowa  
Powtarzano: „Tabaka z Polski? Częstochowa?  
Dąbrowski? z ziemi włoskiéj?...“ Aż nakoniec razem,  
Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,  
Wszyscy jedynogłośnie, jak na dane hasło,  
Krzyknęli: „Dąbrowskiego!“ wszystko razem wrzasło,  
Wszystko się uściśnęło: chłop z tatarskim hrabią,  
Mitra z krzyżem, Poraje z Gryfem i z Korabią;  
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,  
Tylko śpiewali krzycząc: „Wódki, miodu, wina!“

Długo się przysłuchiwał ksiądz Robak piosence,  
Nakoniec chciał ją przerwać; wziął w obiedwie ręce  
Tabakierkę, kichaniem melodyę zmieszał,  
I nim się nastroił, tak mówić pośpieszał:  
„Chwalicie mą tabakę, Mości Dobrodzieje,  
Obaczcież, co się wewnątrz tabakierki dzieje!“  
Tu, wycierając chustką zabrudzone denko,  
Pokazał malowaną armię maleńką  
Jak rój much; w środku jeden człowiek na rumaku,  
Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku;  
Spinał konia, jak gdyby chciał skakać w niebiosa,  
Jedną rękę na cuglach, drugą miał u nosa:  
„Przypatrzcie się, rzekł Robak, téj groźnéj postawie;  
Zgadnijcie czyja?“ — Wszyscy patrzyli ciekawie, —

„Wielki to człowiek, Cesarz, ale nie Moskali,  
 Ich Carowie tabaki nigdy nie bierali...“  
 „Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?  
 Ja myślałem, że wielcy ludzie chodzą w złocie:  
 Bo u Moskalów lada generał, mospanie,  
 To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie“.  
 „Ba, przerwał Rymsza, przecież widziałem za młodu  
 Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:  
 Wielki człowiek! a chodził w krakowskiój sukmanie,  
 To jest czamarce“. — „W jakiej czamarce, mospanie?  
 Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką“.  
 „Ale tamta z frędzlami, ta jest całkiem gładką“,  
 Krzyknął Mickiewicz. Zatem wszczynaly się swary  
 O różnych taratutki kształtach i czamary.

Przemysłny Robak, widząc, że się tak rozpryska  
 Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,  
 Do swojej tabakiery; częstował, kichali,  
 Życzili sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej:  
 „Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa  
 Raz po raz, to znak pewny, że bitwę wygrywa.  
 Naprzykład pod Austrelitz: Francuzi tak stali  
 Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali,  
 Cesarz patrzył i milczał. Co Francuzi strzelą,  
 To Moskale pulkami jak trawa się ścielą;  
 Pułk za pułkiem cwałował i spadał z kulbaki;  
 Co pułk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki.  
 Aż w końcu, Aleksander ze swoim braciszkiem  
 Konstantym, i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,  
 W nogi z pola; więc Cesarz widząc że po walce,  
 Spojrzał na nich, zaśmiał się, i otrząsnął palce.  
 Otóż, jeśli kto z panów, coście tu przytomni,  
 Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni“.

„Ach, zawołał Skołuba, mój księżę kwestarzu!  
 Kiedyż to będzie? Wszak to ile w kalendarzu  
 Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżał  
 Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mrużą;  
 A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję.  
 Pono nim słońce wnijdzie, rosa oczy wyje.“

„Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,  
 A żydowska rzecz, ręce założywszy czekać  
 Nim kto w karczmę zajędzie i do drzwi zapuka.  
 Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.  
 Już ci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,  
 Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił  
 Het za morze: Moskałom zapewne wygodzi;  
 Ale co stąd wyniknie, wieś asan dobrodziej?  
 Oto, szlachta litewska wtenczas na koń wsiędzie  
 I szablę weźmie, kiedy bić się z kim nie będzie;  
 Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareście  
 Powie: obędę się ja bez was, kto jesteście?  
 Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,  
 Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,  
 A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci,  
 Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!“

Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie:  
 „Jakże to dom oczyścić? jak to ksiądz rozumie?  
 Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi;  
 Tylko niech ksiądz dobrodziej jaśniej się wysłowi.“

Ksiądz poglądał za okno przerwawszy rozmowę;  
 Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,  
 Po chwili rzekł powstając: „Dziś czasu nie mamy;  
 Potem o tém obszerniej z sobą pogadamy.  
 Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście,  
 I do waszmościów z drogi zajadę po kweście.“

„Niech téż do Niehrymowa ksiądz na nocleg zdaży,  
 Rzekł Ekonom, — rad będzie księdzu pan Chorąży;  
 Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:  
 Szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niehrymowie!“  
 „I do nas, rzekł Zubkowski, wstap jeżeli łaska;  
 Znajdzie się tam półsztuczek płótna, masła faska,  
 Baran lub krówka; wspomnij księżu na te słowa;  
 Szczęśliwy człowiek, trafił jak ksiądz do Zubkowa.“  
 „I do nas“, rzekł Skołuba. „Do nas, Terajewicz,  
 Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz.“



Tak cała szlachta prośbą i obietnicami  
Przeprowadzała księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwój przez okno ujrzał Tadeusza,  
Który leciał gościńcem, w cwał, bez kapelusza,  
Z głową schyloną, bladym, posępnym obliczem,  
A konia ustawicznie bódł i kropił biczem.  
Ten widok bardzo księdza Bernardyna zmieszał;  
Więc za młodzieńcem kroki szybkimi pospieszał,  
Do wielkiej puszczy, która, jako oko sięga,  
Czerniła się na całym brzegu widnokrega.

Któż zbadal puszczy litewskich przepastne krainy,  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,  
Zna je ledwie po wiérzchu, ich postać, ich lice,  
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.  
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje;  
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje  
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni  
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,  
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.  
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,  
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:  
Dalej co krok czyhają niby wilcze doły,  
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,  
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,  
(Wielkie jest podobieństwo że djabyły tam siedzą),  
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,  
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,  
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;  
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,  
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,  
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,  
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za tymi jeziorkami, już nie tylko krokiem,  
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,

Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem  
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.  
 A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)  
 Ciagnie się bardzo piękna, żyzna okolica,  
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.  
 W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,  
 Z których się rozrastają na świat ich plemiona;  
 W niej jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu  
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.  
 W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory:  
 Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszczeni imperatory;  
 Około nich, na drzewach, gnieździ się ryś bystry,  
 I żarłoczny rosomak, jak czujnie ministery;  
 Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,  
 Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;  
 Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,  
 Żyjący z pańskich stołów, dworscy zauszniczy.  
 Te pary zwierząt główne i patryarchalne,  
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,  
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,  
 A sami we stolicy używają wczasu;  
 Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,  
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.  
 Mają też i swój cmentarz, kędy bliscy śmierci,  
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.  
 Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,  
 Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,  
 Zajac sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,  
 Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy osłepnie,  
 Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,  
 Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,  
 Idą na cmentarz; nawet mniejszy zwierz, raniony  
 Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.  
 Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,  
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.  
 Słyhać, że tam w stolicy, między zwierzętami  
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;  
 Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,  
 Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,  
 Nie znają pojedynków ni wojennej sztuki.

Jak ojce żyli w raj, tak dziś żyją wnuki,  
 Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,  
 Nigdy jeden drugiego nie kasa, ni bodzie.  
 Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,  
 Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;  
 One by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
 Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia  
 Ojce ich pierwsze, co się w ogroju gnieździły,  
 Patrzyły na Adama, nim się z nim skłócily.  
 Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego odstepu,  
 Bo Trud i Trwoga i Śmierć brenią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,  
 Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,  
 Wnętrznój ich okropności rażone widokiem,  
 Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;  
 I długo potém ręką pana już głaskane,  
 Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.  
 Te puszcz stołeczne ludziom nieznanne tajniki,  
 W języku swoim strzelcy zowią: *Mateczniki*.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział.  
 Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.  
 Ale, czyli pasieki zwabiła cię wonność,  
 Czy uczuleś do owsa dojrzałego skłonność:  
 Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził  
 I tam zaraz leśniczy bytność twą wysledził,  
 I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,  
 By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.  
 Teraz Wojski z obławą, już od matecznika,  
 Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu  
 Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.  
 Cicho. — Próżno myśliwi natężają ucha;  
 Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słuca  
 Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:  
 Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.  
 Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,  
 A strzelcy obróciwszy do lasu dwururki,

Patrz! Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta;  
 Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta  
 Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,  
 Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,  
 Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.  
 „Jest! jest!“ wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.  
 On słyszał! — oni jeszcze słuchali — nareście  
 Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,  
 Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają  
 Dolawiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,  
 Ujadają. Już nie jest to powolne granie  
 Psów goniących zająca, lisa albo łanię;  
 Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;  
 To nie na ślad daleki ogary napadły,  
 Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,  
 Doszli zwierza. Wrzask znowu, skowyt; zwierz się broni  
 I zapewne kaleczy: śród ogarów grania,  
 Słysząc coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową  
 Wygiął się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową.  
 Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska  
 Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska,  
 Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegął,  
 Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,  
 Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,  
 Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie grzbiet smyczem!  
 Nie było rady! Wszyscy pomimo zakazu  
 W las pobiegli. Trzy strzelby huknęły od razu;  
 Potém wciąż kanonada, aż głośnieją nad strzały  
 Ryknął niedźwiedź i echem nappełnił las cały.  
 Ryk okropny, boleści, wściekłości, rozpaczy;  
 Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy  
 Grzmiały ze środka puszczy. Strzelcy — ci w las spieszą,  
 Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;  
 Jeden Wojski w żalości, krzyczy że chybiono.  
 Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną  
 Na przelaj zwierza, między ostępem i puszczą,  
 A niedźwiedź, odstraszone psów i ludzi tłuszcza,  
 Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone,

Ku polom, skąd już zeszy strzelce rozstawione,  
Gdzie tylko pozostali, z mnogich łowczych szyków,  
Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilka obławników.

Tu las był rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu,  
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt  
Wkoło psy gonia, straszą, rwą; on wstał na nogi [gromu;  
Tylne, i spojrzal wkoło, rykiem straszac wrogi,  
I przednimi łapami, to drzewa korzenie,  
To pniaki osmalone, to wrosle kamienie  
Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wylamał drzewo,  
Kręcąc niem jak maczugą, na prawo, na lewo,  
Runął wprost na ostatnich strażników obławy:  
Hrabie i Tadeusza. Oni bez obawy  
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,  
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;  
Aż oba, jednym razem, pociągnęli kurki,  
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki:  
Chybili. Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony  
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,  
Wydzierali go sobie. Spojrzą, aż tu z pyska,  
Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska,  
I łapa z pazurami już się na lby spuszcza:  
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzednie puszcza  
Zmykali. Zwierz za nimi wspiał się, już pazury  
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiał się znów do góry,  
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.  
Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy:  
Gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,  
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,  
Z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej, w jednej chwili,  
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.  
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,  
I głową na dół runął, i czterma łapami  
Przewróciwszy się młyncem, cielska krwawe brzemie  
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.  
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły  
Rozjuszona Strapczyzna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty  
Swoj róg bawoli, dlugi, centkowaty, kręty



Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,  
 Wzdał policzki jak banie; w oczach krwią zabłysnął,  
 Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,  
 I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,  
 I zagrał. Róg jak wicher, wirowatym dechem  
 Niesie w puszcze muzykę i podwaja echem.  
 Umilkli strzelcy, stali szczerwacze, zadziwieni  
 Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.  
 Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach sływał,  
 Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;  
 Napelnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,  
 Jakby psiarnię w nią wpuścił i rozpoczął łowy.  
 Bo w graniu była łowów historia krótka:  
 Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;  
 Potém jęki po jękach skomla: to psów granie;  
 A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze; a to echo grało.

Zadał znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,  
 I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,  
 Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję  
 Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;  
 Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,  
 Ryknął; potém beczenie zębca wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.  
 Wysłuchawszy rogowój arcydzieła sztuki,  
 Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu grały setne rogi,  
 Słychać zmieszane wrzaski szczerwania, gniewu, trwogi,  
 Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry  
 Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało,

Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,  
 Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.  
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
 Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,  
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!...

Wojski obiedwie ręce odjawszy od rogu  
 Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym  
 Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promienném,  
 Z oczyma wzniesionymi, stał jakby natchniony,  
 Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.  
 A tymczasem zagrzmiały tysiące oklasków,  
 Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszone się zwolna, i oczy gawiedzi  
 Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi.  
 Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,  
 Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity;  
 Rozprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,  
 Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,  
 Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;  
 Pjawkki Podkomorzego dzierżą go pod uszy:  
 Z lewej strony Strapczyna, a z prawej zawisał  
 Sprawnik, i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczém Wojski rozkazał kij żelazny włożyć  
 Psom między zęby, i tak paszczęki roztworzyć.  
 Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,  
 I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

„A co? — krzyknął Asesor, kręcąc strzelby rurą —  
 A co? fuzyjka moja? Górą nasi, górą!  
 A co? fuzyjka moja? Niewielka ptaszyna,  
 A jak się popisała? To jój nie nowina:  
 Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku.  
 Od księżęcia Sanguszki mam ją w podarunku.“  
 Tu pokazywał strzelbę przedziwnéj roboty,  
 Choć maleńką, i zaczął wyliczać jój cnoty.  
 „Ja bieglem — przerwał Rejent otarłszy pot z czoła —  
 Bieglem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła:

Stój na miejscu! Jak tam stać? Niedźwiedź w pole wali,  
 Rwąc z kopyta jak zając coraz dalej, dalej;  
 Aż mi ducha nie stało, dobiedziesz ni nadziei...  
 Aż spojrzę w prawo: sady, a tu rzadko w kniei...  
 Jak też wziąłem na oko: postójże marucha!  
 Pomyślałem, — i basta: ot leży bez ducha!  
 Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,  
 Napis: *Sagalas London à Bałabanówka...*“  
 Sławny tam mieszkał ślusarz Polak, który robił  
 Polskie strzelby, ale je po angielsku zdoził.)

„Jakto, parsknął Asesor, do kroćset niedźwiedzi!  
 To to niby pan zabił? Co też to pan bredzi?“  
 „Słuchaj-no, odparł Rejent, tu panie nie śledztwo,  
 Tu obława; tu wszystkich weźmiem na świadectwo...“

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta:  
 Ci stronę Asesora, ci brali Rejenta.  
 O Gerwazym nie wspomniał nikt: bo wszyscy biegli  
 Z boków, i co się z przodu działo nie postrzegli.  
 Wojski głos zabrał: „Teraz jest przynajmniej za co;  
 Bo to panowie nie jest ów szarak ladaco,  
 To niedźwiedź: tu już nie żal poszukać odwetu,  
 Czy szerpentyną, czyli nawet z pistoletu.  
 Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem,  
 Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.  
 Pamiętam, za mych czasów, żyło dwóch sąsiadów,  
 Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,  
 Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,  
 Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.  
 Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:  
 Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili,  
 I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:  
 To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.  
 Pojedynek ten wiele narobił hałasu;  
 Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.  
 Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,  
 Opowiem od początku historię całą...“

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził.  
 On niedźwiedzia z uwagą dokoła obchodził;

Nareszcie dobył tasak, rozciął pysk na dwoje,  
 I w tylcu głowy, mózgu rozkroiwszy słoje,  
 Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,  
 Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył,  
 A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni:  
 „Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszój broni,  
 Ona z téj Horeszkowskiéj wyszła jednorurki —  
 (Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki),  
 Lecz nie ja wystrzeliłem. O! trzeba tam było  
 Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się émiło!  
 Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,  
 A niedźwiedz z tyłu już, już, na Hrabięgo głowie,  
 Ostatniego z Horeszków!... chociaż po kądzieli.  
 Jezus Marya! krzyknąłem; i Pańscy anieli  
 Zesłali mi na pomoc księdza Bernardyna.  
 On nas wszystkich zawstydził; oj, dzielny księżyna!  
 Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,  
 On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:  
 Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić,  
 I w sam środek paszczeki! tak mu zęby wybić!  
 Panowie! długo żyję: jednego widziałem  
 Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.  
 Ów głośny niegdyś u nas z tyłu pojedynków,  
 Ów co korki kobiétom wystrzelał z patynków,  
 Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,  
 Ów Jacek, vulgo wasal — nazwiska nie wspomnę...  
 Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;  
 Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.  
 Chwała księdzu! dwom ludziom on życie ocalił —  
 Może i trzem: Gerwazy nie będzie się chwalił,  
 Ale gdyby ostatnie z krwi Horeszków dziecię  
 Wpadło w bestyi paszczę, nie byłbym na świecie,  
 I moje by tam stare pogryzł niedźwiedz kości.  
 Pójdź księżu, wypijemy zdrowie Jegomości.“

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,  
 Że po zabiciu zwierza zjawił się na chwilę,  
 Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,  
 A widząc, że obadwa cali są i zdrowi,

Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmowił,  
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz, pęki wrzosu,  
Suche chrósty i pniaki rzucono do stosu,  
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,  
I rozszérsa się w górze nakształt baldakimu.  
Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki;  
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;  
Z wózów niosą jarzyny, mąki i piecyste,  
I chléb.

Sędzia otworzył puzderko zamcyste,  
W którém rzędami flaszek białe stérczą głowy;  
Wybiéra z nich największy kufel kryształowy —  
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka).  
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka:  
„Niech żyje — krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę:  
Miasto Gdańsk! niegdyś nasze, będzie znowu nasze!“  
I lał srebrzysty likwor w kolój, aż na końcu  
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano. W słowach wydać trudno  
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;  
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,  
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.  
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,  
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z oblawy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada  
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.  
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,  
Która wedle przysłowia sama idzie w usta;  
Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa  
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;  
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie  
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war prysnie,  
I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy z trzykrotnym wiwatem,  
Zbrojni łyżkami, biegają i bodą naczynie.



Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,  
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,  
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już dowoli napili, najedli,  
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,  
Radzi wszyscy, rozmówni, oprócz Asesora  
I Rejenta: ci byli gniewliwsi niż wczora,  
Kłócąc się o zalety, ten swój Sanguszkówki,  
A ten bałabanowskiej swój Sagalasówki.  
Hrabia téż i Tadeusz jadą nieweseli,  
Wstydząc się, że chybili i że się cofnęli:  
Bo na Litwie, kto zwierza wypuści z obławy,  
Długo musi pracować, nim poprawi sławy.

Hrabia mówił, że piérwszy do oszczepu godził,  
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;  
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy,  
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,  
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy  
Przymawiali, wśród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,  
Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny.  
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,  
Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść:  
„Asesorze, jeżeli chciałem, byś z Rejentem  
Pojedynekował, nie myśl, że jestem zawziętym  
Na krew ludzką; broń Boże! Chciałem was zabawić,  
Chciałem wam komedią niby to wyprawić,  
Wznović koncept, który ja, lat temu czwórdzieście  
Wymyśliłem — przedziwny! Wy młodzi jesteście,  
Nie pamiętacie o nim; lecz za moich czasów,  
Głośny był od téj puszczy do poleskich lasów.

„Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa  
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa  
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików,  
Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,  
Szepnął ktoś do szlachcica: daj króskę Doweyce!  
A ten, niedosłyszawszy, dał króskę Domeyce.

Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupeyko:  
 Wiwat Doweyko! drudzy krzyknęli: Domeyko!  
 A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,  
 Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

„Gorzéj było. Raz w Wilnie, jakiś szlachcic pjany  
 Bił się w szable z Domeyką i dostał dwie rany:  
 Potém, ów szlachcic z Wilna wracając do domu,  
 Dziwnym trafem, z Doweyką zjechał się u promu.  
 Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,  
 Pyta sąsiada: kto on? odpowie: Doweyko —  
 Nie czekając, dobywa rapiér z pod kirejki:  
 Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.  
 Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,  
 Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,  
 Że stali blisko siebie oba imiennicy,  
 I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.  
 Prawda, że po ich strzale upadła bez ducha,  
 Ale już pierwéj niosła z dziesiątek kul w brzuchu;  
 Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób:  
 Kto zabił niedźwiedzię? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: „Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,  
 „Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;  
 „Dwóch nas, jak dwóch słońc pono zanadto na świecie“.  
 A więc do szerpentynek i stają na mecie.  
 Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,  
 To oni na się jeszcze zapalczywiéj godzą.  
 Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;  
 Stają, krzyczym, że nadto przybliżyli mety;  
 Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę  
 Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę;  
 Oba tego strzelali. — Sekunduj Hreczecha!  
 Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha;  
 Bo taki spór nie może skończyć się na nicém;  
 Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym;  
 Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy;  
 Chciecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?  
 Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;  
 Lecz strzelać się nie z dalszój, ani z bliższój mety,

Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi,  
 Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi,  
 I ja sam was ustawię: Waść po jednej stronie  
 Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.  
 Zgoda! wrzaśli; czas? — jutro; miejsce? — karczma Usza.  
 Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza...“.

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! Tuż z pod koni  
 Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.  
 Psy wzięto na obławę, wiedząc, że z powrotem  
 Na polu łatwo można napotkać się z kotem;  
 Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,  
 Wprzód nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegły.  
 Rejent téż i Asesor chcieli koźmi natrzeć;  
 Lecz Wojski wstrzymał krzycząc: „Wara! stać i patrzeć!  
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę;  
 Stąd widzimy wszyscy dobrze, zając idzie w pole“.  
 W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,  
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,  
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,  
 Skoki pod nim sterczały jakby cztery prety,  
 Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca  
 Po wiérzchu, jak jaskółka wodę całująca.  
 Pył za nim, psy za pyłem; zdaleka się zdało,  
 Że zając, pył i charty jedno tworzą ciało:  
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,  
 Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,  
 A psami jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Asesor patrzą; otworzyli usta,  
 Dech wstrzymali. Wtém Rejent pobladnął jak chusta;  
 Zbladł i Asesor, widzą... fatalnie się dzieje,  
 Owa żmija im dalej, tém bardziej dłużeje,  
 Już rwie się w pól, już znikła owa szyja pyłu,  
 Głowa już blisko lasu, ogony gdzie z tyłu!  
 Głowa niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem  
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biędne psy, oglupiale biegały pod gajem,  
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;

Wreszcie wracają, zwolna skacząc przez zagony,  
 Spuścili uszy, tułą do brzucha ogony,  
 I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wznieść oczu,  
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasepione czoło,  
 Asesor rzucał okiem, ale niewesoło;  
 Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:  
 Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,  
 Jak kot znieacka wypadł, jak źle był poszczuty  
 Na roli, gdzie psom chyba trzeba by wdziać buty,  
 Tak pelno wszędzie głazów i ostrych kamieni...

Mądrze rzecz wyluszczali szczwacze doświadczeni;  
 Myśliwi z tych mów wiele mogliby korzystać,  
 Lecz nie słuchali pilnie. Ci zaczęli świstać,  
 Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci  
 Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.  
 Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił;  
 Widząc, że uciekł, głowę obojętnie zwrócił  
 I kończył rzecz przerwana: „Na czém więc stanąłem?  
 A ha? na tém, że obu za słowo ująłem,  
 Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę...  
 Szlachta w krzyk: To śmierć pewna! prawie rura w rurę!  
 A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,  
 Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.  
 Wszak wiecie Waćpanowie, jak królowa Dydo  
 Przyplłynęła do Libów i tam z wielką biedą  
 Wytargowała sobie taki ziemi kawał,  
 Któryby się wołową skórą nakryć dawał:  
 Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!  
 Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

„Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką  
 Jedzie Doweyko, z drugiej na koniu Domeyko.  
 Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,  
 Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.  
 Postawiłem Doweykę na zwierza ogonie  
 Z jednej strony, Domeykę zaś po drugiej stronie:  
 Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,

Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie...  
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi  
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi  
Nuż im z Ewangelii, z Statutów dowodzić;  
Niéma rady: śmieli się i musieli zgodzić.

„Spór ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,  
I Dowejko się z siostrą Domeyki ożenił;  
Domeyko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę.  
Podzielili majątek na dwie części równe,  
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,  
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek“.

---



## KSIEGA V.

### KLÓTNIA.

Plany myśliwskie Tellmeny. — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki. — Strzelcy wracają. — Wielkie zażalenie Tadeusza. — Spotkanie się powtórne w Świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek. — U stołu wytacza się rzecz o łowach. — Powieść Wojskiego o Rejtanie i księciu Denasów, przerwana. — Zagajenie układów między stronami, także przerwane. — Zjawisko z kluczem. — Klótnia. — Hrabia z Gerwazym odbywają radę wojenną.

Wojski chlubnie skończywszy łowy, wraca z boru,  
A Telimena, w głębi samotnego dworu,  
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma,  
Siedzi z założonymi na piersiach rękoma:  
Lecz myślą goni zwierzów dwóch: szuka sposobu,  
Jakby razem obsaczyć i ułować obu:  
Hrabie i Tadeusza. Hrabia, panicz młody,  
Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody,  
Już trochę zakochany: cóż? może się zmienić!  
Potem, czy szczerze kocha? czy się zechce żenić?  
Z kobietą kilku laty starszą! niebogata!  
Czy mu krewni pozwolą? co świat powie na to?

Telimena, tak myśląc, z sofy się podniosła  
I stanęła na palcach: rzekłbyś, że podrosła;  
Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,  
I sama siebie pilnym obejrzała okiem,  
I znowu zapytała o radę zwierciadła;  
Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła i siadła.

Hrabia Pan: zmienni w gustach są ludzie majątni!  
 Hrabia blondyn... blondyni nie są zbyt namiętni!  
 A Tadeusz? prostaczek! poczeiwy chłopczyna!  
 Prawie dziecko! raz piérwszy kochać się zaczyna!  
 Pilnowany, niełacno zerwie piérwsze związki;  
 Przytém dla Telimeny ma już obowiązki...  
 Mężczyźni, póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,  
 W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.  
 Długo serce młodzieńca proste i dziewicze,  
 Chowa wdzięczność za piérwsze miłości słodycze!  
 Ono roskosz i wita i żegna z weselem,  
 Jak skromną ucztę, którą dzielim z przyjacielem.  
 Tylko stary pjanica, gdy już spali trzewa,  
 Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.  
 Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,  
 Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie?... Można im zejść z oczu,  
 W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu;  
 Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,  
 Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,  
 Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,  
 Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,  
 Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata,  
 Nareszcie — użyć świata, póki służą lata!...

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło  
 Przeszła się kilka razy. Znów spuściła czoło.

Wartoby téż pomyśleć o Hrabiego losie...  
 Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?  
 Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,  
 Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.  
 Jeżeli do skutku przyszło ożenienie,  
 Telimena w ich domu miałaby schronienie  
 Na przyszłość; krewna Zosi i Hrabiego swatka,  
 Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka...

Po téj z sobą odbytej, stanowczej naradzie,  
 Woła przez okno Zosię bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą  
 Stała, trzymając w ręku podniesione sito;  
 Do nóg jój biegło ptastwo. Stąd kury szurpate  
 Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,  
 Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki  
 I wiosłując skrzydłami przez brózdy i krzaki,  
 Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;  
 Za nimi zwolna indyk sunie się odęty,  
 Sarkając na trzpiotalstwo swój krzykliwej żony;  
 Ówdzie pawie, jak tratwy, długimi ogony  
 Sterują się po łące, a gdzieniegdzie z góry  
 Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.  
 W pośrodku zielonego okręgu murawy,  
 Ścisła się okrag ptastwa, krzykliwy, ruchawy,  
 Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi  
 Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.  
 Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z koralu  
 Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali.  
 Wysuwają się szyje, i w ruchach łagodnych  
 Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;  
 Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona, w środku wysoko nad ptastwem się wznosi:  
 Sama biała i w długą bieliznę ubrana  
 Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontana;  
 Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,  
 Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy  
 Krup jęczmiennych. To ziarno godne pańskich stołów  
 Robi się dla zaprawy litewskich rosółów;  
 Zosia je wykradając z szafy ochmistrzyni  
 Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: „Zosiu!...“ To głos cioci!  
 Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,  
 A sama kręcąc sito, jako tanecznicą  
 Bębenek, i w takt bijąc, swawolna dziewica  
 Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:  
 Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.  
 Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,  
 Zdawała się najwyżej bujać między niemi;

Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,  
Leciały, jak przed wozem bogini roskoszy.

Zosia przez okno z krzykiem do alkowy wpadła,  
I na kolanach ciotki zadyszana siadła;  
Telimena, całując i głaszcząc pod brodę,  
Z radością zważa dziecka żywość i urodę,  
(Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę).  
Ale znowu poważnie nastroiła lice,  
Wstała, i przechodząc się wszérsz i wzdłuż alkowy,  
Dzierżąc palec przy ustach, tymi rzekła słowy:

„Kochana Zosiu, już téż całkiem zapominasz  
I na stan i na wiek twój: wszak to dziś zaczynasz  
Rok czternasty. Czas rzucić indyki i kurki;  
Fil to godna zabawka dygnitarskiej córki!  
I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli  
Napieściłaś się! Zosiu, patrząc serce boli:  
Opaliłaś okropnie pleć, czysta Cyganka,  
A chodzisz i ruszasz się jak parafianka.  
Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę:  
Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,  
Do salonu, do gości, — gości mamy siła;  
Patrzajże, ażebyś mi wstydu nie zrobiła“.

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,  
I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,  
Płakała i śmiała się naprzemian z radości.  
„Ach ciotciu, już tak dawno nie widziałam gości!  
Od czasu jak tu żyję z kury i indyki,  
Jeden gość co widziałam, to był gołąb dziki.  
Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkowie;  
Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie“.

„Sędzia! przerwała ciotka: ciągle mi dokuczał,  
Żeby cię na świat wywieść; ciągle pod nos mruczał,  
Że już jesteś dorosłą: sam nie wie co plecie,  
Dziaduś nigdy na wielkim niebywały świecie.  
Ja wiem lepij, jak długo trzeba się sposobić  
Panience, by wyszedłszy na świat efekt zrobić.  
Więdz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,  
Choć piękny, choć rozumny, efektów nie wzbudzi,

Gdy ęo wszyscy przywykną widzieć od maleńka;  
 Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka,  
 Nagle ni stąd ni zowąd przed światem zabyśnie,  
 Wtenczas każdy się do niej przez ciekawość ciśnie,  
 Wszystkie jój ruchy, rzuty oczu jój uważa,  
 Słowa jój podsłuchiwa i drugim powtarza:  
 A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,  
 Każdy ją chwalić musi, choć i nie podoba.  
 Znaleźć się, spodziewam się, że umiesz; w stolicy  
 Urosłaś; choć dwa lata mieszkasz w okolicy,  
 Nie zapomniałaś jeszcze całkiem Petersburka.  
 No, Zosiu, toaletę rób, dostań tam z biurka,  
 Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.  
 Spiesz się, bo lada chwila wrócą z polowania“.

Wezwano pokojową i służącą dziewczkę:  
 W naczynie srebrne wody wylano konewkę.  
 Zosia jak wróbel w piasku, trzepoce się, myje  
 Z pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.  
 Telimena otwiera petersburskie składy,  
 Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,  
 Pokrapia Zosię w koło wyborną perfumą,  
 (Woń napełniła izbę), włos namaszcza gumą.  
 Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,  
 I trzewiki warszawskie białe atlasowe.  
 Tymczasem pokojowa sznurowała stauik,  
 Potém rzuciła na gors pannie pudermanik;  
 Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,  
 Pukle, że nazbyt krótkie, uwito w dwa sploty,  
 Zostawując na czole i skroniach włos gładki.  
 Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki  
 Uwiązawszy w plecionkę daje Telimienie,  
 Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,  
 Z prawej strony na lewo: kwiat od świątłych włosów  
 Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!  
 Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.  
 Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę.  
 Chusteczkę batystową, białą, w ręku zwija,  
 I tak cała wygląda biała jak lilija.



Poprawiwszy raz jeszcze i włosów i stroju,  
 Kazano jój wzdłuż i wszérsz przejść się po pokoju.  
 Telimena uważa znawczyni oczyma,  
 Mustruje siostrzenicę, gniewa się i zżyma;  
 Aż na dygnienie Zosi krzyknęła z rozpaczcy:  
 „Ja nieszczęśliwa! Zosiu, widzisz co to znaczy  
 Żyć z gęśmi, z pastuchami! tak nogi rozszerzasz  
 Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,  
 Czysta rozwódka!... Dygnij, patrz jaka nie zwinna!“  
 „Ach ciociu! rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna!  
 Ciotka mnie zamykała; nie było z kim tańczyć:  
 Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;  
 Ale poczekaj ciociu, niech-no się pobawię  
 Trochę z ludźmi, obaczysz jak się ja poprawię“.

„Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej z ptastwem,  
 Niż z tém, co u nas dotąd gościło plugastwem;  
 Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:  
 Pleban, co pacierz mrucał lub w warcaby grywał,  
 I palestra z fajkami! To mi kawalery!  
 Nabrałybyś się od nich pięknej maniery.  
 Teraz, to pokazać się jest przynajmniej komu,  
 Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.  
 Uważaj dobrze Zosiu, jest tu Hrabia młody,  
 Pan dobrze wychowany, krewny Wojewody,  
 Pamiętaj być mu grzeczną“.

Słychać rzenie koni  
 I gwar myśliwców; już są pod bramą: „To oni!“  
 Wziąwszy Zosię pod rękę, pobiegła do sali.  
 Myśliwi na pokoje jeszcze nie wchadzali;  
 Musieli po komnatach odmienić swą odzież,  
 Nie chcąc wnieść do dam w kurtkach. Piérwsza wpadła młodzież,  
 Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przebrani.

Telimena sprawuje obowiązki pani,  
 Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,  
 I siostrzenicę wszystkim z kolei przedstawia:  
 Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską.  
 Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,  
 Chciał coś do niej przemówić, już usta otworzył,  
 Ale spojrzawszy w oczy Zosi, tak się strwożył,

Ze stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;  
 Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.  
 Uczuł się nieszczęśliwym bardzo, — poznał Zosię  
 Po wzroście i po włosach świątłych i po głosie;  
 Tę kibić i tę główkę widział na parkanie,  
 Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie...  
 Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamieszania;  
 Widząc, że bladnie i że na nogach się ślania,  
 Radził mu odejść do swój izby dla spoczynku.  
 Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,  
 Nic nie mówiąc — szerokie, obłędne źrenice  
 Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.  
 Dostrzegła Telimena, iż pierwsze spojrzenie  
 Zosi, tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;  
 Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana  
 Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.  
 Wreszcie czas upatrzywszy, ku niemu podbiega:  
 Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega,  
 Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty.  
 Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,  
 Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:  
 Tém bardziej Telimenę pomieszzał i zdziwił.  
 Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy.  
 Powstała zagniewana, i ostrymi słowy  
 Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty.  
 Porwał się i Tadeusz jak żądlem ukłóty;  
 Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa, splunął,  
 Krzesło nogą odepchnął i z pokoju runął,  
 Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem, że téj sceny  
 Nikt z gości nie uważał, oprócz Telimeny.  
 Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole.  
 Jak szczupak, gdy mu ościć skrós piersi przekole,  
 Pluska się i nurtuje, myśląc, że uciecze,  
 Ale wszędzie żelazo i sznur z sobą wlecze:  
 Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,  
 Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,  
 Bez celu i bez drogi. Aż niemało czasu  
 Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu,  
 I trafił, czy umyślnie czyli téż przypadkiem,  
 Na wzgórek, co był wczora szczęścia jego świadkiem,

Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,  
 Miéjsce, jak wiémy, zwane *Świątynią dumania*.

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega: to ona!  
 Telimena, samotna, w myślach pogrążona,  
 Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,  
 W bieliznie, na kamieniu, sama jak kamienna;  
 Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,  
 Choć nie słyszysz szlochania, znać, że we łzach tonie.

Daremnie bronilo się serce Tadeusza;  
 Ulitował się, uczuł, że go żal porusza.  
 Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,  
 Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:  
 „Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił?...“  
 Więc zwolna głowę ku niej z za drzewa wychylił —  
 Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia,  
 Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skrós strumienia,  
 Rozkrzyżowana, z włosom rozpuszczonym, błada,  
 Pędzi w las, podskakuje, przykleka, upada,  
 I nie mogąc już powstać, kręci się po darni;  
 Widać z jej ruchów w jakiej strasznej jest męczarni:  
 Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana.  
 Skoczył Tadeusz myśląc, że jest pomieszana,  
 Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny  
 Pochodziły te ruchy.

#### U bliskiej brzeziny

Było wielkie mrówisko. Owad gospodarny  
 Snuł się wkóło po trawie, ruchawy i czarny,  
 Nie wiedzieć, czy z potrzeby czy z upodobania,  
 Lubił szczególnie zwiędzać *Świątynię dumania*:  
 Od stołecznego wzgóрка aż po źródła brzegi  
 Wydeptał drogę, którą wiódł swoje szeregi.  
 Nieszczęściem Telimena siedziała śród drożki:  
 Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,  
 Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,  
 Telimena musiała uciekać, otrząsać,  
 Nakoniec na murawie siaść i owad łowić.

Nie mógł jęć swęj pomocy Tadeusz odmowić:  
 Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,  
 Usta trafem ku skroniom Telimena zbliżył...  
 W tak przyjaznej postawie, choć nie mówili  
 O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;  
 I nie wiedziéć jak długo trwałaby rozmowa,  
 Gdyby ich nie przebudził dzwonek z Soplicowa:  
 Hasło wieczery...

Pora powracać domu.

Zwłaszcza, że słyhać było opodał trzask łomu.  
 Może szukają? razem wracać nie wypada:  
 Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,  
 A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi.  
 Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:  
 Telimena zdało się, że raz z po za krzaka  
 Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;  
 Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi  
 Pokazał się na lewo cień biały i długi:  
 Co to było, nie wiedział, ale miał przecucie,  
 Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczorzano w zamczysku. Uparty Protazy,  
 Nie dbając na wyraźne Sędziego zakazy,  
 W niebytność państwa znowu do zamku szturmował,  
 I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.  
 Goście weszli w porządku i stanęli kołem;  
 Podkomorzy najwyższe brał miéjsce za stołem:  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;  
 Kwestarz nie był u stołu; miéjsce Bernardyna,  
 Po prawej stronie męża, ma Podkomorzyna.  
 Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,  
 Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił.  
 Mężczyznom dano wódkę; zaczęć wszyscy siedli,  
 I chłodnik zabielańy milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,  
 W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi.  
 Jedzą, piją, a milczą wszyscy. Nigdy pono,  
 Od czasu jako mury zamku podźwigniono,

Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,  
 Tyle wesółych słyszał i odbił wiwatów,  
 Nie pamiętano takiej posepnej wiecerzy;  
 Tylko pukanie korków i brzęki talerzy  
 Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:  
 Rzekłbyś, iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia. Myśliwi  
 Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;  
 Lecz gdy zapal ochłonął, myśląc nad obławą,  
 Postrzegają, że wyszli z niej nie z wielką sławą:  
 Trzebaż było, ażeby jeden kaptur popi,  
 Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi,  
 Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!  
 Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie,  
 Które od wieków walczą z tutejszym powiatem  
 O pierwszeństwo w strzelectwie? Myśleli więc nad tem.

Zaś Asesor i Rejent, prócz spólnych niechęci,  
 Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.  
 W oczach ich stoi niecny kot; skoki wyciąga,  
 I omykiem z pod gaju kiwając urąga,  
 I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem...  
 Siedzieli z pochyloném ku misie obliczem.  
 Asesor nowe jeszcze miał powody żalów,  
 Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.  
 Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,  
 Pomieszana, zaledwie śmieć nań rzucić okiem;  
 Chciała zasepionego Hrabiego zabawić,  
 Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić;  
 Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił z przechadzki,  
 A raczej, jako myślał Tadeusz, z zasadzki.  
 Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,  
 Brwi zmarszczył, spojrział na nią ledwie nie z pogardą;  
 Potém przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi,  
 Nalewa jój do szklanki, talerze przynosi,  
 Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha,  
 Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.  
 Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,  
 Że umizgał się tylko na złość Telimenie:



Bo głowę odwracając, niby nieumyślnie,  
Coraz ku Telimenie groźném okiem błysnie.

Telimena nie mogła pojąć, co to znaczy;  
Ruszywszy ramionami, myślała: dziwaczy!  
Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość rada,  
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz téż posepny, nic nie jadł, nic nie pił,  
Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;  
Telimena mu leje wino, on się gniéwa  
Na natrętność; pytany o zdrowie — poziéwa.  
Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora),  
Ze Telimena zbyt do zalotów skora;  
Gorszy się, że jój suknia tak wcięta głęboko  
Nieskromnie... a dopiéro, kiedy podniósł oko!  
Aż przeląkł się; bystrzêjsze teraz miał źrenice.  
Ledwie spojrzzał w rumiane Telimeny lice,  
Odkrył odrazu wielką, straszną tajemnicę —  
Przebóg, naróźowana!

Czy róż w złym gatunku,  
Czy jakoś na obliczu przetaił się z trafunku:  
Gdzieniedzie zrzędniął, na wskrós grubszą pleć odsłania...  
Może to sam Tadeusz, w *Świątyni dumania*,  
Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła  
Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła;  
Telimena wracała nazbyt spieszno z lasu,  
I poprawić kolory swe nie miała czasu:  
Około ust szczególniej widne były piegi.  
Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,  
Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolój zwiedzać  
Resztę wdzięków, i wszędzie jakiś fałsz wysledzać:  
Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni  
Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! Czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,  
Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie,  
Być szpiegiem swój kochanki; nawet jak szkaradnie,  
Odmieniać smak i serce — lecz któż sercem władnie?  
Darmo chce brak miłości zastąpić sumieniem,

Chłód duszy ogrzać znowu jój wzroku promieniem:  
Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,  
Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła...  
Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,  
Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tymczasem zły duch nową pokusą go wabi,  
Podsluchiwać co Zosia mówiła do Hrabi.  
Dziewczyna uprzejmością Hrabiego ujęta,  
Zrazu rumieniła się spuściwszy oczęta,  
Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali  
O jakimś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,  
O jakimś po łopuchach i grzędach stapaniu.  
Tadeusz, wyciągnąwszy co najdłużej uszy,  
Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.  
Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija  
Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,  
Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,  
Groząc stopie, co na nią nieostroźnie biegnie:  
Tak Tadeusz, opily trucizną zazdrości,  
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu, niech się kilku gniewa,  
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa:  
Strzelcy dawniej milczeli; druga stołu strona  
Umilkła, Tadeusza żółcią zarazona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,  
Nie miał ochoty gadać, widząc swoje córy,  
Posażne i nadobne panny, w wieku kwiecie,  
Zdaniem wszystkich najpiérwsze partye w powiecie,  
Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.  
Gościnnego Sędziego również to obchodzi;  
Wojski zaś, uważając że tak wszyscy milczą,  
Nazywał tę wieczerzę nie polską, lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,  
Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.  
Nie dziw! Ze szlachtą strawił życie na biesiadach,  
Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach:

Przywykł, żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,  
 Nawet wtenczas gdy milczał, lub z placką za muchą  
 Skradał się, lub zamknawszy oczy, siadał marzyć;  
 W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć  
 Pacierze różańcowe, albo gadać bajki.  
 Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,  
 Wymyślonej od Niemców, by nas zczudzoziemczyć;  
 Mawiał: Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.  
 Starzec, wiek przegwarzywszy, chciał spoczywać w gwarze;  
 Milczenie go budziło ze snu: tak młynarze,  
 Uśpieni kół turkotem, ledwie staną osie,  
 Budzą się, krzycząc z trwożą: A słowo stało się!

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,  
 A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,  
 Prosząc o głos. Panowie na ten ukłon niemy  
 Odkłonili się oba, co znaczy: prosimy.  
 Wojski zagaił:

„Śmiałym upraszać młodzieży,  
 A żeby po staremu bawić u wieczerzy,  
 Nie milczéć i żuć. Czy my Ojce Kapucyni?  
 Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni  
 Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie.  
 Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.  
 Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,  
 Ale aby nawzajem mogli się wygadać,  
 Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały,  
 Strzelców i oblawników, ogary, wystrzały,  
 Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,  
 Miła uchu myśliwców, jak druga oblawa.  
 Wiém, wiém o co wam idzie. Ta czarnych trosk chmura  
 Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!  
 Wstydzicie się swych pudel! Niech was wstyd nie pali:  
 Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali;  
 Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolój strzelecka.  
 Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,  
 Chybiałem! chybiał sławny ów starzec Tułoszczyk,  
 Nawet nie zawsze trafiał Pan Rejtan nieboszczyk.  
 O Rejtanie opowiem później. Co się tycze  
 Wypuszczenia z oblawy, że oba panicze

Zwierzowi, jak należy kroku nie dostali,  
 Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali,  
 Ani gani: bo zmykać, mając nabój w rurze,  
 Znaczyło po staremu być: tchórzem nad tchórze;  
 Toż wystrzelić na oślepa (jak to robi wielu),  
 Nie przypuściwszy zwierza, nie wzięwszy do celu,  
 Jest rzecz haniebna: ale kto dobrze wymierzy,  
 Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,  
 Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,  
 Albo walczyć oszczepem — lecz z własnej ochoty,  
 A nie z musu; gdyż oszczep strzelcom poruczony  
 Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.  
 Tak było po staremu. A więc mnie zawierzcie,  
 I waszej rejterady do serca nie bierzcie,  
 Kochany Tadeuszkę i Wielmożny Grafie;  
 Plekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,  
 Wspomnijcie też starego Wojskiego przestroge:  
 Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,  
 Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny...“

Właśnie Wojski wymawiał te słowo: *zwierzyny*,  
 Gdy Asesor półgębkiem podszeptał: *dziewczyny*.  
 Brawo! krzyknęła młodzież. Powstał szmer i śmiechy;  
 Powtarzano z kolei przestroge Hreczechy,  
 Mianowicie ostatnie słowo; ci *zwierzyny*,  
 A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli: *dziewczyny*,  
 Rejent szepnął: *kobiety*, Asesor: *kokiety*,  
 Utkwiwszy w Telimienie oczy jak sztylety,

Nie myślał wcale Wojski przymawiać nikomu,  
 Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu:  
 Rad bardzo, że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,  
 Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć;  
 I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

„Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;  
 Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,  
 Podobny do zdarzenia dzisiejszej obławy.  
 Klucznik mówił, że tylko znalazł jednego człeka,  
 Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka;

Ja zaś znalazem drugiego: równie trafnym strzałem  
 Ocalał on dwóch Panów; sam ja to widziałem,  
 Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów  
 Tadeusz Rejtan poseł i Księżę Denasów.  
 Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie:  
 Owszem, u stołu pierwsi wnieśli jego zdrowie.  
 Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,  
 I skórę zabitego dzika. O tym dziku  
 I o strzale, powiem wam, jak naoczny świadek:  
 Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,  
 A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,  
 Posłowi Rejtanowi i Księżciu Denassów.“

A wtém ozwał się Sędzia nalewając czasę:  
 „Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce waszel  
 Jeśli datkiem nie możem kwestarza z bogacić,  
 Postaramy się przecież za proch mu zapłacić:  
 Uręczamy, że niedźwiedz zabity dziś w boru  
 Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.  
 Lecz skóry księdzu nie dam: lub gwałtem zabiorę,  
 Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,  
 Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.  
 Skórą tą rozrządzimy według naszej woli:  
 Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży;  
 Skórę Jaśnie Wielmożny Pan nasz Podkomorzy  
 Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.“

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;  
 Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał:  
 Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,  
 Tamten psiarnię zawołał, ów zwierza nawrócił  
 Znowu w ostęp. Asesor z Rejentem się kłócił,  
 Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,  
 Drugi bałabanowskiej swój Sagalásówki.

„Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy.  
 Pierwszą nagrodę, słusznie zyskał sługa boży;  
 Lecz niełacno rozsądzić kto jest po nim drugi:  
 Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,



Wszyscy równi zrecznością, biegłością i męstwem.  
 Przecież, dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem,  
 Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura:  
 Tadeusz i Pan Hrabia; im należy skóra.  
 Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny),  
 Jako młodszy i jako gospodarza krewny;  
 Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia:  
 Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,  
 Niechaj pamiątką będzie dzisiejszej zabawy,  
 Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłej sławy.“

Umilknął wesół, myśląc, że Hrabie ucieszył;  
 Nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.  
 Bo Hrabia, na strzeleckiej komnaty wspomnienie,  
 Mimowolnie wzrok podniósł: a te łby jelenie,  
 Te gałęziste rogi, jakby las wawrzynów,  
 Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,  
 Te rzędami portretów zdobione filary,  
 Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,  
 Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;  
 Zbudził się z marzeń, wspomniął, gdzie, u kogo gości:  
 Dziedzic Horeszków, gościem wśród swych własnych progów,  
 Biesiadnikiem Sopliców. swych odwiecznych wrogów!  
 A przytém zawiść, którą czuł dla Tadeusza,  
 Tém mocniej Hrabie przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: „Mój domek zbyt mały  
 Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;  
 Niech lepij niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,  
 Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.“

Podkomorzy zgadując na co się zanosi,  
 Zadzwoił w tabakierę złotą, o głos prosi.

„Godzienieś pochwał, rzecze, Hrabio mój sąsiedzie,  
 Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie,  
 Nie tak jak modni wieku twojego panicze,  
 Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę  
 Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;  
 Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.

Mam już projekt zamiany; fundum wynagrodzić  
 Ziemią, w sposób następny.“ — Tu zaczął wywodzić  
 Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłej zamiany,  
 Już był w połowie rzeczy: gdy ruch niespodziany  
 Wszczął się na końcu stoła. Jedni coś postrzegli,  
 Wskazują palcem; drudzy oczyma tam biegli.  
 Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosa schylone  
 Wstecznym wiatrem, w przeciwną zwróciły się stronę  
 W kąt.

Z kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka,  
 Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,  
 Z małych drzwiczek, ukrytych pomiędzy filary,  
 Wysunęła się cicho postać, nakształt mary:  
 Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,  
 Po srebrzystych na żółtej kurcie Półkozicach.  
 Stapał jako słup prosto, niemy i surowy,  
 Nie zdjawszy czapki, nawet nie schyliwszy głowy;  
 W rękę trzymał błyszczący klucz jakby pugiuał,  
 Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary  
 Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;  
 Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,  
 Południe wskazywały często o zachodzie.  
 Gerwazy nie przybrał się maszyny naprawić,  
 Ale bez nakręcania nie chciał jój zostawić:  
 Dręczył kluczem zegary każdego wieczora.  
 Właśnie teraz przypadła nakręcania pora;  
 Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę  
 Stron interesowanych, on pociągnął wagę:  
 Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,  
 Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rozprawę.  
 „Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę!“  
 I kończył plan zamiany. Lecz Klucznik na psotę  
 Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru,  
 I wnet gil, który siedział na wierzchu zegaru,  
 Trzepocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty.  
 Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda, że popsuty  
 Zająkał się i piszczał, im dalej tém gorzej.

Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.  
 „Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,  
 Jeśli dziób twój szanujesz, dość mi tego krzyku.“

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył;  
 Prawą rękę poważnie na zegar położył,  
 A lewą wziął się pod bok. Tak oburacz wsparty,  
 „Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty;  
 Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach  
 Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach.  
 Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze  
 Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.“

„Za drzwi z nim!“ Podkomorzy krzyknął.

„Panie Hrabia!

Zawołał Klucznik, widzisz Pan, co się wyrabia.  
 Czy nie dosyć się jeszcze Pański honor plami,  
 Że Pan jadasz i pijasz z tymi Soplicami;  
 Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,  
 Gerwazego Rębajłę, Horeszków Klucznika  
 Lżyć w domu panów moich, i panże to znieśie?“  
 Wtém Protazy zawołał trzykroć: „Uczście się!  
 Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,  
 Dwojga imion, General niegdyś trybunalski,  
 Vulgo Woźny, woźnieńską obdukeyę robię  
 I wizyę formalną, zamawiając sobie  
 Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo,  
 I Pana Asesora wzywając na śledztwo,  
 Z powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:  
 O inkursyą, to jest o najazd granicy,  
 Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,  
 Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.“  
 „Brzechaczu! wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę!“  
 I dobywszy z za pasa swe żelazne klucze,  
 Okręcił w koło głowy, puścił z całej mocy.  
 Pęk żelaza wyleciał, jako kamień z procy,  
 Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci:  
 Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy; chwilę była głucha  
 Cichość, aż Sędzia krzyknął: „W dyby tego zucha!  
 Hola chłopcy!“ i czeladź rzuciła się żwawo  
 Ciasnym przejściem pomiędzy ścianami i ławą.  
 Lecz Hrabia krzesłem w środku zagroził im drogę,  
 I na tym szanću słabym utwierdziwszy nogę:  
 „Wara! zawołał, Sędzio! nie wolno nikomu  
 Krzywdzić sługę mego w moim własnym domu;  
 Kto ma na starca skargę niech mi ją przełoży.“

Zysem w oczy Hrabiemu spojrział Podkomorzy:  
 „Bez Waścinój pomocy ukarać potrafię  
 Zuchwałego szlachetkę; a Waść, Mości Grafie,  
 Przed dekretem ten zamek zawczasie przywłaszczasz:  
 Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz.  
 Siedź cicho jakieś siedział; jeśli siwój głowy  
 Nie czcisz, to szanuj piérwszy urząd powiatowy.“

„Co mi? odmruknął Hrabia, dość już tój gawędy;  
 Nudźcie drugich waszymi względy i urzędy!  
 Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Waćpaństwem  
 W pijatyki, które się kończą grubiaństwem;  
 Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy.  
 Do widzenia po trzeźwu! Pójdź za mną Gerwazy!“

Nigdy się odpowiedzi takiój nie spodziewał  
 Podkomorzy. Właśnie swój kieliszek nalewał,  
 Gdy zuchwałstwem Hrabiego rażony jak gromem,  
 Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,  
 Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,  
 Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;  
 Milczał, lecz kielich w rękę tak potężnie cisnął,  
 Że szkło dźwięknawszy pękło, płyn w oczy mu prysnął,  
 Rzekłbyś, że z winem, ognia w duszę się nalało,  
 Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało.  
 Zerwał się mówić; pierwsze słowo niewyraźnie  
 Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało: „Błaźnie!  
 Grafiatko! Ja cię! Tomasz, karabele! Ja tu  
 Nauczę ciebie mores błaźnie! daj go katu!  
 Względy, urzędy nudzą uszko delikatne!

Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płatnę!  
Fora za drzwi! Do korda! Tomasz, karabele!“

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;  
Sędzia porwał mu rękę: „Stój Pan, to rzecz nasza,  
Mnie tu naprzód wyzwano. Protazy, pałasza!  
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju“.  
Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał: „Panie stryju,  
Wielmożny Podkomorzy, czy się Państwu godzi  
Wdawać się z tym fircykiem? czy tu niema młodzi?  
Na mnie to zdajcie: ja go należycie skarce.  
A Waszeć, panie smiałku, co wyzywasz starce,  
Obaczym, czyli jesteś tak strasznym rycerzem:  
Rozprawimy się jutro, plac i broń wybierzem;  
Dziś uchodź pókiś cały“.

Dobra była rada:

Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nielada.  
Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,  
Ale z ostrego końca latały butelki  
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety  
W prośby, w płacz. Telimena, krzyknawszy: „niestety!“  
Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,  
I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,  
Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.  
Hrabia, choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,  
Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,

Wystawiony na stołków i butelek razy,  
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście  
Rzuciła się nań zewsząd hurmem: gdy na szczęście  
Zosia, widząc szturm, skoczy, i litością zdjęta,  
Zasłania starca, na krzyż rozpiąwszy rączęta.  
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,  
Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował:  
Gdy nagle, z drugiej strony, wyszedł jak z pod ziemi,  
Podniosłszy w górę ławę ramiony silnemi,  
Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,  
Wziął Hrabie, i tak oba, ławą zasłonieni,  
Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,  
Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzął na wrogów,



Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,  
 Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie:  
 Obrął drugie. Już ławę, jak taran murowy,  
 W tył dźwignął dla zamachu; już ugiąwszy głowy,  
 Z wypiętą naprzód piersią, z podniesioną nogą,  
 Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczył w sercu trwożę.

Wojski, cicho siedzący z przymrużoném okiem,  
 Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiem.  
 Dopiero, gdy się Hrabia z Podkomorzym skłócił  
 I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,  
 Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.  
 Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,  
 Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,  
 O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.  
 Przypatrywał się zatém z ciekawością walce;  
 Wyciągnął zlekka na stół rękę, dłoń i palce,  
 Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznoccia  
 Indeksu, a żelazem zwrócony do łokcia;  
 Potém ręką w tył nieco wychyloną kiwał,  
 Niby bawiąc się: lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,  
 Już była zaniehbana podówczas na Litwie,  
 Znajoma tylko starym; Klucznik jój próbował  
 Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej celował.  
 Widać z zamachu ręki że silnie uderzy.  
 A z oczu łącno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy,  
 (Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)...  
 Mniej baczni młodzi, ruchów starca nie pojęli:  
 Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,  
 Cofa się ku drzwiom... „Łapaj!“ krzyknęła gromada.

Jako wilk, obskoczony znieacka przy ścierwie,  
 RzUCA się oslep w zgrają co mu ucztę przerwie;  
 Już goni, ma ją szarpać: wtém, śród psiego wrzasku  
 Trzasło ciche półkurcze; wilk zna je po trzasku,  
 Śledzi okiem, postrzega, że z tyłu, za charty,  
 Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty,  
 Rurą ku niemu wije i już cynгла tyka...  
 Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka;

Psiarnia z tryumfującym rzuca się hałasem,  
 I skubie go po kudłach; zwierz zwraca się czasem,  
 Spojrzy, kłapnie paszczką, i białych kłów zgrzytem  
 Ledwie pogrozi; psiarnia pierzcha ze skowytom:  
 Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,  
 Wstrzymując napastników oczyma i lawą,  
 Aż razem z Hrabią wpadli w głąb ciemnej framugi.

„Łapaj!“ krzyknięto znowu. Tryumf był niedługi:  
 Bo nad głowami tłumu Klucznik niespodzianie  
 Ukazał się na chórze, przy starym organie,  
 I z trzaskiem jął wrywać ołowiane rury.  
 Wielką by klęskę zadał, uderzając z góry;  
 Ale już goście tłumnie wychodzili z sieni,  
 Nie śmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,  
 I chwytając naczynia w ślad panów uciekli,  
 Nawet nakrycia z częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, nie dbając na groźby i razy,  
 Ustąpił z placu bitwy? — Brzechalski Protazy.  
 On, za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,  
 Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,  
 Aż skończył, i z pustego zszedł pobojowiska,  
 Kędy zostały trupy, ranni i zwałiska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy  
 Miały zwichnione nogi; stół także kulawy,  
 Obnażony z obrusa poległ na talerzach  
 Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,  
 Między licznymi kurcząt i indyków ciała,  
 W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili, w Horeszkowskim samotnym budynku  
 Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.  
 Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady  
 Leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na Dziady  
 Zgromadzać się zakłętę mają nieboszczyki.  
 Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki  
 Jak guślarze: zdają się witać wschód miesiąca,  
 Którego postać oknem spadła na stół, drżąca,

Niby dusza czyscowa; z podziemia, przez dziury  
 Wyskakiwały, naksztalt potępieńców szczury:  
 Gryzą, piją, czasami w kącie zapomniana  
 Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugiem pięttrze, w izbie, którą zwano,  
 Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,  
 Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie;  
 Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramię,  
 Drugi rękaw i poły u szyi zfałdował,  
 I pierś surdudem jakby płaszczem udrapował.  
 Gerwazy chodził kroki wielkimi po sali;  
 Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:  
 „Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą — pałasze“.  
 „Zamek, rzekł Klucznik, i wieś, oboje to nasze“.  
 „Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemię  
 Wyzywaj!“ — „Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemię  
 Zabieraj pan“. To mówiąc zwrócił się do Hrabi:  
 „Jeśli pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.  
 Po co proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta:  
 Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;  
 Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,  
 I jak pan wie, oddano władaniu Soplicy.  
 Nietylko tę część — wszystko zabrać im należy,  
 Za koszta procesowe, za karę grabieży.  
 Mówiłem panu zawsze: procesów zaniechać;  
 Mówiłem panu zawsze: najechać, zajechać!  
 Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie,  
 Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.  
 Co się tyczy dawniejszych z Soplicami sprzéczek,  
 Jest na to od procesu lepszy scyzoryczek;  
 A jeśli Maciej w pomoc da mi swą różeczkę,  
 To my we dwóch, Sopliców tych porznięm na sieczkę“.

„Brawo! rzekł Hrabia, plan twój gotycko-sarmacki,  
 Podoba się mi lepiej niż spór adwokacki.  
 Wiész co? na całej Litwie narobim hałas  
 Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.  
 I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,  
 Jakąż bitwę widziałem? z chłopami o miedzę!

Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży.  
 Odbylem taką jedną w czasie mych podróży.  
 Gdym w Sycylii bawił u pewnego księcia,  
 Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,  
 I okupu od krewnych żądali zuchwale;  
 My zebrawszy naprędce sługi i wassale,  
 Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,  
 Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.  
 Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,  
 Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!  
 Lud z kwiatami spotykał nas; córka księżęcia  
 Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.  
 Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,  
 Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.  
 Nawet wydrukowano o całym zdarzeniu  
 Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.  
 Romans ma tytuł: *Polak, czyli tajemnice  
 Zamku Birbante-rokka*. Czy są tu ciemnice  
 W tym zamku? — „Sa, rzekł Klucznik, ogromne piwnice,  
 Ale puste! bo wino wypili Soplice“.  
 „Dzokiejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,  
 Z włości wezwać wassalów!“ — „Lokajów? broń Boże!  
 Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?  
 Kto widział zajazd robić z chłopstwem i z lokajstwem?  
 Mój panie, na zajazdach nie znacie się wcale!  
 Wąsarów co innego, zdadzą się wąsale.  
 Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach:  
 W Dobrzyńcu, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach;  
 Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,  
 Wszyscy przychylni panów Horeszków rodzinie,  
 Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!  
 Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;  
 To rzecz moja. Pan niechaj do palacu wraca  
 I wyspi się, bo jutro będzie wielka praca;  
 Pan spać lubi, już późno, drugi już kur pieje.  
 Ja tu będę pilnował zamku aż rozdnieje,  
 A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku“.

Na te słowa Pan Hrabia ustąpił z krążanku;  
 Ale nim odszedł, spojrział przez otwór strzelnicy,

I widząc światła mnóstwo w domowstwie Soplicy:  
 „Illuminujcie! krzyknął, jutro o tej porze,  
 Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze!...“

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,  
 I pochylił ku piersiom czoło zadumane.  
 Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysej,  
 Gerwazy po nim kręślił palcem różne rysy;  
 Widać, że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.  
 Cięża mu coraz bardziej powieki brzemienne;  
 Bezwładną kiwnął szyją, czuł, że go sen bierze;  
 Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.  
 Lecz między Ojczenaszem i Zdrowaś Maryją,  
 Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:  
 Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne pany,  
 Ci niosą karabele, drudzy buzdygany,  
 Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,  
 Składa się karabelą, buzdyganem wstrząsa;  
 Za nimi jeden cichy, posepny cień mignął,  
 Z krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,  
 Poznał Stolnika; zaczął wkoło siebie żegnać,  
 I ażeby tém pewniej straszne sny rozegnać,  
 Odmawiał litanię o czyscowych duszach.  
 Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach.  
 Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabele:  
 Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!  
 I ogląda sam siebie, jak na koniu siwym,  
 Z podniesionym nad głową rapiérem straszliwym  
 Leci; — rozpięta na wiatr szumi taratka,  
 Z lewego ucha spadła w tył konfederatka,  
 Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,  
 I nakoniec Soplicę w stodole podpala.  
 Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,  
 I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.



## KSIEGA VI.

### ZAŚCIANEK.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu. — Wyprawa Protazego. — Robak z panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej. — Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznej. — Ustęp o konopiach. — Zaścianek szlachecki Dobryń. — Opisanie domowstwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.

Nieznacznie, z wilgotnego wykradał się mroku  
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.  
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:  
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy  
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu,  
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,  
Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię;  
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło  
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło  
I zdybało zające przy późnym śniadaniu.  
One zwykły do gajów wracać o świtaniu:  
Dziś okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,  
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,  
I na wolnym powietrzu myślą użyć wczasu;  
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,  
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,  
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży  
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów kałuży,

Klekce bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe,  
 Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,  
 Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.  
 Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,  
 Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,  
 Tém smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.  
 Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,  
 Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,  
 Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki  
 Stają, ostrzą żelaza i w takt kują młotki.  
 Ludzi we mgle nie widać: tylko sierpy, kosy,  
 I pieśni brzmią jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku, na snopie zboża Ekonom usiadłszy  
 Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,  
 Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,  
 Kędy działa się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach, od samego ranka  
 Panuje ruch niezwykły. Stąd chłopska furmanka  
 Skrzypi, lecąc jak poczta; stąd szlachecka bryka  
 Cwałem tarkoce, drugą i trzecią spotyka;  
 Z lewój drogi posłaniec jak kurjer goni,  
 Z prawej przebiegło w zawód kilkanaście koni:  
 Wszyscy śpieszą, ku różnym kierują się stronom.  
 Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom,  
 Chciał przypatrzeć się, spytać; długo stał nad drogą,  
 Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,  
 Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy;  
 Tylko słyhać raz poraz tętent kopyt głuchy,  
 I co dziwniejsza jeszcze, szczęknięcie pałaszy:  
 Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.  
 Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,  
 Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,  
 O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.  
 Miałyżby wojnę wróżyć ci jezdźcy? te bronie?  
 Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,  
 Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście, po klótni  
 Wczorajszej, wstali z siebie nieradzi i smutni.  
 Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,  
 Mężczyznom próżno karty dają do maryasza:  
 Nie chcą bawić się, ni grać, siedzą cicho w kątkach,  
 Mężczyzni palą lulki, kobiety przy prątkach;  
 Nawet śpią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,  
 Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę;  
 Woli w kuchennój słuchać ochmistrzyni krzyków,  
 Gróźb i razów kucharza, hałasu kuchcików:  
 Aż go powoli wprawił w przyjemne marzenie  
 Ruch jednostajny roznów kręcących pieczenie.

Sędzia od rana pisał, zamknąwszy się w izbie;  
 Woźny od rana czekał pod okiem na przyzbie.  
 Sędzia, skończywszy pozew, Protazego wzywa,  
 Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:  
 O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,  
 Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;  
 Obudwu o przechwałki, o koszta z powodu  
 Procesu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.  
 Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywiście,  
 Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą  
 Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;  
 Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.  
 Na samą myśl procesu czuł, że się odmłodził:  
 Wspomniał na dawne lata, gdy z pozwami chodził  
 Po guzy, ale razem po zapłaty hojne.  
 Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,  
 A na starość w szpitalach spoczywa kaleki:  
 Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,  
 Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: „Bij Moskala!“  
 I na drewnianój nodze skacze ze szpitala,  
 Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzieź.

Protazy spieszył włożyć swą woźnieńską odzież.  
 Przecież żupana ani kontusza nie kładzie:  
 One służą ku wielkiej sądowej paradzie;  
 Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy  
 I kurtę, której poły, podpięte na guzy,

Można zakasać albo spuścić na kolana;  
 Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,  
 Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słotą.  
 Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą;  
 Bo woźni przed procesem jak szpiegi przed bojem,  
 Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy, że w drogę pośpieszył,  
 Bo niedługo by swoim pozwem się nacieszył:  
 W Soplicowie zmieniano kampanii plany.  
 Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany,  
 I rzekł: „Sędzio, to bięda nam z tą panią ciotką,  
 Z tą panią Telimeną, kokietka i trzpiotką!  
 Kiedy Zosia została dzieckiem w biednym stanie,  
 Jacek ją Telimienie dał na wychowanie,  
 Słyszac, że jest osoba dobra, świat znająca,  
 A postrzegam, że ona coś tu nam zamąca,  
 Intryguje i podobno Tadeuszka wabi:  
 Śledzę ją; albo może bierze się do Hrabi,  
 Może do obu razem. Obmyślmy więc środki,  
 Jak się jej pozbyć: bo stąd mogą urosć plotki,  
 Zły przykład i pomiędzy mlókosami zwady,  
 Które mogą pomieszać twe prawne układy.“  
 „Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapalem:  
 Z układów kwita, już je skończyłem, zerwałem.“  
 „A to co? przerwał Robak, gdzie rozum? gdzie głowa?  
 Co tu mi Wasze bajesz? jaka burda nowa?“  
 „Nie z méj winy, rzekł Sędzia, proces to wyjaśni:  
 Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,  
 I Gerwazy łotr: lecz to do sądu należy.  
 Szkoda, żeś nie był, Księżu, w zamku na wieczerzy,  
 Poświadczyłbyś, jak Hrabia srodze mnie obraził.“  
 „Po coś Waś, krzyknął Robak, do tych ruin laził?  
 Wiész, jak zamku niecierpię; odtąd moja noga  
 Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!  
 Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzyć.  
 Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć:  
 Ważniejsze ja mam sprawy, niż godzić pieniaczy:  
 Ale jeszcze raz zgodzę.“ — „Zgodzić? cóż to znaczy!

A idźże mi Waśc wreszcie z tą zgodą do licha!  
 — Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą — patrzcie mnicha!  
 Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić!  
 Więdz Wasze, że Soplice nie zwykli się godzić:  
 Gdy pozwą, muszą wygrać; nieraz w ich imieniu  
 Trwał proces, aż wygrali w szóstém pokoleniu.  
 Dostyc zrobiłem głupstwa z porady Waszeci,  
 Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.  
 Od dzisiaj niema zgody, niema, niema, niema!  
 (— I krzyząc chodził, tupał nogami obiema. —)  
 Prócz tego, za wczorajszy niegrzeczny uczynek  
 Musi mnie deprekować, albo pojedynek!“  
 „Ale Sędzio, cóż będzie, jak się Jacek dowie?  
 Wszak on umrze z rozpaczy! Czyliż Soplicowie  
 Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego?  
 Bracie! wspominać nie chcę wypadku straszniego...  
 Wiész także, że część gruntów od zamku dziedzica  
 Zebrała i Soplicom dała Targowica...  
 Jacek, za grzech żałując, musiał był ślubować  
 Pod absolucją, dobra te restytuować,  
 Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę uboga  
 Hodować, wychowanie jej opłacał drogo;  
 Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać,  
 I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,  
 I dziedzicze bez wstydu ustąpić grabieży...“  
 „Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?  
 Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;  
 Ledwie słyszał o jego życiu hajdamackiem,  
 Siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole,  
 Potém u Wojewody służąc za pacholę.  
 Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,  
 Przyjąłem, hodowałem, myślę o jej losie:  
 Dość mnie nudzi ta cała historia babia!  
 A potém, czegóż jeszcze wlaźł mi tu ten Hrabia?  
 Z jakim prawem do zamku? Wszak wiész przyjacielu,  
 On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!  
 I ma mnie lżyć? a ja go zapraszać do zgody!“  
 „Bracie! rzekł ksiądz, ważne są do tego powody.  
 Pamiętaj, że Jacek chciał do wojska ślać syna,  
 Potém w Litwie zostawił: cóż w tém za przyczyna?



Oto, w domu ojczyźnie potrzebniejszy będzie.  
 Słyszałeś pewnie, o czém już gadają wszędzie,  
 O czém ja wiadomości przynosiłem nieraz;  
 Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!  
 Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!  
 Wojna o Polskę! bracie! będziem Polakami!  
 Wojna niechybna! Kiedy z poselstwem tajemnym  
 Tu biegłem, wojsk forpoczty już stały nad Niemnem;  
 Napoleon już zbiera armię ogromną,  
 Jakiż człowiek nie widział i dzieje nie pomną;  
 Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,  
 Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!  
 Już są w drodze, na pierwszy znak Napoleona  
 Przejdą Niemen, i bracie! ojczyzna wskrzeszona!“

Sędzia słuchając, zwolna okulary składał  
 I wpatrując się mocno w księdza nic nie gadał,  
 Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły...  
 Wreszcie porwał za szyję księdza z całej siły:  
 „Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?  
 Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?  
 Ileż razy zwodzono! pamiętasz? gadali:  
 Napoleon już idzie! i my już czekali!  
 Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,  
 Wkracza do nas! A on! co? pokój w Tylży zrobił!  
 Czy tylko prawda? Czy ty nie zwodzisz sam siebie?“  
 „Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie!“  
 „Błogosławioneż niechaj będą usta, które  
 To zwiastują! rzekł Sędzia, wznosząc ręce w górę.  
 Nie pożałujesz twego poselstwa Robaku,  
 Nie pożałuje klasztor: dwieście owiec z braku  
 Daję na klasztor. Księżę, tyś się wczoraj palił  
 Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił:  
 Dziś zaraz w tym kwestarskim wozie pójdą oba;  
 Dziś prosź mnie o co zechcesz, co ci się podoba,  
 Nie odmówię!... Lecz o tym interesie całym  
 Z Hrabią, daj pokój: skrzywdził mnie, już zapozwałem;  
 Czyż wypada?“

Załamal ręce Ksiądz zdziwiony.  
 Wlepiwszy oczy w Sędzię, ruszywszy ramiony,

Rzekł: „To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,  
 Gdy świat drży cały, to ty myślisz o procesie?  
 I jeszczeż po tém wszystkiém, com tobie powiedział,  
 Będziesz spokojnie, ręce złożwszy, siedział,  
 Gdy działać trzeba!“ — „Działać? Cóż?“ Sędzia zapytał.  
 „Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?  
 Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach bracie!  
 Jeśli Soplicowskiéj krwi kroplę w żyłach macie,  
 Uważ tylko: Francuzi uderzają z przodu...  
 A gdyby z tyłu zrobić powstanie narodu?  
 Co myślisz? Niech-no Pogoń zarży, niech na Żmudzi  
 Niedźwiedź ryknie! Ach, gdyby jakie tysiąc ludzi,  
 Gdyby choć pięćset z tyłu na Moskwę natarło,  
 Powstanie jako pożar w koło rozpostarło,  
 Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków,  
 Zwycięzcy szli powitać wybawców rodaków?...  
 Ciagniemy! Napoleon widząc nasze lance,  
 Pyta: co to za wojsko? my krzyczym: powstańce  
 Najjaśniejszy Cesarzu, Litwa ochotnicy!  
 Pyta: Pod czyją wodzą? — Sędzięgo Soplicy!  
 Ach, któżby potém pisać śmiał o Targowicy?...  
 Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,  
 Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć;  
 Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica  
 Wskazywać palcem, mówiąc: oto jest Soplica,  
 Z tych Sopliców, co pierwsi zrobili powstanie!“

A na to Sędzia: „Mniéjsza o ludzkie gadanie;  
 Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata:  
 Bóg świadkiem, że m niewinien grzechów mego brata;  
 W politykę jam nigdy bardzo się nie wdawał,  
 Urzędując i orząc mojej ziemi kawał.  
 Lecz jestem szlachcic, radbym plamę domu znazać;  
 Jestem Polak, dla kraju radbym coś dokazać,  
 Choć duszę oddać. W szablę nie byłem zbyt tegi,  
 Wszakże, bierali ludzie i odemnie ciegi;  
 Wié świat, że w czasie polskich ostatnich sejmików  
 Wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików,  
 Którzy... Ale to mniéjsza. Jakże Wasze myśli?  
 Czy potrzeba, żebyśmy zaraz w pole wysli?“

Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek;  
 W plebanii u Księdza jest kilka armatek;  
 Przypominam, iż Jankiel mówił, iż u siebie  
 Ma groty do lanc, że je mogę wziąć w potrzebie;  
 Te groty przywiózł w pakach gotowych z Królewca  
 Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca,  
 Szabel nam nie zabraknie; szlachta na koń wsiedzie,  
 Ja z synowcem na czele, i — jakoś to będzie!“

„O polska krwi! — zawołał Bernardyn wzruszony,  
 Z otwartymi skoczywszy na Sędzię ramiony —  
 Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza  
 Oczyszczyć grzechy brata twojego tułacza!  
 Zawszem ciebie szanował; ale od téj chwili  
 Kocham cię, jak gdybyśmy bracią sobie byli!...  
 Przygotujemy wszystko; lecz wyjść nie czas jeszcze:  
 Ja sam wyznaczę miéjsce i czas wam obwieszczę.  
 Wiém, że Car wysłał gońców do Napoleona  
 Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona:  
 Lecz Książę Józef słyszał od Pana Biniona  
 Francuza, co należy do cesarskiej rady,  
 Że się na niczém skończą te wszystkie układy,  
 Że będzie wojna. Książę wysłał mnie na zwiady,  
 Z rozkazem, żeby byli Litwini gotowi  
 Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,  
 Że chcą złączyć się znowu z siostrą swą, Koroną,  
 I żądają, ażeby Polskę przywrócono.  
 Tymczasem, bracie, z Hrabią trzeba przyjść do zgody.  
 Jest to dziwak, fantastyk trochę, ale młody,  
 Poczciwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,  
 W rewolucyach bardzo potrzebne dziwaki:  
 Wiém z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą,  
 Byle tylko poczciwi i pod mądrych władzą.  
 Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,  
 Cały powiat ruszy się, jeśli on powstanie;  
 Znając jego majątek, każdy szlachcic powie:  
 Musi to być rzecz pewna, gdy z nią są panowie.  
 Biegę do niego zaraz...“ — „Niech się piérwszy zgłosi,  
 Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mnie przeprosi;

Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!  
 Co się tyczy procesu, sąd arbitrów będzie...“  
 Bernardyn trzasnęła drzwiami. „No, szczęśliwa droga!“  
 Rzekł Sędzia.

Książdz wpadł w powóz stojący u proga;  
 Tnie biczem konie, lechce lejcami po bokach;  
 Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach;  
 Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury  
 Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi.  
 Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,  
 Bieży ku niej, a strzelców zna fortele skryte,  
 Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę  
 I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,  
 Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli?  
 Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci,  
 Krąży około domu; pałkę w ręku kręci,  
 Udaje, że obaczył kędys bydło w szkodzie.  
 Tak zręcznie lawirując, stanął przy ogrodzie.  
 Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi:  
 Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W tej zielonój, pachnącej i gęstej krzewinie,  
 Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie  
 I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,  
 Skacze skryć się w konopiach bezpieczniej niż w chróście;  
 Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,  
 Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.  
 W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka,  
 Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.  
 I nawet często zbiegli od rekruta chłopci,  
 Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą wśród konopi.  
 I stąd to w czasie bitew, zajazdów, tradowań,  
 Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań,  
 Ażeby stanowisko zająć konopiane,  
 Które z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,  
 A z tyłu, popolicie stykając się z chmielem,  
 Kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczył nieco strachu;  
 Bo przypomniał z samego rośliny zapachu  
 Różne swoje dawniejsze, woźnieńskie przypadki,  
 Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:  
 Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet,  
 Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,  
 Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,  
 Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.  
 Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,  
 Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,  
 Przyjawszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,  
 I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,  
 Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,  
 Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjédz twój papier!  
 Woźny niby jeść zaczął jak człowiek roztropny,  
 Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie, już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem  
 Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,  
 I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie:  
 Ale Protazy o tój obyczajów zmianie  
 Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.  
 Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,  
 Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,  
 Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę,  
 Dla nagłacój potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa —  
 Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa,  
 I rozchylając gęstwę badyłów, w jarzynie  
 Jako rybak pod wodą nurkujący płynie;  
 Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się skrada —  
 Cicho wszędzie — przez okna głąb pałacu bada —  
 Pusto wszędzie — na ganek wchodzi nie bez strachu,  
 Odmyka kłamkę — pusto jak w zaklętym gmachu.  
 Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.  
 A wtém, usłyszał turkot, uczył serca drzenie,  
 Chciał uciec... gdy ode drzwi zaszła mu osoba,  
 Szczęściem znajoma! Robak! Żdziwili się oba.  
 Widno, że Hrabia kędyś ruszył z całym dworem,  
 I bardzo spieszył, bo drzwi zostawił otworem.



Widać, że się uzbrajał: leżały dwururki  
 I sztuce na podłodze, dalej sztenfle, kurki,  
 I narzędzia ślusarskie, którymi rynsztunki  
 Poprawiano, proch, papier; robiono ładunki.  
 Czy Hrabia z całym dworem wyjechał na łowy?  
 Ale po cóż broń ręczna? Tu szabla bez głowy  
 Zardzewiała, tam leży szpada bez teplaku:  
 Zapewne wybierano oręż z tego braku,  
 I poruszono nawet stare broni składy.  
 Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,  
 A potem do folwarku wybrał się na zwiady,  
 Szukając sług, żeby się rozpytał o Hrabie.  
 W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,  
 Od których słyszy, że pan i dworska drużyna  
 Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Y Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek  
 Męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek.  
 Niegdyś możny i ludny: bo gdy Król Jan Trzeci  
 Obwołał pospolite ruszenie przez wici,  
 Chorąży województwa z samego Dobrzyna  
 Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś rodzina  
 Zmniejszona, zubożała. Dawniej w pańskich dworach  
 Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach,  
 Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.  
 Teraz, zmuszeni sami pracować na siebie,  
 Jako zaciężne chłopstwo! Tylko że siermięgi  
 Nie noszą, lecz kapoty białe, w czarne pręgi,  
 A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek  
 Najuboższych, różni się od chłopskich katanek:  
 Zwykle chodzą w drelichach albo perkaliczkach,  
 Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach  
 I zną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią  
 Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.  
 Czysta krew lacka, wszyscy mieli czarne włosy,  
 Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;

Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli.  
 A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,  
 Zachowali mazurską mowę i zwyczaję.  
 Jeśli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,  
 Zawsze zwykł za patrona brać Koroniasza:  
 Świętego Bartłomieja albo Matyasza;  
 Tak syn Macieja zawždy zwał się Bartłojem,  
 A znowu Bartłojem syn zwał się Maciejem;  
 Kobięty wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.  
 By rozznać się wpośród takiej mieszaniny,  
 Brali różne przydomki, od jakiej zalety  
 Lub wady, tak mężczyźni jako i kobiety.  
 Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,  
 Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;  
 Czasem jedenże szlachcic inaczej w Dobrznie,  
 A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.  
 Dobrzyńskich naśladowając, inna szlachta bliska  
 Brała również przydomki, zwane *imioniska*.  
 Teraz ich każda prawie używa rodzina,  
 A rzadki wié, iż mają początek z Dobrznia.  
 I były tam potrzebne: kiedy w reszcie kraju  
 Głupie naśladowictwem weszły do zwyczaj.

Więc Matyas Dobrzyński, który stał na czele  
 Całej rodziny, zwan był *Kurkiem na kościele*.  
 Potém, z siedemset dziewięćdziesiąt czwartym rokiem,  
 Odmieniwszy przydomek, ochrzcił się *Zabokiem*;  
 Toż *Królikiem* Dobrzyńscy mianują go sami,  
 A Litwini nazwali *Maćkiem nad Maćkami*.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem  
 Panował, stojąc między karczmą i kościołem.  
 Widać rzadko zwiędzany, mieszka w nim hołota,  
 Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,  
 Niezasiane, na grzędach już porosły brzoski:  
 Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,  
 Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,  
 I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał z cegły.  
 Obok lamus, śpichrz, gumno, obora i stajnie,  
 Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;

Wszystko nadzwyczaj stare, zgnile. Domu dachy  
 Świeciły się jak gdyby od zielonój blachy,  
 Od mchu i trawy, która buja jak na łące.  
 Po strzechach gumien niby ogrody wiszące  
 Różnych roślin: pokrzywa i krokos czerwony,  
 Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.  
 Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,  
 W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki  
 Białe, skaczą i ryją w niedeptanej darni.  
 Slowem, dwór nakształt klatki albo królikarni.

V
 A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,  
 Że wielkich i że częstych doznawał napadów.  
 Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa  
 Wielka, leżała kula żelazna, działowa,  
 Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte  
 Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.  
 Na dziedzińcu, z pomiędzy piołunu i chwastu,  
 Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu  
 Na ziemi nieświęconej: znać, że tu chowano  
 Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.  
 Ktoby uważał zbliska lamus, śpichrz i chatę,  
 Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate  
 Niby rojem owadów czarnych: w każdej plamie  
 Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domowstwa wszystkie klamki, ćwieki, haki,  
 Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:  
 Pewnie tu próbowano hartu Zygmunówek,  
 Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek,  
 Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczyrby.  
 Nade drzwiami, Dobrzyńskich widne były herby;  
 Lecz armaturę — serów zasłoniły pułki  
 I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.  
 Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,  
 Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w stariej zbrojowni.  
 Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,  
 Ozdoby czoł marsowych: dziś Wenery ptaki,  
 Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.  
 W stajni, kolczuga wielka nad żłobem rozpięta

I pierścieniasty pancierz służą za drabinę,  
 W którą chłopiec zarzuca żrebcem dzięcielinę.  
 W kuchni kilka rapiérów kucharka bezbożna  
 Odhartowała, kładąc je w piec zamiast różna;  
 Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna.  
 Slowem, wygnała Marsa Ceres gospodarna,  
 I panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem,  
 Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.  
 Ale dziś muszą znowu ustąpić boginie:  
 Mars powraca.

O świcie zjawił się w Dobrzymie  
 Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,  
 Budzi jak na pańszczyznę. Wstają szlachta braty,  
 Napęlniają się ciźbą zaścianku ulice,  
 Słychać krzyk w karczmie, widać w plebanii świece.  
 Biegają: jeden drugiego pyta, co to znaczy?  
 Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy.  
 Kobięty zatrzymują, chłopcy się szamocą,  
 Rwą się biedz, bić się, ale nie wiedzą z kim, o co?  
 Muszą chcąc nie chcąc zostać. W mieszkaniu plebana  
 Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana;  
 Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi  
 Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski,  
 Niskiego wzrostu, dawny konfederat barski.  
 Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele  
 Jego damaskowaną krzywą karabelę,  
 Którą piki i sztyki rzezał naksztalt sicczi,  
 I której żartem skromne dał imię *rózczi*.  
 Z konfederata stał się stronnikiem królewskim,  
 I trzymał z Tyzenhauzem podskarbin litewskim:  
 Lecz gdy Król w Targowicy przyjął uczestnictwo,  
 Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo.  
 I stąd to, że przechodził partyi tak wiele,  
 Nazywany był dawniej *Kurkiem na kościele*:  
 Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.  
 Przyczynę zmian tak częstych naprózno byś macał:  
 Może Maciej zbyt wojnę lubił; zwyciężony  
 W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?

Może bystry polityk, duch czasu zbadywał,  
 I tam szedł, gdzie ojczyzny dobro upatrywał?  
 Kto wie! To pewna, że go nigdy nie uwiiodły  
 Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły,  
 I że nigdy z moskiewską partya nie trzymał;  
 Na sam widok Moskala pieniał się i zżymał.  
 By nie spotkać Moskala, po kraju zaborze  
 Siedział w domu jak niedźwiedź, gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował, poszedłszy z Ogińskim  
 Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,  
 I tam z *rózeczką* cudów dokazał odwagi.  
 Wiadomo, że sam jeden skoczył z wałów Pragi  
 Bronić pana Pocięja, który odbieżany  
 Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.  
 Myślano długo w Litwie, że obu zabito:  
 Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.  
 Pan Pocięj, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie  
 Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie;  
 Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,  
 I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.  
 Lecz Dobrzyński odpisał: „Niech Pocięj Macieja,  
 A nie Maciej Pocięja ma za Dobrodzieja.“  
 Odmówił więc folwarku i nie przyjął płacy;  
 Sam wróciwszy do domu, żył z własnej rąk pracy,  
 Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła,  
 Szląc na targ kuropatwy które łowił w sidła,  
 I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzynie  
 Starych ludzi roztropnych, którzy po łacinie  
 Umieli, i w palestrze ćwiczyli się z młodu:  
 Było dość majątniejszych, a z całego rodu  
 Maciek, prostak ubogi, był najwięcej czczony,  
 Nietylko jako rębacz *rózeczką* wsławiony,  
 Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,  
 Znający dzieje kraju, rodziny podania,  
 Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.  
 Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,  
 Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)  
 Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.



To pewna, że powietrza zmiany zna dokładnie,  
 I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.  
 Nie dziw tedy, że czy to siejbę rozpoczynać,  
 Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,  
 Czy procesować, czyli zawierać układy:  
 Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.  
 Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał;  
 Owszem, chciał się go pozbyć, klientów swych fukał,  
 I najczęściej wypychał mleczkiem za drzwi domu.  
 Rady rzadko udzielał i nie lada komu;  
 Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umowach  
 Pytany, wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.  
 Myślano, że dzisiejszej podejmie się sprawy  
 I stanie swą osobą na czele wyprawy;  
 Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu,  
 I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,  
 Nóćąc piosenkę: *Kiedy ranne wstają zorze,*  
 Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,  
 Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury,  
 Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie  
 I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;  
 Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni  
 Tło przetyka, posrebrza, wyzlaca, rumieni.  
 Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,  
 Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia  
 I tło ręką wygładza; tymczasem tkacz z góry  
 Zrzuca jój nitki srebra, złota i purpury,  
 Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą  
 Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierzgało.  
 Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,  
 I już się do swojego gospodarstwa bierze.  
 Wynióśł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął:  
 Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął.  
 Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,  
 Bielą się długie słuchy; pod nimi jaskrawe  
 Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny  
 Gęsto wszyte w aksamit zielonój darniny.  
 Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,

Patrzy; nakoniec cała trzódka białopucha  
Bieży do starca liśćmi kapusty znęcona,  
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.  
On sam biały jak królik, lubi ich gromadzić  
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić;  
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota  
Dla wróblów, spada z dachów krzykliwa hołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,  
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady  
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,  
Którzy szli do folwarku krokami prędkimi.  
Byli to z plebanii przez szlachty gromadę  
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.  
Zdała witając starca niskimi ukłony,  
Rzekli: „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony“.  
„Na wieki wieków, amen“, starzec odpowiedział,  
A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,  
Prosi do chaty. Weszli, zasiadają ławę;  
Pierwszy z posłów stał w środku i jał zdawać sprawę.  
Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało:  
Dobrzyńscy prawie wszyscy, sąsiadów niemało  
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,  
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi i konni.  
Stawia wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,  
Ciekawi skutku narad koło domu krążą;  
Już izbę napełnili, kupią się do sieni,  
Inni słuchają, w okna głowami wcisnieni.

---

## KSIEGA VII.

### RADA.

Zbawienne rady Bartka, zwanego Prusak. — Głos żołnierski Maćka Chrzyciela. — Głos polityczny pana Buchmana. — Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk rozcina. — Rzec Gerwazego, z której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej. — Protestacya starego Maćka. — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę. — Hejże na Soplicę!

Z kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał.  
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,  
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków  
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,  
Choć lubił o nich gadać. Człek podeszły w lata,  
W podróżach swych dalekich wiele zwiędził świata,  
Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,  
W niebytność Maćka zwykle przewodził obradom.  
Ten tak rzecz kończył:

„Nie jest to, Panie Macieju,  
Bracie mój, a nas wszystkich ojciec dobrodzieju,  
Nie jest to marna pomoc. Jaby na Francuzów  
Spuścił się w czasie wojny jak na czterech tuzów:  
Lud bitny, a od czasów Pana Tadeusza  
Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza  
Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.  
Pamiętam, kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,  
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku Pańskim  
Tysiącnym osiemsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem  
Handlowałem; i krewnych mam wiele w Poznaniu.

Jeździłem ich odwiedzić; więc z Panem Józefem  
 Grabowskim, który teraz jest rejmentu szefem,  
 A podówczas żył na wsi blisko Obiezierza,  
 Polowaliśmy sobie na małego zwierza.  
 Był pokój w Wielko-Polsce, jak teraz na Litwie,  
 Wtém nagle rozeszła się wieść o strasznej bitwie.  
 Przybiegł do nas posłaniec od pana Todwena:  
 Grabowski list przeczytał, krzyknął: „Jena! Jena!  
 Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!“  
 Ja z konia zsiadłszy, zaraz padłem na kolana,  
 Dziękując Panu Bogu... Do miasta jedziemy,  
 Niby dla interesu, niby nic nie wiemy;  
 Aż tu widzimy: wszystkie Landraty, Hofraty,  
 Komisarze i wszystkie podobne psu-braty  
 Klaniają się nam nisko, każdy drży, blednieje,  
 Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje.  
 My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie  
 O nowinki; pytamy, co słyhać o Jenie?  
 Tu ich strach zdjął, dziwią się, że o kłesce owęj  
 Już wiemy; krzyczą Niemcy: „achary Got! o wej!“  
 Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi...  
 O, to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi  
 Pełne uciekających. Niemczyska jak mrowie  
 Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie  
 Wageny i fornalki; mężczyźni, kobiety,  
 Z fajkami, imbryczkami, wleką pudła, bety,  
 Drapią jak mogą. A my milczkiem wchodzیم w radę:  
 Hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę!  
 Nuż Landratom tłuc w karki, z Hofratów drząc schaby,  
 A herów oficerów łowić za harcaby!  
 A jenerał Dąbrowski wpada do Poznania  
 I cesarski przynosi rozkaz: Do powstania!  
 W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał  
 I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!...  
 Gdyby się tak obrócić i gracko i raźnie,  
 I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaźnię?  
 He, co myślisz Macieju? Jeśli z Bonapartem  
 Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:  
 Bohatér pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku!  
 He, cóż myślisz Macieju, nasz ojcze, Króliku?“

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.  
 Maciej głowy nie ruszył ani podniósł wzroku,  
 Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,  
 Jak gdyby szabli szukał. (Od zaboru kraju  
 Szabli nie nosił; przecież z dawnego zwyczaju,  
 Na wspomnienie Moskala, zawsze rękę zwracał  
 Na lewy bok: zapewne różeczki swój macał;  
 I stąd był nazywany powszechnie *Zabokiem*).  
 Już wznosił głowę, słuchają w milczeniu głębokiem.  
 Maciej oczekiwanie powszechnie omylił,  
 Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.  
 Nakoniec odezwał się, zwolna każde słowo  
 Wymawiając z przyciskiem, a w takt kiwał głową:

„Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?  
 Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?  
 Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?  
 Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?  
 Wiele picchoty, jazdy? kto wie, niechaj gada!“

Milczała patrząc na się kolejno gromada.  
 „Radziłbym, rzeczce Prusak, czekać Bernardyna  
 Robaka, bo od niego pochodzi nowina;  
 Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę,  
 I po cichu uzbrajać całą okolicę,  
 A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,  
 Aby Moskalom naszych zamiarów nie zdradzić“.

„He! czekać? szczeniaka? zwlekać?“ przerwał Maciej drugi,  
 Ochrzczony Kropicielem, od wielkiej maczugi,  
 Którą zwał kropidełkiem. Miał ją dziś przy sobie,  
 Stał za nią, na galce zwiesił ręce obie,  
 Na ręku oparł brodę, krzycząc: „Czekać! zwlekać!  
 Sejmikować! Hen, trem brem, a potem uciekać!  
 Ja w Prusiech nie bywałem; rozum królewiecki  
 Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.  
 To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwytą;  
 Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!  
 Ja chcę żyć, bić! Bernardyn po co? czy my żaki?  
 Co mi tam Robak! otóż my będziemy robaki,



I dalej Moskwę toczyć! Trem brem, szpiegi, zwiady,  
 Wiécie wy co to znaczy? oto że wy dziady,  
 Niedolegi! He, bracia! to wyzła rzecz tropić,  
 Bernardyńska kwestować, a moja rzecz: kropić;  
 Kropić, kropić i kwita!“ — Tu maczugę głasnął,  
 Za nim cały tłum szlachty: „Kropić! kropić!“ wrzasnął.

Poparł stronę Chrzciela, Bartek, zwan Brzytewka,  
 Od szabli cienkiej, tudzież Maciej zwan Konewka,  
 Od sztućca, który naszał z gardłem tak szerokiem,  
 Że zeń jak z konwi, tuzin kulek lał potokiem.  
 Oba krzyczeli: „Wiwat Chrzciel z Kropidelkiem!“  
 Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem  
 I śmiechem. „Precz, wołano, precz Prusaki, tchórze!  
 Kto tchórz, niech w bernardyńskim chowa się kapturze!“

Wtém znowu głowę zwolna podniósł Maciej stary,  
 I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary:  
 „Nie drwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ówik klecha,  
 Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha.  
 Raz go tylko widziałem: ledwom okiem rzucił,  
 Poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił,  
 Lękając się, żebym go nie zaczął spowiadać;  
 Ale to rzecz nie moja, wiele o tém gadać!  
 On tu nie przyjdzie; próżno wzywać Bernardyna.  
 Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,  
 To kto wie w jakim celu: bo to bies księżyna!  
 Jeśli prócz téj nowiny nic więcéj nie wiecie,  
 Więc pociście tu przyszli, i czego wy chcecie?

„Wojny!“ krzyknęli; — „Jakiéj?“ spytał. — Zawołali:  
 „Wojny z Moskalem! bić się! Hejże na Moskali!“

Prusak wciąż wołał, a głos coraz wyżej wznosił;  
 Aż posłuchanie częścią ukłonem wyprosił,  
 Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

„I ja chcę bić się — wołał tłukąc się w pierś ręką, —  
 Choć kropidla nie noszę, drażniem od wiciny  
 Sprawilem raz Prusakom cztériem dobre chrzciny,

Którzy mię po pjanemu chcieli w Preglu topić“.  
 „Toś zuch Bartku, rzekł Chrzyciel, dobrze! kropić, kropić!“  
 „Ależ najśłodszy Jezu! trzeba pierwej wiedzieć  
 Z kim wojna? o co? trzeba to światu powiedziéć,  
 — Wołał Prusak — bo jakże lud ruszy za nami?  
 Gdzie pójdzie, kiedy gdzie iść, my nie wiemy sami?  
 Bracia szlachta! panowie! potrzeba rozsądku!  
 Dobrodzieje, potrzeba ładu i porządku!  
 Chcecie wojny: więc zróbmy konfederacyą;  
 ObmyślmY gdzie zawiązać i pod laską czyją?  
 Tak było w Wielko-Polsce: widzim rejteradę  
 Niemiecką, cóż my robim? wchodzim tajnie w radę,  
 Uzbrajamy i szlachtę i włościąn gromadę;  
 Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu;  
 Nakoniec, hejże na koń! powstajem odrazu!“

„Proszę o głos!“ zawołał Pan Komisarz z Klecka,  
 Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka.  
 Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polsce się rodził;  
 Nie wiedziéć pewnie, czyli ze szlachty pochodził,  
 Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana  
 Szaeowali, iż służył u wielkiego pana,  
 Był dobry patriota i pelen nauki,  
 Z ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,  
 I dóbr administracyą prowadził porządnie;  
 O polityce także wnioskował rozsądnie,  
 Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać.  
 Zatem umilkli wszyscy, kiedy jał rozprawiać:  
 „Proszę o głos!“ powtórzył, po dwakroć odchrząknął,  
 Ukłonił się i usta dźwięcznymi tak brząknął:

„Preopinanci moi, w swych głosach wymownych.  
 Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych,  
 Dyskusyę na wyższe wzniesli stanowisko;  
 Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąć ognisko  
 Rzucone trafne myśli i rozumowania:  
 Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.  
 Dwie części w dyskusyi całej uważałem;  
 Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.  
 Naprzód: dla czego mamy przedsiębrać powstanie?

W jakim duchu? to pierwsze, żywotne pytanie;  
 Drugie, rewolucyjnej władzy się dotyczy.  
 Podział jest trafny, tylko przewrócić go zyczę.  
 Naprzód zacząć od władzy: skoro pojmiem władzę,  
 Z niej powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.  
 Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam  
 Dzieje całej ludzkości, i cóż w nich spostrzegam?  
 Oto ród ludzki dziki, w lasach rozpierzchniony,  
 Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnej obrony,  
 Obmyśla ją; to jest najpierwsza obrada.  
 Potém każdy wolności własnej cząstkę składa  
 Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,  
 Z której, jako ze źródła płyną wszystkie prawa.  
 Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,  
 Nie pochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożej.  
 Owóż, rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,  
 Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym“.

„Otóż są i kontrakty! kijowskie czy mińskie?  
 Rzekł stary Maciej, — owoż i rządy babińskie!  
 Panie Buchman, czy Bóg nam chciał cara narzucić,  
 Czy djabeł, ja z Waszmością nie będę się kłócić:  
 Panie Buchman, gadaj Waśc jakby cara zrzucić“.

„Tu sęk, krzyknął Kropiciel; gdybym mógł podskoczyć  
 Do tronu, i kropidłem, plusk, raz cara zmoczyć,  
 To jużby on nie wrócił, ni kijowskim traktem,  
 Ni mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem;  
 Aniby go wskrzesili z mocy Bożej popi,  
 Ni z mocy Belzebuba... Ten mi zuch, kto kropi.  
 Panie Buchman, waścina rzecz bardzo wymowna,  
 Ale wymowa szum, drum: kropić! to rzecz główna“.

„To, to, to!“ pisnął, ręce trąc Bartek Brzytewka,  
 Od Chrzyciela do Maćka biegając, jak cewka  
 Od jednej strony krosien przerzucana w drugą:  
 „Tylko ty Maćku z różgą, ty Maćku z maczugą;  
 Tylko zgódźcie się: dalibóg, pobijem na druzgi  
 Moskala; Brzytew idzie pod komendę Rózgi“.

„Komenda, przerwał Chrzyciel, dobra ku paradzie;  
 U nas była komenda w kowieńskiej brygadzie  
 Krótka a węzłowata: Strasz, sam się nie strachaj;  
 Bij, nie daj się; postępuj często, gęsto machaj;  
 Szach, mach!“ — „To, pisał Brzytwa, to mi regulament!  
 Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?  
 Konfederacyi trzeba? o to cała sprzeczka?  
 Jest Marszałek nasz Maciej, a laska różeczka“.  
 „Niech żyje, krzyknął Chrzyciel, Kurek na kościele!“  
 Szlachta odpowiedziała: „Wiwant Kropiciele!“

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony,  
 Widać, że się rozdziela rada na dwie strony.  
 Buchman krzyknął: „Ja zgody nigdy nie pochwalam,  
 To mój system!“ Ktoś drugi wrzasnął: „Nie pozwalam!“  
 Inni z kątów wtórują. Nareszcie głos gruby  
 Ozwał się przybyłego szlacheica Skołuby:

„Cóż to Państwo Dobrzyńscy! A to co się święci?  
 A my, czy to będziemy z pod prawa wyjęci?  
 Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,  
 A zapraszał nas Klucznik Rębajło Mopanku,  
 Mówiono nam, że wielkie rzeczy dzieć się miały,  
 Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,  
 O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,  
 Choć nigdy nie dokończył i zawsze się jąkał,  
 I ciemno się tłumaczył. Wreszcie, koniec końców,  
 My zjechali, sąsiadów zwołali przez gońców.  
 Nie sami tu panowie Dobrzyńscy jesteście;  
 Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;  
 Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,  
 Głosujmy wszyscy; równa u każdego galka.  
 Niech żyje równość!“

Zatém dwaj Terajewicze

I czterej Stypułkowscy i trzej Mickiewicze,  
 Krzyknęli: „Wiwat równość!“ stojąc za Skołubą.  
 Tymczasem Buchman wołał: „Zgoda będzie zgubą!“  
 Kropiciel krzyczał: „Bez was obejdzem się sami:  
 Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!“

Hej do laski!“ Dobrzyńscy krzyczą: „Zapraszamy!  
 A obca szlachta woła w głos: „Nie pozwalamy!“  
 Rozstrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,  
 I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,  
 Tamci: „Nie pozwalamy!“ ci krzyczą: „Prosiemy!“

Maciek stary, w pośrodku, jeden siedział niemy,  
 I jedna głowa jego była nieruchoma.  
 Przeciw niemu stał Chrzyciel, zwieszony rękoma  
 Na maczudze, a głową na końcu maczugi  
 Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,  
 I na przemiany, to w tył, to się na przód kiwał;  
 I ustawicznie: „kropić, kropić!“ wykrzykiwał.  
 Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy  
 Ciagle od Kropiciela do Macieja ławy.  
 Konewka zaś powoli wszérz izbę przechodził  
 Od Dobrzyńskich do szlachty: niby to ich godził;  
 Jeden wciąż wołał: „Golić!“ a drugi „Zalewać!“  
 Maciek milczał; lecz widno, że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący  
 Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:  
 Był to rapiér sążnistej długości, szeroki  
 Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.  
 Widocznie miecz teutoński, z norymberskiej stali  
 Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali.  
 Kto ją podniósł? nie widać; lecz zaraz zgadniono:  
 „To Sczoryk! niech żyje Sczoryk! krzykniono,  
 Wiwat Sczoryk, klejnot Rębajłów zaścianku!  
 Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!“

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się precisnął  
 Na środek izby, w koło sczorykiem błysnął;  
 Potém, w dół chyląc ostrze, na znak powitania  
 Przed Maćkiem, rzekł: „Rózczece — Sczoryk się kłania.  
 Bracia szlachta Dobrzyńscy! Ja nie będę radził  
 Nic a nic; powiem tylko, pocom was zgromadził:  
 A co robić, jak robić, decydujcie sami.  
 Wiécie, słuch dawno chodzi między zaściankami,  
 Że się na wielkie rzeczy zanoszą na świecie;



Ksiądz Robak o tém gadał: wszakże wszyscy wiecie? —  
 „Wiemy!“ krzyknęli. — „Dobrze. Owóż mądręj głowie,  
 — Ciągnął mówca spojrzawszy bystro — dość dwie słowie.  
 Nieprawdaż?“ „Prawda!“ rzekli. „Gdy Cesarz francuzki,  
 Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car ruski:  
 Więc wojna; Car z Cesarzem, Królowie z Królami  
 Pójdą za lby, jak zwykle między monarchami.  
 A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego  
 Będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego,  
 Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,  
 Jak zacznem ciąć, tak całe szelmstwo się zwali,  
 I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.  
 Nieprawdaż?“ — „Prawda, rzekli, jakby z książki czyta!“  
 „Prawda, powtórzył Chrzyciel, krop a krop i kwita!“  
 „Ja zawsze gotów golić,“ ozwał się Brzytewka;  
 „Tylko zgódźcie się, prosił uprzejmie Konewka,  
 Chrzycielu i Macieju pod czyją iść wodzą?“  
 Ale mu przerwał Buchman: „Niech się głupi godzą,  
 Dyskusye publicznej sprawie nie zaszkodzą.  
 Proszę milczeć.“ „Słuchamy!“ „Sprawa ta na tém zyska:  
 Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.“  
 „Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu.  
 O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu:  
 Jest na to Cesarz, będzie Król, senat, posłowie.  
 Takie rzeczy, Mopanku, robią się w Krakowie  
 Lub w Warszawie, nie u nas w zaścianku, w Dobrzynie;  
 Aktów konfederackich nie piszą w kominie  
 Krédą, nie na wicinie, lecz na pergaminie.  
 Nie nam to pisać akta; ma Polska Pisarzy  
 Koronnych i litewskich: tak robili starzy.  
 Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać.“ — „Kropidłem  
 Pluskać“, dodał Kropiciel. „I wykałać szydłem“,  
 Krzyknął Bartek Szydelko, dobywszy swój szpadki.

„Wszystkich was, kończył Klucznik, biorę tu na świadki,  
 Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie  
 W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?  
 Słyszeliście to wszyscy: a czy rozumiecie?...  
 Któż jest śmieciem powiatu? Kto zdradziecko zabił  
 Najlepszego z Polaków? kto go okradł, zgraбил,

I jeszcze chce ostatki wydrzcć z rąk dziedzica?  
 Któż to? Mamże wam gadać? — „A jużci Soplica,  
 Przerwał Konewka, to łotr!“ — „Oj, to ciemieżyciel!“  
 Pisnął Brzytewka. — „Więc go kropić!“ dodał Chrzyciel.  
 „Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę!“  
 „Hejże!“ krzyknęli wszyscy, „hejże na Soplicę!“

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,  
 I wołał z wzniesionymi ku szlachcie ramiony:  
 „Panowie bracia! aj! aj! a na Boskie rany!  
 Co znowu? Panie Klucznik, czy Waśc opętany?  
 Czy o tém była mowa? Że ktoś miał waryata,  
 Bannitę bratem; to co, karać go za brata?  
 To mi po chrześcijańsku! Są tu w tém konszachty  
 Hrabiego... Żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,  
 Nieprawda! dalibógże! To wy tylko sami  
 Pozywacie go: a on zgody szuka z wami,  
 Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.  
 Ma proces z Hrabią: cóż stąd? Obadwa bogaci  
 Niechaj pan drze się z panem: cóż to do nas braci?  
 Pan Sędzia ciemieżyciel! On pierwszy zabraniał,  
 Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,  
 Mówiąc, że to grzech. Nieraz u niego gromada  
 Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;  
 Płacił za włość podatki: a nie tak jest w Klecku,  
 Choć tam Waśc, Panie Buchman, rządysz po niemiecku.  
 Sędzia zdrajca! My się z nim od infimy znamy:  
 Pocziwe było dziecko, i dziś taki samy;  
 Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje  
 Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.  
 Plekroć z Prus powracam, chcąc znyć się z niemczyzny,  
 Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny:  
 Tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny.  
 Dalbóg Dobrzyńscy! ja wasz brat: ale Sędziego  
 Nie pozwolę pokrzywdzić; nie będzie nic z tego.  
 Nie tak panowie bracia w Wielko-Polsce było:  
 Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!  
 Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać“.

„To nie fraszka, zawołał Klucznik, łotrów wieszać!“

Szmer wzmagał się. Wtém Jankiel posłuchania prosił,  
 Na ławę wskoczył, stanął i nad głowy wznosił  
 Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi.  
 Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kolpak lisi;  
 Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,  
 Potém lewicę za pas zatknął i tak prawił,  
 Kolpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko:

„Nu Panowie Dobrzyńscy! Ja sobie Żydzisko;  
 Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców,  
 Jak panów bardzo dobrych i moich dziedziców;  
 Szanuję téż Dobrzyńskich Bartków i Maciejów,  
 Jako dobrych sąsiadów, Panów Dobrodziejów;  
 A mówię tak: Jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić  
 Sędziemu, to bardzo źle. Możecie się pobić,  
 Zabić... a asesory? a sprawnik? a turma?  
 Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,  
 Wszystko jegry! Asesor w domu: tylko świśnie,  
 Tak wraz przymaszerują, stoją jak umyślnie.  
 A co będzie? A jeśli czekacie Francuza,  
 To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.  
 Ja Żyd, o wojnach nie wiem: a byłem w Bielicy,  
 I widziałem tam Żydków od saméj granicy;  
 Słysząc, że Francuz stoi nad rzeką Łososną,  
 A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.  
 Nu, mówię tak: czekajcie; wszak dwór Soplicowa  
 Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa  
 I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;  
 A pan Sędzia to nie jest Żydek na arzędzie:  
 Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną.  
 A teraz rozejdźcie się, a nie gadać głośno  
 O tém co było; bo to gadać, to daremno!  
 A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.  
 Moja Siora powiła małego Jankielka:  
 Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!  
 Każę przynieść kozicę, basetłę, dwie skrzypiec,  
 A Pan Maciek Dobrodziej lubi stary lipiec  
 I nowego mazurka: mam nowe mazurki,  
 I wyuczyłem śpiewać fejn moje bachurki“.

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela  
 Trafila do serc. Powstał krzyk, oklask wesela,  
 Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył:  
 Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.  
 Żyd skoczył, wpadł wtłum; Klucznik wołał: precz stąd Żydzie!  
 Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!  
 Panie Prusak! że Waszeć sędziowską handlujesz  
 Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?  
 Zapomniałeś Mopanku, że ojciec waszécin  
 Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?  
 Stąd się z bogacił i on i jego rodzina,  
 Ba, nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.  
 Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,  
 Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziej:  
 Kogoż on komisarzem słał do swych dóbr pińskich?  
 Dobrzyńskiego! Rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!  
 Marszałkowstwa, kredensu nie zwierzał nikomu,  
 Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!  
 On forytował wasze w Trybunałach sprawy;  
 On wyrabiał u Króla dla was chleb łaskawy;  
 Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie  
 Pijarskim, na swym koscie, odzieży i wikcie;  
 Dorosłych promowował także swym nakładem:  
 A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!  
 Dziś, Soplica kopcami tyka waszych granic,  
 Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?"

— „Nic a nic!

Przerwał Konewka, bo to wyrosło z szlachciury!  
 A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!  
 Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;  
 Poję, nie chce pić, mówi: Nie piję tak wiele,  
 Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak łąki!  
 Ot magnat! delikacik z marymonckiej łąki!  
 Nie pił; leliśmy w gardło, krzyczał: Gwałt się dzieje!  
 Czeka-j-no, niech-no ja mu z Konewki naleję“.

„Filut zawołał Chrzciciel, oj, i ja go kropnę  
 Za swoje. Mój syn, było to dziecko roztropne,  
 Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem;  
 A z przyczyny Sędziego został głupcem takim.

Mówilem: Po co tobie leżeć do Soplicowa?  
 Jeżeli cię tam złowię, niech cię Bóg uchwala!  
 On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie:  
 Złowilem go, a zatém za uszy i kropię;  
 A on beczy i beczy jak maleńkie chłopię:  
 Ojczy, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szłocha...  
 Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!  
 Chciałby popatrzeć na nią! Żal mi nieboraka,  
 Mówię Sędziemu: Sędzio daj Zosię dla Saka.  
 On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,  
 Jak sama zechce. Łotr! lże; już ją komuś swata.  
 Słyszałem, już ja się tam na wesele wkręcę;  
 Ja im łożę małżeńskie kropidłem poświęcę“.

„I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować,  
 I dawnych panów, lepszych od siebie rujnować,  
 A Horeszków i pamięć i imię zaginie?  
 Gdzież jest wdzięczność na świecie? Niema jej w Dobrzymie!  
 Bracia! chcecie bój z ruskim wieść Imperatorem,  
 A boicie się wojny z Soplicowskim dworem?  
 Strach wam turmy! Czyż to ja wzywam na rozboje?  
 Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.  
 Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów niemało:  
 Tylko je egzekwować! Tak dawniej bywało:  
 Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,  
 A szczególniej Dobrzyńscy, i stąd wasza chwała  
 Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami  
 Bili się na zajeździe Myskim z Moskalami,  
 Których przywiódł jenerał ruski Wojniłowicz,  
 I łotr, przyjaciół jego, pan Wołk z Łogomowicz.  
 Pamiętacie, jak Wołka wzięliśmy w niewolę,  
 Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,  
 Iż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;  
 Ale się chłopci głupi nad nim zlitowali!  
 (Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku).  
 Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,  
 Z których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,  
 I z zyskiem i z aplauzem powszechnym i z chwałą!  
 Pocóż o tém wspominać? Dziś darmo Pan Hrabia,  
 Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia:



Już nikt z was pomódz nie chce biédnemu sierocie!  
 Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,  
 Dziś niéma przyjaciela, oprócz mnie klucznika,  
 I ot, tego wiernego mego scyzoryka!“

„I kropidła, rzekł Chrzyciel. Gdzie ty Gerwazeńku,  
 Tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku.  
 Co dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,  
 Ja mam kropidło: dalibóg! ja kropię a ty siecz:  
 I tak szach mach, plusk i plask; oni niech gawędzą!“

„Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą;  
 Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę“.  
 — „I ja, przydał Konewka, z wami ruszyć wolę,  
 Gdy ich nie można zgodzić na obiór Marszałka;  
 Co mi tam głośy, gałki! U mnie insza gałka!  
 — Tu wydobył z kieszeni garść kul, dzwonił niemi —  
 Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkimi!“  
 — „Do was, wołał Skołuba, do was się łączymy!  
 — „Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy to tam i my!  
 Niech żyją Horeszkowie! wiwant Półkozice!  
 Wiwat Klucznik Rębajło! Hejże na Soplicę!“

I tak, wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy;  
 Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,  
 Jak zwyczajnie w sąsiedztwie: to o szkodę skargi,  
 To o wyręby, to o granice zatargi.  
 Jednych gniew, drugich tylko pobudzała zawiść  
 Bogactw Sędziego: wszystkich zgodziła nienawiść.  
 Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry  
 Szable, palki. —

Aż Maciek, dotychczas ponury,  
 Nieruchomy, wstał z ławy, i wolnymi kroki  
 Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;  
 I spojrzawszy przed siebie, i kiwając głową,  
 Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,  
 Z przestankiem i przyciskiem: „A głupi! a głupi!  
 A głupi wy! Na kim się mleło, na was skrupi!...  
 To póki o wskrzeszeniu Polski była rada,  
 O dobru pospolitém, głupi, u was zwada?

Nie można było, głupi, ani się rozmówić,  
 Głupi, ani porządku, ani postanowić  
 Wodza nad wami, głupi! A niech-no kto poda  
 Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!...  
 Precz stąd! Bo jakim Maciek, was do milionów  
 Kroćset kroci tysięcy, fur, beczek, furgonów,  
 Djabłów!!!...“

Ucichli wszyscy jak rażeni gromem;  
 Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:  
 „Wiwat Hrabia!“ On wjeżdżał na folwark Maciejów,  
 Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.  
 Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju:  
 Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,  
 Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,  
 Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;  
 Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę.  
 Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

„Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!“  
 Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać,  
 I za Klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać.  
 Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,  
 Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,  
 I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: „Głupi!“

A tymczasem się szlachta do Hrabiego kupi.  
 Idą w karczmę. Gerwazy wspomniał dawne czasy:  
 Kazał sobie trzy podać od kontuszków pasy,  
 Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa  
 Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.  
 Wyjął gwoździe: wnet z szumem trysnęły trzy strugi,  
 Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,  
 Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczę,  
 A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.  
 Wre szlachta. Tamci piją, ci Hrabiemu życzą  
 Lat setnych, wszyscy, „Hejże na Soplicę!“ krzyczą.

Jankiel wymknął się milczkiem, oklep. Prusak równie,  
 Niesłuchany, choć jeszcze rozprawiał wymownie,

Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdradził.  
Mickiewicz stał zdaleka, ni krzyczał ni radził,  
Ale z miny poznano, że coś złego knuje;  
Więc do kordów, i hejże! On się rejteruje,  
Odcina się, już ranny; przyparty do płotów,  
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów  
Zaczem rozjęto szlachtę. Ale w tym rozruchu,  
Dwóch było ciętych w ręce; ktoś dostał po uchu,  
Reszta wsiadała na koń.

#### Hrabia i Gerwazy

Porządkują, rozdają oręż, rozkazy.  
W końcu wszyscy przez długą zaścianku ulicę  
Puścili się w cwał krzycząc: „Hejże na Soplicę!”

---

## KSIEGA VIII.

### ZAJAZD.

Astronomia Wojskiego. — Uwaga Podkomorzego nad kometami. — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego. — Tadeusz, chcąc zręcznie wyplatać się, wpada w wielkie kłopoty. — Nowa Dydo. — Zajazd. — Ostatnia woźnińska protestacya. — Hrabia zdobywa Soplicowo. — Szturm i rzeź. — Gerwazy piwniczym. — Uczta zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura,  
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy, chmura  
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,  
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,  
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie:  
Tęj ciszy chwila była w Soplicowskim domie.  
Myślałbyś, że przecucie nadzwyczajnych zdarzeń  
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu  
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;  
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą.  
Całe grono z posepną i cichą postawą  
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,  
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać:  
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną  
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,  
Tłumacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,  
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,  
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;  
 Szepnęły wiotkiem skrzydłem nietoperze, lecą  
 Pod dom, gdzie szyby okiem, twarze ludzi świecą;  
 Bliżej zaś, nietoperzów siostrzyczki ómy, rojem  
 Wiją się, przywabione białym kobiet strojem;  
 Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice  
 I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.  
 Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,  
 Kręci się, grając jako harmoniki sfera;  
 Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów  
 Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;  
 Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.  
 Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,  
 Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,  
 Już bekasy do góry porwawszy się wiją,  
 I bekając raz po raz jak w bębunki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszczęj wrzawy,  
 Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy;  
 Jako zakłète w górach kaukazkich jeziora,  
 Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.  
 Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,  
 Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;  
 Drugi staw, z dnem błotnistém i gardzielem mętным,  
 Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętным;  
 W obu stawach piałły żab niezliczone hordy,  
 Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.  
 Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci zeicha,  
 Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:  
 Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,  
 Jak grające naprzemian dwa arfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki  
 W łożach, błyskały wilcze oczy jako świeczki;  
 A dalej, u ścięsnionych widnokręgu brzegów,  
 Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.  
 Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,  
 Wyszedł z boru, i niebo i ziemię oświecił.



One teraz z pomroku odkryte w połowie,  
 Drzemaly obok siebie, jako małżonkowie  
 Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona  
 Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już naprzeciw księżycu, gwiazda jedna, druga  
 Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.  
 Kastor z bratem Polluksem jaśnieli na czele,  
 Zwani niegdyś u Słowian: Lele i Polele;  
 Teraz ich w zodyaku gminnym znów przechrzczono:  
 Jeden zowie się *Litwą* a drugi *Koroną*.

Dalój niebieskiej *Wagi* dwie szale błyskają:  
 Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)  
 Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,  
 Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;  
 Potém wagi złociste zawiesił na niebie:  
 Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ, świeci okrąg gwiazdzistego *Sita*,  
 Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,  
 Kiedy je z nieba zrzucił dla Adama ojca,  
 Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrojca.

Nieco wyżój, *Dawida wóz*, gotów do jazdy,  
 Długi dyszel kieruje do polarnój gwiazdy.  
 Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,  
 Że niesłusznie pospółstwo zwie go Dawidowym:  
 Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy  
 Jechał Lucyper, Boga gdy wzywał w zapasy,  
 Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,  
 Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.  
 Teraz, popsuty, między gwiazdami się wala,  
 Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,  
 (A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)  
 Że ów zodyakowy *Smok* długi i gruby,  
 Który gwiazdziste wije po niebie przeguby,  
 Którego mylnie Wężem chrzczą astronomowie,  
 Jest nie wężem, lecz rybą: *Lewiatan* się zowie.

Przed czasy mieszkał w morzach; ale po potopie  
 Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie,  
 Tak dla osobliwości jako dla pamiętki,  
 Anieli zawiesili jego martwe szczątki.  
 Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele  
 Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które z ksiązek zbadal  
 Albo słyszał z podania, Wojski opowiadał.  
 Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,  
 I nie mógł w niebie dojrzyć nic przez okulary,  
 Lecz na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy:  
 Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano; nie zważano wcale  
 Na *Sito*, ni na *Smoka*, ani też na *Szale*.  
 Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie  
 Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie:  
 Był to *kometa* pierwszej wielkości i mocy.  
 Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;  
 Krwawém okiem z ukosa na rydwan spojiera,  
 Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera;  
 Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzecią  
 Obwinał nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,  
 I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową  
 Mierzy na północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymowném przecuciem cały lud litewski  
 Poglądał każdój nocy na ten cud niebieski,  
 Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:  
 Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,  
 Które na pustych polach gromadząc się w kupy,  
 Ostrzyły dzioby, jakby czekając na trupy.  
 Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,  
 I jak gdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły:  
 Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru  
 Widzieli, jak przez cmentarz szła dziewica moru,  
 Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,  
 A w lewój ręce chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzyli, stojący przy płocie  
Ciwun, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,  
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyźbie przed domem.  
Przerwał rozmowę gości; znać że głos zabiera;  
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera,  
(Cała z szczerzego złota, z brylantów oprawa,  
We środku, za szkłem, portret króla Stanisława);  
Zadzwonil w nią palcami, zażył i rzekł: „Panie  
Tadeuszu, waścine o gwiazdach gadanie,  
Jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole:  
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.  
I ja astronomii słuchałem dwa lata  
W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata  
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,  
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów;  
Książd Poczobut, człek sławny, był obserwatorem  
I całej Akademii naonczas Rektorem;  
Przecież, w końcu katedrę i teleskop rzucił,  
Do klasztoru, do cichój swój celi powrócił,  
I tam umarł przykładnie. Znam się też z Śniadeckim,  
Który jest mądrym bardzo czlekiem, chociaż świeckim.  
Owóż astronomowie planetę, kometę,  
Uważają tak jako mieszczanie karete;  
Wiedzą, czyli zajeżdża przed Króla stolicę,  
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;  
Lecz kto w niej jechał? po co? co z Królem rozmawiał?  
Czy Król posła z pokojem, czy z wojną wyprawiał?  
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów,  
Gdy Branecki kareta swą ruszył do Jassów,  
I za tą niepocziwą pociągnął kareta  
Ogon Targowiczaków, jak za tą kometą:  
Lud prosty, choć w publiczne nie mieszał się rady,  
Zgadnął zaraz, że ogon ów jest wróżbą zdrady.  
Słysząc, że lud dał imię miotły téj komecie.  
I powiada, że ona milion wymiecie.“

A na to rzekł z ukłonem Wojski: „Prawda, Jaśnie  
Wielmożny Podkomorzy; przypominam właśnie,

Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,  
 Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu  
 Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka,  
 Sapiehę, pancernego znaku Porucznika,  
 Co potem był nadwornym Marszałkiem królewskim,  
 Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem litewskim,  
 Miawszy lat sto i dziesięć. Ten, za króla Jana  
 Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana  
 Jabłonowskiego. Owóż ów kanclerz powiadał,  
 Że właśnie kiedy na koń Król Jan Trzeci siadał,  
 Gdy nuncyusz papieżki żegnał go na drogę,  
 A poseł austriacki całował mu nogę,  
 Podając strzemię (poseł zwał się Wilczek hrabia),  
 Król krzyknął: „Patrzcie co się na niebie wyrabia!“  
 Spojrzą: alic nad głowy suwał się kometa  
 Droga, jaką ciągnęły wojska Mahometa,  
 Z wschodu na zachód. Potem i ksiądz Bartochowski,  
 Składając penegiryk na tryumf krakowski,  
 Pod godłem *Orientis Fulmen*, prawił wiele  
 O tym komecie. Także czytam o nim w dziele  
 Pod tytułem *Janina*, gdzie jest opisana  
 Cała wyprawa Króla nieboszczyka Jana,  
 I wryta chorągiew wielka Mahometa,  
 I ów taki, jak dziś go widzimy, kometa.“

„Amen, rzekł na to Sędzia; ja wróżbę Waszeci  
 Przyjmuje: oby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci!  
 Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może  
 Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!“

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:  
 „Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!  
 Niedobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowem:  
 Może nam grozi jakim nieszczęściem domowem.  
 Mieliśmy wczoraj dosyć rozterku i zwady,  
 Tak w czasie polowania jako i biesiady.  
 Rejent klócił się z rana z Panem Asesorem,  
 A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.  
 Pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził;

I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,  
 Jabym u stołu obu przeciwników zgodził...  
 Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,  
 Podobny do zdarzenia wczorajszej wyprawy,  
 Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,  
 Posłowi Rejtanowi i Księżu Denassów.  
 Przypadek był takowy:

„Jenerał Podolskich

Ziem, przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr polskich,  
 Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy.  
 Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,  
 Już dla popularności: wstąpił więc do Pana  
 Tadeusza, dziś świętej pamięci, Rejtana,  
 Który był potem naszym nowogródzkim posłem,  
 I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.  
 Owóż Rejtan, na przyjazd Księcia Jenerała,  
 Zaprosił gości. Liczna szlachta się zebrała;  
 Było teatrum (Książę kochał się w teatrze);  
 Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,  
 Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele  
 Ogiński i Pan Sołtan, co mieszka w Zdzięciole.  
 Słowem, dawano huczne nad podziw zabawy  
 W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.  
 Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,  
 Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,  
 Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myślistwa  
 Nie są bardzo pochojni: pewno nie z lenistwa,  
 Lecz z gustów cudzoziemskich; i Książę Jenerał  
 Częściej do książek, niżli do psiarni zazierał,  
 I do alkówek damskich częściej niż do lasów.

„W świecie Księcia, był Książę niemiecki Denassów,  
 O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi  
 Goszcząc, polował niegdyś z królmi murzyńskimi,  
 I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił,  
 Z czego się bardzo Książę ów Denassów chwalił.  
 U nas zaś polowano na dziki w tę porę.  
 Rejtan zabił ze sztućca ogromną maciore, w  
 Z wielkiem niebezpieczeństwem, bo zbliska wypalił.



Każdy z nas zręczność strzału wydziwiał i chwalił,  
 Tylko Niemiec Denassów obojętnie słuchał  
 Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:  
 Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,  
 Biała broń śmiałą ręką; i zaczął szeroko  
 Znowu gadać o swojej Libii i spisie,  
 O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.  
 Markotno to się stało panu Rejtanowi,  
 Był człek żywy, uderzył po szabli i mowi:  
 Mości Książę! kto patrzy śmieie, walczy śmieie,  
 Warte dziki tygrysów, a spis karabele.  
 I zaczęli z Niemcem dyskurs nazbyt żwawy,  
 Szczęściem, Książę Jenerał przerwał te rozprawy,  
 Godząc ich po francuzku. Co tam gadał, nie wiem:  
 Ale ta zgoda był to popiół nad zarzewiem.  
 Bo Rejtan wziął do serca, okazji czekał,  
 I dobrą sztukę splatać Niemcowi przyrzekał,  
 Tej sztuki ledwie własném nie przyplacił zdrowiem;  
 A splatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem.“

Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,  
 I u Podkomorzego tabakiery prosił.  
 Długo zażywa, kończyć powieści nie raczy,  
 Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy,  
 Zaczynał wreszcie: kiedy znowu mu przerwano  
 Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!  
 Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,  
 Donosząc, że z niezwłocznym interesem czeka,  
 Sędzia dając dobranoc, żegnał całe grono.  
 Natychmiast się po różnych stronach rozpierzchniono:  
 Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie:  
 Sędzia szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią. Tadeusz po sieniach się zwija,  
 Chodząc, jako wartownik, około drzwi stryja:  
 Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać  
 Dziś jeszcze, nim spać pójdzie. Nie śmie do drzwi stukać:  
 Sędzia drzwi na klucz zamknął, z kimś tajnie rozmawia;  
 Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie. Nie trącając klamek,  
 Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek:  
 Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi  
 Klęczeli objawszy się, i łzami rzewnymi  
 Płakali: Robak ręce Sędziego całował,  
 Sędzia Księdza za szyję, płacząc, obejmował;  
 Wreszcie po ćwierć-godzinném przerwaniu rozmowy,  
 Robak po cichu tymi odezwały się słowy:

„Bracie! Bóg wie, żem dotąd tajemnic dochował,  
 Którym z żalu za grzechy w spowiedzi ślubowałem;  
 Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,  
 Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,  
 Żyłem dotąd i chciałem umrzeć Bernardynem,  
 Nie wydając nazwiska, nie tylko przed gminem,  
 Ale nawet przed tobą i przed własnym synem!  
 Wszakże, Ksiądz Prowincyał dał mi pozwolenie,  
 In articulo mortis zrobić objawienie.  
 Kto wie, czy wrócę żywy! kto wie co się stanie:  
 W Dobrzynie, bracie, wielkie, wielkie zamieszanie!  
 Francuz jeszcze daleko; nim przemienie zima  
 Trzeba czekać: a szlachta pono nie dotrzyma...  
 Możem za nadto czynnie z powstaniem się krzątał!  
 Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko spletał!  
 Ten waryat Hrabia, słyszę, pobiegł do Dobrzyna!  
 Nie mogłem go uprzedzić, ważna w tém przyczyna:  
 Stary Maciek mnie poznał; a jeśli odkryje,  
 Potrzeba będzie oddać pod scyzoryk szyję:  
 Nie Klucznika nie wstrzyma! Mniejsza o mą głowę;  
 Lecz tém odkryciem, spisku zerwałbym osnowę...  
 Przecież, dziś tam być muszę, widzieć co się dzieje,  
 Choćbym zginął; bezemnie szlachta oszaleje!  
 Bądź zdrów najmilszy bracie, bądź zdrów, spieszyć muszę  
 Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;  
 W przypadku wojny, tobie cała tajemnica  
 Wiadoma: kończ com zaczął; pomnij, żeś Soplica!“

Tu Ksiądz łyzy otarł, habit zapiał, kaptur włożył,  
 I okiennicę tylną po cichu otworzył:

Widać było, że oknem do ogrodu skakał;  
Sędzia, zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w klamkę zadzwonił;  
Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił:  
„Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka  
Przebawiłem tu: dni te minęły jak chwilka;  
Nie miałem czasu z twoim domem się nacieszyć  
I z tobą: a odjeżdżać muszę, muszę spieszyć  
Zaraz, dzisiaj stryjaszku, a jutro najdalej.  
Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.  
Bić się z nim to rzecz moja; posłałem wyzwanie.  
W Litwie jest zakazane pojedynkowanie:  
Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa.  
Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa;  
Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,  
Rozprawim się: a jeśli Bóg pobłogosławi,  
Ukarzę go, a potem za Łososny brzegi  
Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.  
Słyszałem, że mi ojciec testamentem kazał  
Służyć w wojsku, a nie wiem, kto testament zmazał“.

„Mój Tadeuszkule, rzekł stryj, czy Waszeć kapany  
W gorącej wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany  
Co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?  
Wyzwaliliśmy, zapewne, i bić się należy:  
Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?  
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjaciół,  
Układać się. Wszak Hrabia może nas przeprosić,  
Deprekować: czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.  
Chyba inny giez jaki Waści stąd wygania:  
To gadaj szczerze; po co takie omawiania?  
Jestem twój stryj; choć stary, znam co serce młode;  
Byłem ci ojcem (mówiąc gładził go pod brodę),  
Już w ucho szepnął o tém mnie mój palec mały,  
Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały...  
Za katy, prędko teraz młódź do dam się bierze!  
No Tadeuszkule, przyznaj mi się Waść, a szczerze.“

„Juźci, bąknął Tadeusz, prawda: są przyczyny  
Inne, kochany stryju, może z mojej winy!

Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!  
 Nie, drogi stryju, dłużej nie mogę tu bawić!  
 Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcej:  
 Ja muszę z Soplicowa wyjeżdżać co prędzej.“

„Ho! rzekł stryj, pewnie jakieś miłośne zatargi!  
 Uważałem, że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,  
 Poglądając z pode łba na pewną dziewczynkę;  
 Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę.  
 Znam ja te wszystkie głupstwa: kiedy dzieci para  
 Kocha się, to tam u nich nieszczęście co niemiara!  
 To cieszą się, to znowu trapią się i smućą,  
 To znowu Bóg wie o co do zębów się kłóćą,  
 To stojąc w kątkach jakby mruki, nie gadają  
 Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.  
 Jeżeli na was raptus podobny napada,  
 Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada;  
 Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.  
 Znam ja te wszystkie głupstwa: wszakże byłem młody.  
 Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem  
 Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem.“

„Stryjaszku — rzekł Tadeusz, całując mu rękę  
 I rumieniąc się — powiem prawdę. Tę panienkę,  
 Zosię, wychowanicę stryja, podobałem  
 Bardzo, chodź tylko parę razy ją widziałem:  
 A mówią, że stryj dla mnie za żonę przezrzuca  
 Podkomorzankę, piękną i córkę bogacza.  
 Teraz nie mógłbym z panną Różą się ożenić,  
 Kiedy kocham tę Zosię: trudno serce zmienić!  
 Nieuczciwie, żeniąc się z jedną, kochać drugą.  
 Czas może mnie uleczy; wyjadę — na długo.“

„Tadeuszkę, stryj przerwał, to mi dziwny sposób  
 Kochania się; — uciekać od kochanych osób!  
 Dobrze, żeś szczery; widzisz, głupstwo byś wyplatał  
 Odjeżdżając: a co Waśc powiesz, gdybym swatał  
 Sam Waści Zosię? He? Cóż, nie skoczysz z radości?“

Tadeusz rzekł po chwili: „Dobroć jegomości  
 Dziwi mnie. Lecz cóż? Łaska stryja dobrodzieja

Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!  
 Bo pani Telimena nie odda mi Zosi!“  
 „Będziem prosić,“ rzekł Sędzia.

„Nikt jój nie uprosi,  
 Przerwał prędko Tadeusz: nie, czekać nie mogę;  
 Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,  
 Daj mi stryjaszku tylko twe błogosławieństwo:  
 Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.“

Sędzia was kręcąc, z gniewem na chłopca spozierał:  
 „To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?  
 Naprzód ów pojedynek, potem znowu miłość,  
 I ten wyjazd; oj! jest tu w tem jakaś zawilość.  
 Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!  
 Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał!  
 A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem?  
 Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?  
 O Tadeuszu! jeśli może Asan Zosię  
 Zbałamucił i teraz uciekasz młokosie,  
 To się Waści nie uda! Lubisz czy nie lubisz,  
 Zapowiadam Asanu, że Zosię poślubisz:  
 A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu!..  
 I gada mnie o czuciach! o niezmienném sercu!  
 Łgarz jesteś! pfe! Ja z Waści Panie Tadeuszu  
 Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!  
 Dziś dość miałem kłopotów: aż mnie głowa boli;  
 Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!  
 Idź mi Waść spać!“ To mówiąc drzwi nawściąż otwierał  
 I zawołał Woźnego, żeby go rozbierał.

Tadeusz cicho wyszedł, opuściwszy głowę;  
 Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę:  
 Pierwszy raz polajany tak ostro!... Ocenił  
 Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.  
 Co począć? jeśli Zosia o wszystkiem się dowie?  
 Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?  
 Nie, — czuł, że nie mógł dłużej zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,  
 Gdy mu coś drogę zaszło; spojrział: widzi marę



Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą i cienką.  
 Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,  
 Od której odbijał się drżący blask miesięczny,  
 I przystąpiwszy, cicho jęknęła: „Niewdzięczny!  
 Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz;  
 Szukałeś rozmów ze mną, dziś uszy zamykasz,  
 Jakby w słowach, we wzroku mym, była trucizna!  
 Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś: mężczyzna!  
 Nie znając kokieteryi, nie chciałam cię dręczyć,  
 Uszczęśliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzięczyć!  
 Tryumf nad miękkim sercem serce twe zatwardził;  
 Żeś je zdobył zbyt łącno, zbyt prędkoś niem wzgardził!  
 Dobrze mi tak! Lecz straszną nauczona próbą,  
 Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!“

„Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde  
 Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę;  
 Ale uważ-no sama, wszak nas widzą, śledzą:  
 Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą?  
 Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem...“  
 „Grzechem! — odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem —  
 Niewiniątko! baranek!... Ja, będąc kobietą,  
 Jeśli z miłości nie dbam, choćby mnie odkryto,  
 Choćby mnie osławiono: a ty, ty mężczyzna?  
 Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna,  
 Że ma romans z dziesięciu razem kochankami?  
 Mów prawdę, chcesz mnie rzucić?“ Zalała się łzami...  
 „Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,  
 Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,  
 Zdrów, żył na wsi, kochał się: kiedy tyle młodzi,  
 Tylu żonatych, od żon, od dzieci uchodzi  
 Za granicę, pod znaki narodowe bieży?  
 Choćbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?  
 Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył  
 W wojsku polskiém; teraz stryj ten rozkaz powtórzył:  
 Jutro jadę; zrobiłem już postanowienie,  
 I dalbóg, Telimeno, już go nie odmienię.“  
 „Ja, rzekła Telimena, nie chcę ci zagrządzać  
 Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!  
 Jesteś mężczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą

Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!  
 Tylko dla mój pociechy, niech wiem przed rozstaniem,  
 Że twoja skłonność była prawdziwem kochaniem,  
 Że to nie był żart tylko, nie rozpusta płocho,  
 Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz kocha!  
 Niech słowo „kocham“ jeszcze raz z ust twych usłyszę,  
 Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę,  
 Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie kochać,  
 Pomnąc jakeś mnie kochał!“ I zaczęła szlochać.

Tadeusz, widząc, że tak płacze i tak błaga  
 Czule, i tylko takiej drobnostki wymaga,  
 Wzruszył się, przejęły go szczerzy żal i litość,  
 I jeżeliby badał serca swego skrytość,  
 Możeby się w téj chwili i sam nie dowiedział,  
 Czyli ją kochał, czy nie. Więc żywo powiedział:  
 „Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,  
 Jeśli nieprawda, żem cię dalbóg bardzo lubił,  
 Czy kochał. Krótkie z sobą spędziliśmy chwile;  
 Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,  
 Że będą długo, zawsze myśli mój przytomne,  
 I dalibóg, że nigdy ciebie nie zapomnę“.

Telimena skoczywszy padła mu na szyję:  
 „Tegom się spodziewała! Kochasz mnie, więc żyję!  
 Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić...  
 Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz mnie rzucić?  
 Tobie oddałam serce: oddam ci majątek,  
 Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek  
 Będzie mnie z tobą miły; z najdzikszéj pustyni  
 Miłość, wierzaj mi, ogród rokoszy uczyni“.

Tadeusz, wydarłszy się z objęcia przemocą:  
 „Jakto? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? po co?  
 Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnierzem,  
 Włóczyć, czy markietankę?“... „To my się pobierzem“,  
 Rzekła mu Telimena. „Nie, nigdy! zawoła  
 Tadeusz. Ja żenić się nie mam teraz zgoła  
 Zamiaru, ni kochać się... Fraszki! dajmy pokój!  
 Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!

Ja jestem tobie wdzięczny; ale niepodobna  
 Żenić się. Kochajmy się: ale tak — z osobna.  
 Zostać dłużej nie mogę; nie, nie, jechać muszę.  
 Bądź zdrowa, Telimeno moja, jutro ruszę“.]

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem,  
 Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem  
 I twarzą, jak Meduzy głową. Musiał zostać  
 Mimowolnie; poglądał z trwogą na jej postać:  
 Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia;  
 Aż wyciągając rękę, jak miecz do przebicia,  
 Z palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy:  
 „Tego chciałam! krzyknęła, ha! języku smoczy!  
 Serce jaszczurcze! To nic, żem tobą zajęta  
 Wzgardziła Asesora, Hrabie i Rejenta.  
 Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę:  
 To nic! jesteś mężczyzną: znam waszą niecnotę,  
 Wiem, że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać,  
 Lecz nie wiedziałam, że tam podle umiesz kłamać!  
 Słuchałam pode drzwiami stryja... Więc to dziecko,  
 Zosia? wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko  
 Dybiesz?... Zaledwieś jedną nieszczęsną oszukał;  
 A już pod jej okiem nowych ofiar szukał!  
 Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleństwa;  
 Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa:  
 Twe sztuki już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!  
 Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!“

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,  
 I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,  
 Zadrzał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,  
 Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł: „Głupia!“...

Odszedł; lecz wyraz „podłość“ echem się powtórzył  
 W sercu. Wzdrygnął się młodzian, czuł, że nań zasłużył;  
 Czuł, że wyrządził wielką krzywdę Telimenie;  
 Że go słusznie skarżyła, mówiło sumienie;  
 Lecz czuł, że po tych skargach tém mocniej ją zbrzydził.  
 O Zosi, ach! pomyśleć nie ważył się, wstydził...  
 Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!

Stryj swatał ją! możeby jego żoną była:  
 Gdyby nie szatan, co go płacząc w grzech za grzechem,  
 W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem!  
 Złajany, pogardzony od wszystkich, w dni parę  
 Zmarnował przyszłość! Uczuł słuszną zbrodni karę.

W téj burzy uczuć, jakby kotwica spoczynku,  
 Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku:  
 „Zamordować Hrabiego! lotra! krzyknął w gniewie;  
 Zginać, albo zemścić się!...“ A za co? sam nie wie.  
 I ten gniew wielki, jak się zajął w mgnieniu oka,  
 Tak wywietrzył. Znów zdjęła go żalność głęboka;  
 Myślał: „Jeśli prawdziwe było postrzeżenie,  
 Że Hrabia z Zosią jakieś miał porozumienie...  
 I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,  
 Może ona go kocha? za męża wybierze?...  
 Jakiemże prawem chciałbym zerwać to zamezście,  
 I sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście?...“

Wpadł w rozpacz, i nie widział innego sposobu,  
 Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kulak przycisnąwszy na schyloném czole,  
 Biegł ku łakom, gdzie stawy błyszcząły się w dole,  
 I stanął nad błotnistym; w zielonawe tonie  
 Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie  
 Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta  
 Ku nim. Bo samobójstwo, jak każda rozpusta,  
 Jest wymyślne: on w głowy szalonym zawrocie,  
 Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena, z dzikiéj młodzieńca postawy  
 Zgadując rozpacz, widząc, że pobiegł nad stawy,  
 Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,  
 Przelęknęła się; w istocie dobre serce miała.  
 Żal jéj było, że inną śmiał Tadeusz lubić,  
 Chciała go skarać, ale nie myślała zgubić.  
 Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,  
 Krzycząc: „Stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie  
 Czy jedź! tylko stój!...“ Ale on już szybkim biegiem  
 Wyprzedził ją daleko; już stanął nad brzegiem.

Dziwném zrządzeniem losów, po tym samym brzegu  
 Jechał Hrabia, na czele dzókiejów szeregu;  
 A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej  
 I harmonią cudną orkiestry podwodnej,  
 Owych chórów co brzmiały jak arfy eolskie —  
 (Żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie),  
 Wstrzymał konia i o swój zapomniał wyprawie,  
 Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.  
 Oczy wodził po polach, po niebios obszarze;  
 Pewnie układał w myśli nocne pejzaże.  
 Zaiste, okolica była malownicza!  
 Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza  
 Jako para kochanków: prawy staw miał wody  
 Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody;  
 Lewy, ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana  
 Smagława. i już męskim puchem osypana;  
 Prawy złocistym piaskiem połyskał się wkoło,  
 Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło  
 Najeżone łożami, wierzbami czubate:  
 Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce związane pospołu,  
 Ściskają się. Strug dalej upada do dołu:  
 Upada, lecz nie ginie: bo w rowu ciemnotę  
 Unosi na swych falach księżycą pozłotę;  
 Woda warstwami spada, a na każdej warście  
 Połyskują się blasku miesięcznego garście;  
 Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,  
 Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,  
 A z góry znów garściami spada blask miesiąca.  
 Myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka;  
 Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,  
 A drugą ręką w wodę, dla zabawki, miota  
 Brane z fartuszka garście zaklętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie  
 Rozkręca się, acizsa: lecz widać, że płynie;  
 Bo na jego ruchomej, drgającej powłoce  
 Wzdłuż miesięczne światelko drgające migoce.  
 Jako piękny wąż żmudzki, zwany *giwojtosem*,



Chociaż zdaje się drzémac, leżąc między wrzosem,  
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,  
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:  
Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,  
Które na widnokręgu czerniały kończynach,  
Wznosząc swe kształty lekkie, niewyraźne oku,  
Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi,  
Jako stary opiekun, co kochanków śledzi,  
Podслуchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,  
Trzęsie głową, rękami, i groźby belkoce:  
Tak ów młyn nagle zatrzęsł mchem obrosłe czoło,  
I palczastą swą pięścią wykręcając wkoło,  
Ledwo kleknął i szczęki zębówate ruszył,  
Zaraz miłosną stawów rozmowę zagłuszył,  
I zbudził Hrabie.

Hrabia widząc, że tak blisko  
Tadeusz nadszedł jego zbrojne stanowisko,  
Krzyczy: „Do broni! łapaj!“ Skoczyli dżokeje:  
Nim Tadeusz rozeznac mógł, co się z nim dzieje,  
Już go chwycili. Biegną do dworu, w podwórze  
Wpadają. Dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże.  
Wyskoczył w pół ubrany Sędzia; widzi zgraję  
Zbrojną, myśli, że zbójcy: aż Hrabie poznaje.  
„Co to jest?“ pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,  
Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygął;  
„Soplico! rzekł, odwieczny wrogu méj rodziny,  
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,  
Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru,  
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!“

Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: „W Imię Ojca  
I Syna! tfu! Mospanie Hrabio, czy Waśc zbojca?  
Przebóg! czy się to zgadza z Pana urodzeniem,  
Wychowaniem i z Pana na świecie znaczeniem?  
Nie pozwolę skrzywdzić się!“ Wtém Sędziego słudzy  
Biegli, jedni z kijami, ze strzelbami drudzy;  
Wojski, stojąc zdaleka, poglądał ciekawie  
W oczy Panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bitwę; lecz Sędzia przeszkodził.  
 Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził:  
 Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!  
 Most na rzece zahuczał tętentem konnicy,  
 I „hejże na Soplicę!“ tysiąc głosów wrzasło.  
 Wzdrygnął się Sędzia: poznał Gerwazego hasło.  
 „Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej;  
 Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy“.

Wtém Asesor nadbiegał krzycząc: „Areszt kładę  
 W imię Imperatorskiej Mości; oddaj szpadę  
 Panie Hrabio, bo wezwę wojskowej pomocy!  
 A wiesz Pan, że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,  
 Zastrzeżono tysiącnym dwóchsetnym ukazem,  
 Że jak zło...“ Wtém go Hrabia w twarz uderzył płazem.  
 Padł zgłuszony Asesor i skrył się w pokrzywy:  
 Wszyscy myśleli, że był ranny i nieżywy.

„Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi“.  
 Jęknęli wszyscy; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,  
 Która krzyczała, Sędzię objawszy rękami,  
 Jako dziecko od Żydów klóte igielkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,  
 Wyciągnęła ku Hrabii załamane dłonie:  
 „Na twój honor!“ — krzyknęła przeraźliwym głosem,  
 Z głową w tył wychyloną, z rozpuszczonym włosom —  
 „Przez wszystko co jest świętém, na klęczkach błagamy!  
 Hrabio, śmieysz-że odmówić? proszą ciebie damy;  
 Okrutniku, nas pierwój musisz zamordować!“  
 Padła zemdlona. Hrabia skoczył ją ratować,  
 Zadziwiony i nieco zmieszany tą sceną:  
 „Panno Zofio, rzece, pani Telimeno!  
 Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami.  
 Soplicowie, jesteście moimi więźniami.  
 Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką,  
 Którą Sycylianie zwą Birbante-rokką,  
 Zdobyłem tabor zbójców: zbrojnych mordowałem,  
 Rozbrojonych zabrałem i zwięzać kazałem;  
 Szli za kołmi i tryumf mój zdobyli świetny,  
 Potém ich powieszono u podnóża Etny“.

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców,  
 Ze Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców,  
 I chcąc spotkać się pierwszy, zostawił ich w tyle,  
 I biegł przed resztą jazdy przynajmniej o milę,  
 Ze swém dzokejstwem, które posłuszne i karne,  
 Stanowiło niejako wojsko regularne:  
 Gdy inna szlachta była, zwyczajem powstania,  
 Burzliwa i niezmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu;  
 Przemyślał, jakby skończyć bój bez krwi rozlewu:  
 Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,  
 Jako więźniów wojennych; u drzwi stawia strażę.

Wtém „hajże na Sopliców!...“ Wpada szlachta hurmem,  
 Obstępuje dwór wkoło i bierze go szturmem,  
 Tém łacniej, że wódz wzięty i pierzchła załoga;  
 Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.  
 Do domu niewpuszczeni, biegają do folwarków,  
 Do kuchni. Gdy do kuchni weszli, widok garnków,  
 Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,  
 Chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy,  
 Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,  
 Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.  
 Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem:  
 „Jeść! jeść!“ potrzykroć zgodnym wezwali okrzykiem;  
 Odpowiedziano „Pić! pić!“ Między szlachty zgrają  
 Stają dwa chóry: ci pić, a ci jeść wołają.  
 Odgłos leci echami; gdzie tylko dochodzi,  
 Wzbudza oskomę w ustach, głód w żołądkach rodzi.  
 I tak, na dane z kuchni hasło, niespodzianie  
 Rozeszła się armia na furażowanie.

Gerwazy, od pokojów Sędziego odparty,  
 Ustąpić musiał przez wzgląd dla hrabiowskiej warty.  
 Więc nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,  
 Myślał o drugim wielkim téj wyprawy celu.  
 Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,  
 Chce Hrabiego osadzić na nowém dziedzictwie  
 Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,  
 Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega.

Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,  
 I zmierzwszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:  
 „Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Waćpana prosić,  
 Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić  
 Intromisyę Hrabi do zamku, do dworu  
 Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,  
 Słowem, cum gais, boris et graniciebus,  
 Kmetonibus, scultetis et omnibus rebus,  
 Et quibusdam aliis. Jak tam wiész, tak szczekaj,  
 Nic nie opuszczaj!“ „Panie Kluczniku, zaczekaj;  
 — Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy —  
 Gotów jestem wypełniać wszelkie stron rozkazy:  
 Ale ostrzegam, że akt nie będzie miał mocy,  
 Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy“.  
 „Co za gwałty? rzekł Klucznik, tu nie ma napaści:  
 Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,  
 To scyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci  
 Zaraz w ślepiach jak w siedmiu kościołach zaświeci“.  
 „Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?  
 Jestem Woźny: nie moja rzecz sprawę roztrząsać;  
 Wszak wiadomo, że strona Woźnego zaprasza  
 I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.  
 Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą;  
 Niewiém tedy, za co mnie trzymacie pod strażą.  
 Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie;  
 A tymczasem ogłaszam: Bracia, uciszcie się!“

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki  
 Belek (pod płotem sadu suszyły się belki);  
 Wlazł na nie: i zarazem, jakby go wiatr zdmuchnął,  
 Zniknął z oczu. Słyszano jak w kapustę buchnął;  
 Widziano, po konopiach ciemnych jego biała  
 Konfederatka, niby gołąb przeleciała.  
 Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu;  
 Wtém zatrzeszczały tyki: już Protazy w chmielu.  
 „Protestuję!“ zawołał; pewny był ucieczki,  
 Bo za sobą miał łożę i bagniska rzeczki.

Po téj protestacyi, która się ozwała  
 Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,

Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze.  
 Szlachta głodna plondruje, zabięra co może;  
 Kropiciel stanowisko zajmwszy w oborze,  
 Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,  
 A Brzytewka im szablę w gardzielach utopił;  
 Szydelko równie czynnie używał swęj szpadki,  
 Kabany i prosięta koląc pod łopatki.  
 Już rzeź zagraża ptastwu. Czujne gęsi stado,  
 Co niegdys ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,  
 Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,  
 Wpada w kotuch Konewka: jedne ptaki zdusza,  
 A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.  
 Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,  
 Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią,  
 On bieży; osypany iskrzącym się puchem,  
 Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,  
 Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku,  
 Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku;  
 I z długiego biczyska porobiwszy petle,  
 Drzemiące ptastwo śledzi przy latarki świetle,  
 I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry  
 Kogutki i szurpate i czubate kury;  
 Jedne po drugich dusi i składa do kupy,  
 Ptastwo piękne, karmione perłowymi krupy.  
 Niebaczny Saku, jakież zapał cię unosi!  
 Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy:  
 Każe sobie podawać od kontuszów pasy,  
 I nimi z Soplicowskiej piwnicy dobywa  
 Beczki staręj siwuchy, dębniaku i piwa.  
 Jedne wnet odgwożdżono, a drugie ochoczo  
 Szlachta gęsta jak mrowie, porywają, toczą  
 Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera,  
 Tam założona główna Hrabiego kwatery.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,  
 Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;



Chce Szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.  
Lecz powoli zaczęli drzémac i poziewać;  
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada  
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada:  
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.  
Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

---

## KSIEGA IX.

### BITWA.

O niebezpieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania. — Odsiecz niespodziana. — Smutne położenie szlachty. — Odwiedziny kwestarskie są wróżbą ratunku. — Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę. — Wystrzał z krucicy, hasło boju. — Czyny Kropiciela, czyny i niebezpieczeństwa Maćka. — Konewka zasadzką ocala Soplicowo. — Posiłki jezdne, atak na piechotę. — Czyny Tadeusza. — Pojedynek dowódców przerwany zdradą. — Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju. — Czyny krwawe Gerwazego. — Podkomorzy zwycięzca wspaniałomyślny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi  
Blask latarek i wnijscie kilkudziesiąt ludzi,  
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne,  
Nazwane *kosarzami*, na muchy wpółsenne:  
Zaledwie która bzyknie, już długimi nogi  
Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.  
Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy:  
Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy,  
Chociaż byli chwytni silnymi rękoma  
I przewracani jako na przewiąsłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie  
Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,  
Konewka, co mógł wypić lipcu dwa antały,  
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały:  
Ten, choć długo ucztował i usnął głęboko,  
Dawał przecie znak życia. Przymknął jedno oko,  
I widzi... istne zmory! Dwie okropne twarze  
Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,

Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,  
 I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami.  
 Zląkł się, chciał przeżegnać się: darmo rękę chwytą,  
 Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;  
 Ruszył lewą: niestety! czuje, że go duchy  
 Spowily ciasno, jako niemowlę w pieluchy,  
 Zląkł się jeszcze okropnie, wnet oko zawiera,  
 Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera!

Lecz kropiciel zerwał się bronić się: po czasie!  
 Bo już był skrępowany we swym własnym pasie.  
 Przecież zwinął się, i tak sprężyste podskoczył,  
 Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,  
 Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,  
 A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.  
 Ryczał: „Zdrada!...“ Wnet cała zbudzona gromada  
 Chórem odpowiedziała: „Zdrada! gwałtu! zdrada“!

Krzyk dochodzi echami zwierciadlanej sali,  
 Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali.  
 Przebudza się Gerwazy: darmo się wydziera,  
 Związany w kij do swego własnego rapiera;  
 Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,  
 W czarnych, krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych.  
 Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę  
 I ostrzem jój kierował swych drabów gromadę,  
 Szepcząc: „Wiąż! wiąż!“ Dokoła leżą jak barany  
 Dżokeje w pętach; Hrabia siedzi niezwiązany,  
 Lecz bezbronny; przy nim dwaj z gołymi bagnety  
 Stoją draby. Poznał ich Gerwazy: niestety!  
 Moskale!!!

Nieraz Klucznik był w podobnych trwogach,  
 Nieraz miewał powrozy na rękę i nogach:  
 A przecież się uwalniał; wiedział o sposobie  
 Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie;  
 Przemyślał ratować się milczkiem. Oczy zmrużył,  
 Niby śpi; zwolna ręce i nogi przedłużył,  
 Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwięcej:  
 Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży;  
 Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,

Tak Gerwazy z długiego stał się krótki, gruby;  
 Rozciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy...  
 Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy  
 Przewrócił się, i w ziemię schowawszy twarz gniewną,  
 Zamknawszy oczy, leżał nieczuły jak drewno.

Wtém ozwały się bębny; najprzód zrzadka, potem  
 Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem.  
 Na ten apel, rozkazał oficer Moskali,  
 Dżokiejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,  
 Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.  
 Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty wiele:  
 Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,  
 Wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele;  
 Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,  
 Zwłaszcza, że z Dobrzyńskimi byli zdawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalion Moskałów sprowadził?  
 Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?  
 Asesor-li, czy Jankiel? Różnie słyhać o tém,  
 Lecz nikt pewno nie wiedział ni wtenczas ni potem.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni;  
 Brzegiem tęym jak gdyby odartym z promieni,  
 Nawpół widne, napoły w czerni chmur się chowa,  
 Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.  
 Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu,  
 Gęste i poszarpane jako bryły lodu;  
 Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym prószy,  
 Z tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,  
 Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny:  
 I tak dzień na przemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem  
 Każę wlec, w każdej belce wysiekać toporem  
 Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka  
 Nogi więźniów i drugą belką je zamyka.

Oba drewna, gwoździami przebite po rogach,  
 Ścisnęły się, jako psie paszczęki na nogach;  
 Zaś powrozami mocniej sznurowano ręce  
 Na plecach szlachty. Major, ku większej ich męce,  
 Kazał pierwój pozdzierać z głów konfederatki,  
 Z pleców płaszcze, kontusze, nawet taratki,  
 Nawet żupany. I tak szlachta, skuta w kłodzie,  
 Siedziała rżędem, dzwoniąc zębami na chłodzie  
 I na deszczu, bo coraz wzmagąła się ślota.  
 Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancję wnosi,  
 I Telimena łączy prośby do łez Zosi,  
 Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.  
 Wprawdzie oficer rotny, pan Nikita Ryków,  
 Moskał, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać:  
 Cóż, kiedy sam Majora Płuta musi słuchać!

Ten Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz,  
 Nazywał się (jak słyhać) po polsku Płutowicz,  
 Lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje  
 Z Polakiem, który w carskiej służbie zmoskwicieje.  
 Płut stał z fajką przed frontem, w boki się podpierał,  
 I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,  
 A za odpowiedź, na znak gniewnego humoru,  
 Wypuścił z ust kłęb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,  
 I Asesora także na bok odprowadza;  
 Przemysłają, jakby rzecz zakończyć bez sądu,  
 A co jeszcze ważniejsza, bez mieszań się rządu.  
 Więc do Majora Płuta rzekł Kapitan Ryków:

„Panie Major! co nam z tych wszystkich niewolników?  
 Oddamy pod sąd? będzie szlachcie wielka bieda,  
 A panu Majorowi nikt za to nic nie da.  
 Wiesz co Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić:  
 Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić;  
 My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty:  
 A tak i kozy całe i wilk będzie syty.



Przysłowie ruskie: wszystko można, lecz ostrożnie;  
 I to przysłowie: sobie piecz na carskim rożnie;  
 I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody,  
 Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.  
 Raportu nie podamy, tak się nikt nie dowie.  
 Bóg dał ręce żeby brać: to ruskie przysłowie.„

Słyszając to Major, staje i od gniewu parska:  
 „Czy ty oszalał, Ryków? To służba cesarska:  
 A służba nie jest družba, stary, głupi Ryków!  
 Czy ty oszalał? Ja mam puszczać buntowników!  
 W takim wojennym czasie! Ha, pany Polaki,  
 Ja was nauczę buntu! Ha, szlachta łajdaki,  
 Dobrzyńcy, oj ja znam was! niech łajdaki mokną!  
 (I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno).  
 Wszakże ten sam Dobrzyński, co siedzi w surducie,  
 — Héj, zdjąć mu surdut! — w roku przeszłym na reducie  
 Zaczął ze mną tę kłótnię... Kto zaczął? on, nie ja:  
 On, gdy tańczyłem, krzyknął: Precz, za drzwi złodzieja!  
 Że wtenczas za pułkowej okradzenie kasy  
 Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy,  
 A jemu co do tego?... Ja tańczę mazura,  
 On krzyczy z tyłu: złodziej! Szlachta za nim: ural!  
 Skrzywdzili mnie... a co? wpadł w me szpony szlachciura.  
 Mówilem: ej Dobrzyński! ej przyjdzie do woza  
 Koza... a co, Dobrzyński? widzisz: będzie łożał“

Potém Sędziemu szepnęła, schyliwszy się w ucho:  
 „Jeśli chcesz Sędzio, żeby to uszło na sucho,  
 Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką;  
 Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko.“

Sędzia chciał targować się: lecz Major nie słuchał,  
 Znowu biegł po izbie, dymem gęsto buchał,  
 Podobny do szmermelu albo do rakiety.  
 Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.  
 „Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,  
 Cóż wygrasz? Tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,  
 Nie było ran, że zjedli kury i półgąski,  
 Za to wedle Statutu zapłacą nawiązki.

Ja na Pana Hrabiego nie zanoszę skargi;  
To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.“

„A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?“

„Co to za żółta księga?“ pan Sędzia zapytał.

„Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze Statuty,  
A w niej pisze co słowo: stryżek, Sybir, knuty;

Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej  
Ogłoszonych: już pod stół wasze trybunały!

Podług ustaw wojennych, za takową psotę,  
Pójdziecie już to najmniej w sybirską robotę.“

„Apeluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora.“

„Apeluj, rzekł Płut, choćby do Imperatora.

Wiesz, że gdy Imperator zatwierdza ukazy,  
Z łaski swój często karę powiększa dwa razy.

Apelujcie, ja może wynajdę w potrzebie,  
Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.

Wszak Jankiel, szpieg, którego rząd już dawno śledzi,  
Jest twoim domownikiem, w karczmie twojej siedzi.

Mogę teraz was wszystkich wziąć w areszt odrazu.“

„Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmieśz bez rozkazu?“

I przychodziło coraz do żywszego sporu,

Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem, niby laufer, bieży

Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży

Czterma rogami, z których dwa jako kabłaki

Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki,

A dwa od czoła na bok wysuwając końce,

Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące;

Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy,

Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli, że to wjazd Księdza Kwestarza.

Więc Pan Sędzia, powinność znając gospodarza,

Stał w progu witać gościa. Książd na pierwszej bryce

Jechał, kapturem nawpół zasłoniwszy lice,

Ale go wnet poznano: bo gdy więźniów minął,

Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.

I drugiej bryki furman równie był poznany:  
 Stary Maciek Rózczecka, za chłopą przebrany.  
 Szlachta zaczęła krzyczeć, skoro się pokazał;  
 On rzekł: „Głupi!...“ i ręką milczenie nakazał.  
 Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,  
 A Pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Isajewicze,  
 Birbasze, Wilbikowie, Biergele, Kotwicze,  
 Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tój ciężkiej niewoli,  
 Zaczęli z dawnych gniewów ostygając powoli:  
 Bo szlachta polska, chociaż niezmiernie kłótniwa  
 I porywcza do bitew, przecież nie jest mściwa,  
 Biegą więc do Macieja starego po radę.  
 On koło wozów całą ustawia gromadę,  
 Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju.  
 Zaledwie go poznano, choć nie zmienił stroju,  
 Tak przybrał inną postać. Zwyczajnie ponury,  
 Zamyślony: a taraz głowę wznosił do góry,  
 I z miną rozjaśnioną, jak kwestarz rubacha,  
 Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

„Cha, cha, cha, cha,  
 Kląniam, kląniam! Cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!  
 Panowie oficerzy, kto poluje we dnie,  
 Wy w nocy! Dobry połów: widziałem zwierzynę;  
 Oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę!  
 Oj weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!  
 Winszuję ci Majorze żeś złowił Hrabika:  
 To tłuścioszek, to bogacz, panicz z antenatów;  
 Nie wypuszczaj go z klatki bez trzystu dukatów.  
 A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,  
 I dla mnie, bo ja zawždy za twą duszę proszę.  
 Jakem Bernardyn, bardzo myślę o twój duszy!  
 Śmierć i sztabs-oficerów porywa za uszy!  
 Dobrze napisał Baka, że śmierć dźga za katy  
 W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,  
 I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,  
 I po fryzurze równie jak i po mundurze.

Śmierć matula, powiada Baka, jak cébula,  
 Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula  
 I dziecko co się lula, i zucha co hula!  
 Ach! ach! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem!  
 To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!  
 Panie Sędzio, wszakże to czas podobno śniadać?  
 Siadam za stół, i proszę wszystkich za mną siadać;  
 Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku,  
 Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?“

„To prawda Ojczy rzekli dwaj oficerowie,  
 Czasby już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowie!“

Zdziwili się domowi, patrząc na Robaka,  
 Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka?  
 Sędzia wnet kucharzowi powtórzył rozkazy:  
 Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.  
 Plut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,  
 Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,  
 Że wpół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy  
 I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krześle się rozwalił,  
 Dobył fajkę, biletem bankowym zapalił,  
 I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,  
 Obrócił śmiejące się oczy na kobiety,  
 I rzekł: „Ja, piękne Panie, lubię was jak wety!  
 Na me szlify majorskie: gdy człek zjadł śniadanie,  
 Najlepszą jest po zrazach zakąską, gadanie  
 Z Paniami tak pięknymi jak wy piękne Panie!  
 Wiécie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?  
 Albo pójdźmy mazurka? he! do djabłów trzysta!  
 Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!“  
 Zaczém ku damom bliżej chylił się wygięty,  
 I puszczał na przemiany dym i komplementy.

„Tańczyć! zawołał Robak: gdy wychylę flaszę,  
 To i ja, choć ksiądz, habit czasami podkaszę  
 I potańczę mazurka! Ale wiész, Majorze,  
 My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?“

Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy:  
 Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!“  
 „Prosiłbym, rzecz Major, lecz w tém niéma musu.“  
 „Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.“  
 I tak, kiedy we dworze sztab wesoły łyka,  
 Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Ryków Kapitan milczkiem kielichy wychylał,  
 Lecz Major pił i razem damom się przymilał.  
 A wzmagął się w nim coraz tańcowania zapał.  
 Rzucił fajkę i rękę Telimeny złapał:  
 Chciał tańczyć, lecz uciekła; więc podszedł do Zosi,  
 Kłaniając się, ślaniając, do mazurka prosi:  
 „Héj! ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce;  
 Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce.  
 Widzisz-no tam gitarę, pódź-no, weź gitarę,  
 I mazurka! Ja Major idę w pierwszą parę...“  
 Kapitan wziął gitarę i struny przykręcał,  
 Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał.

„Słowo majorskie, Panno: nie Rossyaninem  
 Jestem, jeżeli kłamię; chcę być sukinsynem,  
 Jeżeli kłamię; spytaj, a oficerowie  
 Wszyscy poświadczą, cała armia to powie:  
 Że w téj drugiej armii, w korpusie dziewiątym,  
 W drugiej pieszej dywizyi, w pułku pięćdziesiątym  
 Jegierskim, Major Płut jest pierwszy mazurzysta.  
 Pójdźże Panienko! nie bądź taka narowista!  
 Bo ja po oficersku ukarzę Panienkę...“

To mówiąc skoczył, chwycił Telimeny rękę,  
 I szerokim całusem w blade ramię klasnął:  
 Gdy Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął.  
 I całus i policzek ozwały się razem,  
 Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetaił, z gniewu błądy  
 Zawołał: „Bunt! buntownik!“ i dobywszy szpady,  
 Biegł przebić. Wtém ksiądz dostał z rękawa krucicę:  
 „Pal Tadeuszku! krzyknął, pal jak w jasną świecę!“



Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,  
 Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.  
 Porywa się z gitarą Ryków: „Bunt! bunt!“ woła,  
 Wpada na Tadeusza. Lecz Wojski z za stoła  
 Machnął ręką na odlew; nóż w powietrzu świsnął  
 Między głowy, i pierwiej uderzył niż błysnął;  
 Uderza w dno gitary, na wylot ją wierci,  
 Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,  
 Lecz strwożył się; krzyknawszy: „Jegry! bunt! Jój Bogu!“  
 Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

Wtém, z drugiej strony izby wpada szlachty wiele  
 Przez okna, z rapierami, Rózczecka na czele.  
 Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnierzy.  
 Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży,  
 Już przeze drzwi włożą trzy błyszczące bagnety,  
 A za nimi trzy czarne schylone kaszkiety.  
 Maciek stał u drzwi z różgą wzniesioną do góry,  
 Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,  
 Aż ciał okropnie: może głowy by trzy zwałił;  
 Lecz stary czy nie dojrzał, czy zbyt się zapalił,  
 Bo nim szyję wytknęli, rąbnął po kaszkietach.  
 Zdarł je: różga spadając brzękła po bagnietach.  
 Moskale cofają się, Maciek ich wygania  
 Na dziedziniec.

Tam jeszcze więcej zamieszania.

Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody  
 Nad rozkuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody.  
 Widząc to, jegry za broń porywają, biega.  
 Sierżant wpadłszy, bagnetem przebił Podhajskiego,  
 Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela:  
 Uciekają. Było to przy kłodzie Chrzyciela.  
 Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;  
 Wstał, podniósł dłoń i zwinął w kłębek długie palce,  
 I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina,  
 Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina;  
 Trzasł zamek: lecz zalany krwią proch już nie spalił;  
 Sierżant u nóg Chrzyciela na swą broń się zwałił.  
 Chrzyciel schyla się, chwyta karabin za rurę,

I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,  
 Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwała  
 Po ramionach, i w głowę ugadza kaprała.  
 Reszta zlekła od kłody cofa się z przestachem:  
 Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczém rozbito kłodę, rozcięto powrozy.  
 Szlachta, już wolna, wpada na kwestarskie wozy;  
 Z nich dobywa rapiery, pałasze, tasaki,  
 Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki  
 I worek kul; wsypał je do swojego szturmaka:  
 Drugi równie nabiwszy, ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa. Mieszają się, tłuką;  
 Szlachta w zgielku nie może ciąć krzyżową sztuką,  
 Jegry nie mogą strzelać; już walczą wręcz zbliśka,  
 Już stal ząb za ząb o stal porwawszy się pryska,  
 Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,  
 Pięść spotyka się z pięścią i z ramieniem ramię.

Lecz Ryków z częścią jegrów pobiegł, gdzie stodoła  
 Tyka plotów; tam staje, na żołnierzy woła,  
 Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,  
 Gdzie nie używszy broni, pod pięściami padną.  
 Gniewny, że sam nie może dać ognia, bo w tłumie  
 Moskałów od Polaków rozróżnić nie umie,  
 Woła: „Stroj się!“ (co znaczy formuj się do szyku),  
 Ale komendy jego nie słychać śród krzyku.

Stary Maciek, do ręcznych zapasów niezdolny,  
 Rejterował się, czyniąc przed sobą plac wolny  
 Na prawo i na lewo. Tu, końcem szablicy  
 Ociera bagnet z rury, jako knot ze świecy;  
 Tam, machnąwszy na odlew, ścina albo kole:  
 I tak ostrożny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem  
 Stary Gefrejter, co był pułku instruktorem,  
 Wielki mistrz na bagnety. Zebrał się sam w sobie,  
 Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,

Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,  
 Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,  
 Lewą rękę opuszcza, a broń z prawej ręki  
 Suwa naprzód, jak żądło z węzowej paszczęki,  
 I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera:  
 I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocenił przeciwnika zręczność Maciek stary,  
 I lewą ręką włożył na nos okulary,  
 Prawą, rękojeść różgi tuż przy piersiach trzyma,  
 Cofa się, Gefrejtera ruch śledząc oczyma,  
 Sam słania się na nogach, jakoby był pijany.  
 Gefrejter bieży prędkiej i pewny wygranej,  
 Żeby uchodzącego tém łacniej dosięgnął,  
 Powstał, i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął,  
 Popychając karabin, a tak się wysilił  
 Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił:  
 Maciek tam kędy bagnet wkłada się na rurę,  
 Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,  
 I wnet spuszczejąc różgę, tnie Moskala w rękę  
 Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę.  
 Tak padł Gefrejter, fehmistrz najpiérwszy z Moskalów,  
 Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło  
 Już jest bliskie zwycięstwa. Tam walczył Kropidło  
 Widny zdala, tam Brzytwa wił się śród Moskali;  
 Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali.  
 Jako machina, którą niemieccy majstrowie  
 Wymyślili, i która młóckarnią się zowie,  
 A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,  
 Razem i słomę kraje i wybija zboże:  
 Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,  
 Mordując nieprzyjaciół, ten z góry, ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo;  
 Bieży na prawe skrzydło, gdzie niebezpieczeństwo  
 Nowe grozi Maćkowi. Śmierci Gefrejtera  
 Mszcząc się, Praporszczyk z długim szpontonem naciera,  
 (Szponton jest to zarazem dzida i siekiera;

Teraz już zaniedbany, i tylko na flocie  
 Używają go; wówczas służył i piechocie.)  
 Praporszczyk, człowiek młody, zrećnie się uwijał,  
 Plekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,  
 On cofał się: młodego nie mógł Maciek zgonić,  
 I tak nie raniąc, musiał tylko siebie bronić.  
 Już mu Praporszczyk dzida lekką ranę zadał,  
 Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał:  
 Chrzciciel nie zdoła dobiedz, lecz staje w pół drogi,  
 Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi.  
 Skruszył kość; już Praporszczyk szponton z rąk upuszcza,  
 Ślania się; wpada Chrzciciel, za nim szlachty tłuszcza,  
 A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła  
 Biegą zmieszani. Wszczął się bój koło Kropidla.

Chrzciciel, który w obronie Maćka oręż stracił,  
 Ledwie że tój przysługi życiem nie przypłacił:  
 Bo przypadło nań z tyłu dwóch silnych Moskali,  
 I czworo rąk zarazem we włos mu wplątałi;  
 Upiąwszy się nogami, ciągną jako liny  
 Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny.  
 Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy;  
 Chwieje się: a wtém postrzegł, że blisko Gerwazy  
 Walczy; zawołał: „Jezus Marya! Scyzoryku!“

Klucznik, trwogę Chrzciciela poznawszy po krzyku,  
 Odwrócił się, i spuścił ostrze płytkiej stali  
 Między głowę Chrzciciela i ręce Moskali.  
 Cofnęli się, wydawszy przeraźliwe głosy;  
 Lecz jedna ręka, mocniej wplątana we włosy,  
 Została się wisząca i krwią buchająca.  
 Tak orlik, jedną szponę gdy wbije w zająca,  
 Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,  
 A zając targnąwszy się, orla wpół rozszczepi:  
 Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,  
 A lewą, zakrwawioną, zwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny, oczy obraca dokoła,  
 Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła;  
 Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku,

I pilnując się zbliżka Gerwazego boku,  
 Aż Saka, syna swego, postrzega w natłoku.  
 Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą  
 Ciągnie za sobą długie, sążniowate drzewo.  
 Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki.  
 (Niktby go nie podźwignął prócz Chrzciela ręki).  
 Chrzciel, gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył,  
 Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,  
 Zakreślił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potem dokazywał, jakie klęski szerzył,  
 Daremnie śpiewać: niktby Muzie nie uwierzył;  
 Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,  
 Która stojąc na świętej Ostrzej Bramy szczycie,  
 Widziała, jako Dejów, moskiewski Jenerał,  
 Wchodząc z pułkiem kozaków, już bramę otwierał,  
 I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,  
 Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki.

Dosyć, że się tak stało, jak przewidział Ryków:  
 Jegry w tłumie ulegli mocy przeciwników.  
 Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,  
 Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,  
 Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,  
 Kilku wpadło do domu pod kobiet opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,  
 Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;  
 Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.  
 On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony  
 Księdzu bić się); lecz jako człowiek doświadczony,  
 Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,  
 Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził,  
 I teraz woła, aby do niego się łączyć,  
 Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.  
 Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,  
 Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;  
 Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,  
 Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.



Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;  
 Zebrawszy koło siebie pół batalionu,  
 Krzyknął: „Za broń!“ wnet szereg karabiny chwyta.  
 Chrzęsnęła broń, a była już dawno nabita;  
 Krzyknął: „Cel!“ rury rzędem zabłysnęły długim;  
 Krzyknął: „Ognia koleją!“ grzmia jeden po drugim.  
 Ten strzela, ten nabija, ten chwyta do ręki,  
 Słysząc świsty kul, zamków chrzęsty, stęplów dźwięki.  
 Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,  
 Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.

Prawda, że jegry byli mocnym trunkiem pjani,  
 Źle mierzą i chybiają, rzadko który rani,  
 Ledwie który zabije: przecież dwóch Maciejów  
 Już zraniono, i poległ jeden z Bartłomiejów.  
 Szlachta z niewielu rusznic zrzadka się odstrzela;  
 Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,  
 Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,  
 Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,  
 Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz, który został w domu kobiet bronić  
 Z rozkazu stryja, słysząc, że coraz to gorzej  
 Wre bitwa, wybiegł; za nim wybiegł Podkomorzy,  
 Któremu Tomasz wreszcie przyniósł karabelę;  
 Spieszmy, łączy się z szlachtą i staje na czele.  
 Bieży, broń wzniósłszy; szlachta rusza jego śladem;  
 Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem:  
 Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony.  
 Zaczém, wstrzymują szlachtę, Robak z jednej strony  
 A z drugiej Maciej. Szlachta ostyga w zapale,  
 Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale:  
 Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,  
 Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

„Formuj się do ataku! zawołał, na sztyki!  
 Naprzód!“ Wnet szereg rury wytknąwszy jak tyki,  
 Schyla głowy, rusza się i przyspiesza kroku.  
 Darmo szlachta wstrzymuje z przodu, strzela z boku:  
 Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;

Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu,  
 Krzyczy: „Sędzio! poddaj się, bo dwór spalić każę!“  
 „Pal, woła Sędzia, ja cię w tym ogniu usmażę“.

O dworze Soplicowski! Jeśli dotąd całe  
 Świecą się pod lipami twoje ściany białe,  
 Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada  
 Za gościnnymi stoły Sędziego zasiada:  
 Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie;  
 Bez niego jużby było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męztwa dowody.  
 Choć najpięrszy ze szlachty uwolniony z kłody,  
 Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę,  
 Swoją szturmak faworytny i z nim kul sakiewkę:  
 Nie chciał bić się; powiadał, że sobie nie ufa  
 Na czczo. Szedł więc, gdzie stała spirytusu kufa;  
 Ręką, jak łyżką, strumień do ust sobie chylił.  
 Dopiero, gdy się dobrze rozgrzał i posilił  
 Poprawił czapkę, z kolan wziął do rąk konewkę,  
 Zmacał stęplem naboju, podsypał panewkę,  
 I spojrzął na plac boju. Widzi, że błyszcząca  
 Fala bagnetów szlachtę bije i roztrąca:  
 Przeciw téj fali płynie; schyla się do ziemi  
 I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi,  
 Środkiem dziedzińca, aż tam gdzie rosła pokrzywa,  
 Zasadza się, a Saka gestami przyzywa.

Sak, broniąc dworu, stanął z szturmakiem u proga:  
 Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,  
 Od której choć w zalotach został pogardzony,  
 Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jej obrony.

Już szereg jegrów w marszu na pokrzywę wkracza,  
 Gdy Konew ruszył cyngla, i z paszczy garłacza  
 Tuzin kul rozsiekanych puszcza wśród Moskali;  
 Sak puszcza drugi tuzin. Jegry się zmieszali.  
 Przerażony zasadzką szereg w kłęb się zwija,  
 Cofa się, rzuca rannych; Chrzciciel ich dobija.

Stodoła już daleko. Bojąc się odwodu  
 Długiego, Ryków skoczył pod parkan ogrodu;  
 Tam, pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu,  
 Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu  
 Robi trójkąt, klin ostry wystawując z przodu,  
 A dwa boki opiera o parkan ogrodu.  
 Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,  
 Gdy pierzchła straż złękniiona, dworzan na koń wsadził,  
 I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,  
 Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesionem.  
 Wtém Ryków krzyknął: „Ognia pół-batalionem!“  
 Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,  
 I z czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta,  
 Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży,  
 Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży  
 Na ratunek, bo widzi: jegry na cel wzięli  
 Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli...  
 Robak był bliższy, Hrabie ciałem swém zakrywa,  
 Dostał za niego postrzał, z pod konia dobywa,  
 Uprowadza, a szlachcie każe się rozstąpić,  
 Lepiej mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,  
 Kryć się za płoty, studnie, za ściany obory;  
 Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie  
 Tadeusz. Stał ukryty za drewnianą studnię;  
 A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki,  
 (Mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki),  
 Okropnie razi Moskwę. Starszyznę wybiera;  
 Za pierwszym zaraz strzałem ubił Feldfebera,  
 Potém, z dwóch rur raz po raz dwóch sierzantów sprząta,  
 Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta,  
 Gdzie stał sztab. Zaczém Ryków gniewa się i dąsa,  
 Tupa nogami, szpady swój rękojeść kąsa:  
 „Majorze Płucie, woła, co to z tego będzie?  
 Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komendzie!“

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:  
 „Panie Polak, wstydz się Pan, chować się za drzewem;

Nie bądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie  
 Po żołniersku“. A na to Tadeusz odpowie:  
 „Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,  
 A czegoż ty się chowasz za jęgrów kołnierzem?  
 Nie tchórzę ja przed tobą: wynijdź-no z za płotów;  
 Dostałeś w twarz, jam przecie bić się z tobą gotów!  
 Po co krwi rozlew? Między nami była zwada:  
 Niechajże ją rozstrzygnie pistolet lub szpada,  
 Daję ci broń na wybór, od działa do szpilki;  
 A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki“.  
 I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył,  
 Że Porucznika obok Rykowa uderzył.

„Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynek,  
 I pomścij się za jego ranniwszy uczynek.  
 Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,  
 To Major widzi, Major hańby swój nie zmyje.  
 Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,  
 Nie można z karabina, to choć szpadą zabić.  
*Co puka to nie sztuka, to wołę co kole:*  
 Mówił stary Suworów; wyjdź Majorze w pole.  
 Bo on nas powystrzela; patrz, bierze do celu“.  
 Na to rzekł Major: „Ryków! miły przyjacielu!  
 Ty jesteś zuch na szpady: wyjdź ty bracie Ryków.  
 Lub wiesz co? wyszłem kogo z naszych Poruczników.  
 Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,  
 Do mnie batalionu komenda należy“.  
 Słyszac to Ryków, szpadę podniósł, wyszedł śmiało,  
 Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą;  
 Pyta się Tadeusza, jaką broń podoba?  
 Po układach, na szpady zgodzili się oba;  
 Tadeusz broni nie miał: gdy szukano szpady,  
 Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

„Panie Soplico! wołał, z przeproszeniem Pana,  
 Pan wyzwaleś Majora! Ja do Kapitana  
 Mam dawniejszą urazę: on do zamku mego...“  
 (Mów Pan, przerwał Protazy: do zamku naszego)  
 „On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele złodziejów,  
 On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.

Skarzę go, jakem zbójców skarał pod opoką,  
Którą Sycylianie zwa Birbante-rokko.

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie;  
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie.  
Hrabia i Ryków idą, obróćeni bokiem,  
Prawą ręką i prawem grożąc sobie okiem;  
Wtém lewymi rękami odkrywają głowy  
I kłaniają się grzecznie. (Zwyczaj honorowy,  
Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać).  
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;  
Rycerze wnosząc nogi, prawymi kolany  
Przyklękają, w przód i w tył skacząc na przemiany.

Ale Płut, Tadeusza widząc przed swym frontem,  
Naradzał się pocichu z gefrejterem Gontem,  
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca:  
„Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca?  
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątém żebrem,  
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem“.  
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,  
Wierni go towarzysze płaszczami okryli;  
Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza:  
Strzelił i trafił .. blisko, w środek kapelusza.  
Określił się Tadeusz: aż Kropiciel wpada  
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: „Zdrada!“  
Tadeusz go zasłania. Ledwie zdołał Ryków  
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,  
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,  
Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.  
Dobrzyńscy, widząc jak się Podhajski wykreca  
Tuż przed szeregami jegrów i kosą ich kraje,  
Zawołali z radością: „Niech żyją Podhaje!  
Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!“  
Skolubowie zaś, widząc jak waleczny Brzytwa,  
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,  
Krzyknęli: „Górą Maćki, niech żyją Mazury!“  
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali:  
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.



Gdy tak na rotę jegrów uderzano z przodu,  
 Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.  
 Przy boku jego stapał ostrożny Protazy,  
 A Wojski mu pocichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,  
 O który się opierał Ryków swym trójgranem,  
 Wielka, stara sernica, budowana w kratki  
 Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.  
 W niej świeciły się białych serów mnogie kopy;  
 Wkoło zaś wahały się suszące się snopy  
 Szalwii, benedykty kardy, macierzanki:  
 Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.  
 Sernica w górze miała wszérsz sążni półczwarta,  
 A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,  
 Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy  
 Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,  
 Groził upadkiem. Nieraz Sędziem radzono,  
 Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;  
 Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać,  
 Anizeli rozrzucać, albo téż przestawiać:  
 Odkładał budowanie do sposobnej pory,  
 Tymczasem pod słup kazał wetknać dwie podpory.  
 Tak pokrzepiona, ale nietrwała budowa  
 Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku téj sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,  
 Każdy zbrojny ogromnym dragiem jakby dzidą;  
 Za nimi ochmistrzynie dąży przez konopie  
 I kuchcik, małe, ale bardzo silne chłopię.  
 Przyszedszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,  
 Sami u końców wisząc pchają z całej siły:  
 Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę  
 Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup: już sernica chwieje się i wali  
 Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali.  
 Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,  
 Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi,  
 Krwią i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,

A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,  
Siecze Różga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,  
A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu jegrów z sierżantem na czele  
Broni się. Bieży Klucznik; oni stoją śmieje,  
Dziewięć rur wymierzili prosto w łeb Klucznika;  
On leci na strzał kręcąc ostrze scyzoryka.  
Widzi to ksiądz: zabiega Klucznikowi drogę,  
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę;  
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał.  
Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,  
Już wskoczył w dym, dwom jegrom zaraz głowy zmiata.  
Uciekają strwożeni, Klucznik goni, plata;  
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;  
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,  
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,  
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał:  
Bo przeze drzwi jęk słyhać, wrzask i gęste razy.  
Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerwazy  
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierzyła pole,  
Porozpędzanych jegrów ściga, rabie, kole,  
Ryków sam został; krzyczy, że broni nie złoży,  
Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,  
I wnosząc karabelę, rzekł poważnym tonem:  
„Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem.  
Daleś próby, rycerzu nieszczęsny, lecz mężny,  
Twojej odwagi: porzuć opór niedoleżny,  
Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim;  
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!”

Ryków, Podkomorzego zwalczony powagą,  
Skłonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,  
Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: „Lachy braty!  
Oj biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty!  
Dobrze mówił Suworów: „pomnij Ryków kamrat,  
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!”  
Cóż! jegry byli pjani, Major pić pozwolił!  
Och major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!

On odpowie przed Carem, bo on miał komendę.  
Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.  
Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,  
Ten, Panie Podkomorzy i mocno się czubi.  
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,  
Ale przestańcie robić nad jegrami zbytki“.

Podkomorzy, słysząc to, karabełę wznasza  
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza;  
Każe rannych opatrzyć, z trupów czyścić pole,  
A jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.  
Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy  
Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;  
Wyszedł wreszcie, ujrawszy, że było po bitwie.

Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

---

## KSIEGA X.

### EMIGRACYA. JACEK.

Narada tycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców. — Układy z Rykowem. —  
Pożegnanie. — Ważne odkrycie. — Nadzieja.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione  
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,  
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło  
Z południa, już ich stado pół niebios obległo  
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,  
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej:  
Aż, jedną stroną nawpół od niebios oddarta,  
Ku ziemi wychylona i wszérsz rozpostarta,  
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,  
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało  
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.  
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi  
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi  
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome  
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.  
I zielone przy drogach wierzby i topole,  
Co pierwój, jako płaczki przy grobowym dole,  
Biły czolem, długimi kręciły ramiony,  
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony,  
Teraz jak martwe, z niemój wyrazem żałoby,  
Stoją na kształt posagów sybilskiej Nioby.  
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,  
 Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,  
 I opuszczając stawę, do domu ucieka.  
 Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,  
 I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;  
 Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,  
 Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;  
 A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,  
 I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.  
 Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;  
 Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,  
 Przechadzają się sobie poważnymi kroki,  
 Czarne oczy kierują na czarne obłoki.  
 Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli  
 I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:  
 Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,  
 Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze,  
 Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym, zuchwała  
 Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,  
 Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owęj chwili  
 Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,  
 I chronią się gromadnie w domy i stodoły,  
 Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioly  
 Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ozłocona  
 Ziemia świeci ponuro, żółtawo-czerwona;  
 Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,  
 Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,  
 Jak gdyby je pochwyć chciała przed zachodem.  
 Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,  
 Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,  
 Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,  
 Borykają się, kręcą, świszczącymi koły  
 Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,  
 Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.  
 Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy  
 Na wiatr, jako garściami wyrwane włosy,



Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,  
 Upadają na rolę, tarzają się, ryją,  
 Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,  
 Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemiu,  
 Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,  
 Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,  
 Co rok wszérsz wydyma się, roztwiera ku górze,  
 I ogromną swą trąbą otrębuje burze.  
 Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,  
 Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,  
 Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy  
 Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już dészcz wciąż pluszczy

Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtém rykły pioruny,  
 Krople zlały się razem: to jak proste struny  
 Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,  
 To jak z wiader buchają warstwami całemi.  
 Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia:  
 Noc je, z burzą od nocy czarniejszą, zaciemia.  
 Czasem wídnokrag pęka od końca do końca,  
 I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,  
 Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem  
 Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.  
 Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,  
 I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.  
 Znowu dészcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;  
 Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.  
 Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa  
 Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu, pożądaný był czas najburzliwszy:  
 Bo nawalnica, boju plac mrokiem okrywszy,  
 Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,  
 Z folwarku niedostępną zrobiła fortecę.  
 O tém więc co się działo w obozie Soplicy,  
 Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy:  
 A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady.

Bernardyn leżał w łóżku; zmordowany, blady  
 I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,  
 Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.  
 Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,  
 Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.  
 Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,  
 Aż je przerwał Kapitan Ryków tymi słowy,  
 Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:  
 „Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,  
 Że każdy Moskal złodziej: powiedzcież, kto spyta,  
 Że znaleście Moskala, który zwan Nikita  
 Nikitycz Ryków, rotny kapitan, miał osim  
 Medalów i trzy krzyże — to pamiętać prosim:  
 Ten medal za Oczaków, ten za Izmaïłów,  
 Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsisz-IIów,  
 Tamten za Korsakowa sławną rejteradę  
 Z pod Zurich; a miał także i za męztwo szpadę,  
 Także od Feldmarszałka trzy zadowolenia,  
 Dwie pochwały cesarskie i cztery wspomnienia,  
 Wszystko na piśmie...“

„Ale, ale Kapitanie,  
 Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,  
 Jeśli nie chcesz zgodzić się? Wszakże dałeś słowo  
 Załatwić tę rzecz...“

„Prawda, słowo dam na nowo,  
 Rzecz Ryków, ot słowo! Co po waszój zgubie?  
 Ja człek pocziwy, ja was Państwo Lachy lubię,  
 Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,  
 I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.  
 U nas ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,  
 Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,  
 Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;  
 Czy o to gniew! tak u nas po żołniersku żyją.  
 Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło  
 Gniewać się o przegraną! Oczakowskie dzieło  
 Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,  
 Pod Austerlicem całą utracilem rotę,  
 A pierwój wasz Kościuszkę pod Raclawicami,

Byłem sierżantem, wysiekl mój pluton kosami:  
 I cóż stąd? To ja znowu u Maciejowiców  
 Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców:  
 Jeden był Mokronowski, szedł z kosą przed frontem,  
 I kanonierowi uciął rękę z lontem.  
 Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,  
 Ja Ryków; Car tak każe, a ja was żałuję,  
 Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,  
 Polska dla Lacha; ale cóż? Car nie pozwala!“

Sędzia mu na to rzecze: „Panie Kapitanie,  
 Żeś człek poczciwy, wiedzą to wszyscy ziemianie,  
 U których na kwaterach stałeś od lat wielu.  
 Za ten dar nie gniewaj się, dobry przyjacielu:  
 Nie chcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty  
 Śmieliśmy złożyć wiedząc, żeś człek niebogaty“.

„Ach jegry! wołał Ryków: cała rota skłuta!  
 Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!  
 On komendant, on za to przed Carem odpowie,  
 A wy te grosze sobie zabierzcie, Panowie;  
 U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,  
 A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.  
 A was lubię, że z wami sobie zjem, wypiję,  
 Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję.  
 Oto ja was obronię, i jak będzie śledztwo,  
 Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo.  
 Powiemy, że my przyszli tu z wizytą, pili  
 Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,  
 A Płut przypadkiem ognia zakomenderował,  
 Bitwa! i batalion tak jakoś zmarnował.  
 Wy Pany tylko śledztwo pomazujcie złotem,  
 Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tem,  
 Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi  
 Ma rapiér, że Płut piérwszy komendant, ja drugi:  
 Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka  
 Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;  
 Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.  
 No i cóż Panie szlachcic, ty z długim rapiérem,  
 Czy już byleś u Płuta, czyś się z nim naradził?“

Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,  
 Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał,  
 Że już wszystko załatwił. Lecz Ryków nastawał:  
 „Cóż, czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?”  
 Klucznik, zły, że go Ryków pytaniami dręczył,  
 Poważnie palec wielki ku ziemi naginał,  
 A potem machnął ręką, jak gdyby przecinał  
 Dalszą rozmowę, i rzekł: „Klnę się scyzorykiem,  
 Że Płut nie wydał gadać już nie będzie z nikim!...”  
 Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,  
 Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny gest pojęli słuchacze, i stali  
 Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,  
 I posępne milczenie trwało minut kilka.  
 Aż Ryków rzekł: „Nosił wilk, ponieśli i wilka!”  
 „Requiescat in pace“, dodał Podkomorzy.  
 „Już-ci, zakończył Sędzia, był w tém palec Boży!  
 Lecz ja téj krwi nie winien, jam o tém nie wiedział“.

Ksiądz porwał się z poduszek i posępny siedział,  
 Nakoniec rzekł, spojrzawszy bystro na Klucznika:  
 „Wielki grzech, bezbronno go zabić niewolnika!  
 Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!  
 Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.  
 Jedna jest restrykcya: jeśli popełniono  
 Nie z zemsty głupiiej, ale pro publico bono“.  
 Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,  
 I mrugając powtarzał: „Pro publico bono!“

Więcej nie było mowy o Płucie Majorze.  
 Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,  
 Daremnie wyznaczono za trupa nagrodę:  
 Major zginął bez śladu, jak gdyby wpadł w wodę.  
 Co się z nim stało, różnie powiadano o tém,  
 Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.  
 Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;  
 Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: „Pro publico bono“.  
 Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty  
 Honorowém, staruszek milczał jak zaklęty.

Po zawarciu układów, wyszedł z izby Ryków,  
 A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,  
 Do których Podkomorzy z powagą tak mowi:  
 „Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi;  
 Ale muszę Waćpaństwu wyznać bez ogródki,  
 Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki.  
 Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy:  
 Książd Robak, że zbyt czynnie rozszerzał nowiny;  
 Klucznik i szlachta, że je pojęła opacznie.  
 Wojna z Rosyą jeszcze nie prędko się zacznie;  
 Tymczasem, kto miał udział najczynniejszy w bitwie,  
 Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie:  
 Musicie więc do Księstwa uciekać Panowie,  
 A mianowicie Maciej, co się Chrzciciel zowie,  
 Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy  
 Za Niemien, gdzie ich czeka zastęp narodowy.  
 My na was nieobecnych całą winę zwalim,  
 I na Pluta: tak resztę rodzeństwa ocalim.  
 Żegnam was nie na długo; są pewne nadzieje,  
 Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,  
 I Litwa, co was teraz żegna jak tułaczy,  
 Wkrótce jako zwyciężkich swych zbawców zobaczy.  
 Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę;  
 I ja pieniędzmi, ile zdołam, dopomogę“.

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził:  
 Wiadomo, że kto z ruskim Carem raz się zwadził,  
 Ten już z nim na téj ziemi nie zgodzi się szczerze,  
 I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.  
 Więc nic nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,  
 Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,  
 Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny,  
 Gotów zawždy rzucić go, puścić się w kraj świata,  
 W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,  
 Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy  
 Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi;  
 Tylko się to nie zdało panu Buchmanowi.



Buchman, człowiek rozsądny, w bitwę się nie wmieszał,  
 Ale słysząc, że radzą, głosować pospieszał.  
 Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,  
 Dokładniej go rozwinąć, jaśniej wytłumaczyć,  
 A naprzód komisją legalnie wyznaczyć,  
 Któraby rozważyła Emigracyi cele,  
 Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele.  
 Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,  
 Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie.  
 Szlachta żegna się spiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,  
 I rzekł do Księdza: „Czas już, żebym ci powiedział  
 To, o czém z pewnością wczoraj się dowiedział:  
 Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi.  
 Niechajże przed odjazdem o rękę jój prosi.  
 Mówiłem z Telimeną: już nam nie przeszkadza;  
 Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.  
 Jeśli dziś ślubem pary nie mogę uwieńczyć,  
 Toćby ich, panie bracie, przynajmniej zaręczyć  
 Przed odjazdem: bo serce młode i podróżne,  
 Wiész dobrze, jako miewa tentacye różne;  
 A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierścionek  
 I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,  
 Zaraz w nim obcych pokus ostyga gorączka.  
 Wierzaj mi, wielką siłę ma ślubna obrączka.

„Ja sam przed lat trzydziestu, wielki afekt miałem  
 Ku pannie Marcie, której serce pozyskałem.  
 Byliśmy zaręczeni; Bóg nie błogosławił  
 Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,  
 Wziąwszy do chwały swojej nadobną Wojszczankę,  
 Przyjaciela mojego córę, Hreczeszankę.  
 Pozostała mi tylko pamiątka jój cnoty,  
 Jój wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.  
 Ilekroć nań spojrzalem, zawsze ma nieboga  
 Stawała przed oczyma: i tak z łaski Boga,  
 Dotąd méj narzeczonej dochowałem wiary,  
 I nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,  
 Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,  
 I do mojej kochanej Marty dość podobną!“

To mówiąc na pierścionek z czułością spozierał,  
I odwróconą ręką łyzy z oczu ocierał:  
„Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?  
On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny“.

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mowi:  
„Czémże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,  
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!  
Ach dobry stryju, byłbym najszczęśliwszy z ludzi,  
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,  
Gdybym wiedział, że to jest moja przyszła żona...  
Przecież powiem otwarcie: dziś, te zaręczyny  
Do skutku przyjść nie mogą; są różne przyczyny...  
Nie pytaj więcej... Jeśli Zosia czekać raczy,  
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,  
Może stałością na jej wzajemność zarobię,  
Może troszeczką sławy me imię ozdobię,  
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice:  
Wtenczas, stryju, wspomnę ci twoje obietnice,  
Wtenczas, na klęczkach drogą powitam Zosienkę,  
I jeśli będzie wolną, poproszę o rękę.  
Teraz porzucam Litwę, może na czas długi,  
Może Zosi tymczasem podobać się drugi:  
Więzić jej woli nie chcę; prosić o wzajemność,  
Na którąm nie zasłużył, byłaby niekczemność.“

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,  
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody  
Perł, dwie łyzy na wielkich, błękitnych źrenicach,  
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębiny alkowy  
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy;  
Słyszała jak Tadeusz poprostu i śmiało  
Opowiedział swą miłość — serce w niej zadrżało —  
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.  
Choć dojść nie mogło wątku w jego tajemnicach:  
Dla czego ją pokochał? dla czego porzucą?  
Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.  
Pierwszy raz posłyszała w życiu ust młodziana

Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił  
 Dając na skarb milion; jak Księżę Radziwiłł  
 Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty  
 I dwa uzbroił nowe konne regimenty.  
 Jedź, jedź, a weź pieniądze: rąk tam dosyć mamy,  
 Ale grosza brak w Księżstwie; jedź Wasze, żegnamy.“

Telimena smutnymi rzuciwszy oczyma:  
 „Niestety, rzekła, widzę, że cię nic nie wstrzyma!  
 Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,  
 Obróć czule spojrzenie na kolor kochanki!  
 (Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła  
 Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła):  
 Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,  
 Na kopie błyszczące i deszcze siarczyste;  
 A kiedy się rozślawisz walecznymi czyny,  
 I gdy nieśmiertelnymi przesłonisz wawrzyny  
 Skrwawiony szyszak i hełm twój zwycięstwem hardy:  
 I wtenczas jeszcze oko zwróć do téj kokardy,  
 Wspomnij, czyja ten kolor przyszpiliła ręka!“  
 Tu mu podała rękę. Pan Hrabia przyklęka,  
 Całuje; Telimena zbliżyła do oka  
 Chustkę, a drugiem okiem pogląda z wysoka  
 Na Hrabie, który żegnał ją mocno wzruszony.  
 Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: „Mój Hrabio, spiesz się, bo już późno.“  
 A Ksiądz Robak „Dość tego!“ wołał z miną groźną,  
 „Spiesz się Wasze.“ Tak rozkaz Sędziego i Księdza  
 Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem Pan Tadeusz Stryja obejmował  
 Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował.  
 Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie  
 I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,  
 Spojrzał ku niebu i rzekł: „Synu! z Panem Bogiem!“  
 I zapłakał... A już był Tadeusz za progiem.  
 „Jako? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie  
 I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie  
 O niczem? przed odjazdem!...“ „Nie, rzekł Ksiądz, o niczem.

(Płacząc długo z zakrytém rękami obliczem).  
 I pocóżby miał wiedzieć biedny, że ma ojca,  
 Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabojca?  
 Bóg widzi jak pragnąłbym: ale z tój pociechy  
 Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.“

„Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,  
 Uważ, że człowiek w twoim wieku i chorobie  
 Nie zdołałby z innymi razem emigrować;  
 Mówiłeś, że wiesz domek, gdzie się masz przechować;  
 Powiedz gdzie? Spieszmy, czeka zaprzężona bryka.  
 Czy nie najlepij w puszcę, do chaty lesnika?“

Robak, kiwając głową, rzekł: „Do jutra rana  
 Mam czas. Teraz mój bracie, pošlij do Plebana,  
 Aby tu jak najrychlej przybył z wijatykiem;  
 Oddał stąd wszystkich, zostań tylko sam z Klucznikiem.  
 Zamknij drzwi.“

Sędzia spełnił Robaka rozkazy,  
 I usiada na łóżko przy nim; a Gerwazy  
 Stoi, łokieć przytwierdza na główni rapiera,  
 A czoło pochylone na dłoniach opiera.

Robak, nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze  
 Wzrok utkwil, i milczenie chował tajemnicze.  
 A jako chirurg naprzód miękką rękę składa  
 Na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada:  
 Tak Robak wyraz bystrych oczu swych zlągodził,  
 Długo nimi po oczach Gerwazego wodził,  
 Nakoniec, jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,  
 Zasłonił oczy ręką, i rzekł mocnym głosem:

„Jam jest Jacek Soplica...“

Klucznik na to słowo  
 Pobladał, pochylił się, i ciała połową  
 Wygięty naprzód, stanął, zwiśł na jednej nodze,  
 Jak glaz leący z góry zatrzymany w drodze.  
 Oczy roztwierał, usta szeroko rozszerzał,  
 Grożąc białymi zębami, a wąsy najeżał;

Rapier z rąk upuszczony, przy ziemi zatrzymał  
 Kolanami, i głównie prawą ręką imał  
 Cisnąć ją; rapier z tyłu za nim wyciągniony,  
 Długim, czarnym swym końcem, chwiał się w różne strony  
 I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,  
 Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu:  
 Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie  
 Wyiskrza, wasy rusza, i ogonem trzepie.

„Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mnie nie zatrwożą  
 Gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą.  
 Zaklinam cię na imię Tego, co świat zbawił  
 I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,  
 I przyjął prośbę Iotra: byś się udobruchał,  
 I to co mam powiedzieć cierpliwie wysłuchał.  
 Sam przyznałem się; muszę dla ulgi sumienia  
 Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia:  
 Posłuchaj mój spowiedzi; potem zrobisz sobie  
 Ze mną, co zechcesz.“ I tu złożył ręce obie  
 Jak do pacierza. Klucznik cofnął się zdumiony,  
 Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość  
 Opowiadać, i swoją z jego córką miłość,  
 I swe z tego powodu z Stolnikiem zatargi.  
 Lecz mówił nieporządnie, często mieszał skargi  
 I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,  
 Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Klucznik, dzieje Horeszków znający dokładnie,  
 Całą tę powieść, chociaż splątana beładnie,  
 Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;  
 Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.  
 Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,  
 A Jacek mówił coraz wolniejszymi słowy  
 I często zarywał się.

„Wszak sam wiesz, Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał  
 Często mnie na biesiady, zdrowie moje wnaszał,  
 Krzyczał nieraz do góry podniosłszy szklanicę,



Że niemiał przyjaciela nad Jacka Soplicę;  
 Jak on mnie ściszał! Wszyscy, którzy to widzieli,  
 Myśleli, że on ze mną duszą się podzieli...  
 On przyjaciel?... On wiedział, co się wtenczas działo  
 W duszy mojej!...

„Tymczasem już szeptała o tém okolica,  
 Jaki taki gadał mi: „Ej, Panie Soplica!  
 Daremnie konkurujesz: dygnitarskie progi  
 Za wysokie na Jacka Podczaszyca nogi.“  
 Ja śmiałem się, udając, że drwiłem z magnatów  
 I z córek ich, i nie dbam o arystokratów;  
 Że jeśli bywam u nich, z przyjaźni to robię,  
 A za żonę nie pojmę tylko równą sobie...  
 Przecież, bodły mi duszę do żywca te żarty:  
 Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty  
 W kraju, gdzie jako wiecie, szlachcic urodzony  
 Jest zarówno z panami kandydat korony!  
 Wszakże Tęczyński niegdyś z królewskiego domu  
 Żądał córy, a Król mu oddał ją bez sromu...  
 Sopliców czyż nie równe Tęczyńskim zaszczyty  
 Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitój?...

„Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim  
 W jednej chwili, a życiem nie naprawi długiem!...  
 Jedno słowo Stolnika: jakżebyśmy byli  
 Szczęśliwi!... Kto wie, może dotądbyśmy żyli;  
 Może i on przy swoim kochaném dziecięciu,  
 Przy swojej pięknej Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu,  
 Zestarzałby spokojny, może wnuki swoje  
 Kołysałby!... Teraz co?... Nas zgubił oboje,  
 I sam... i to zabójstwo... i wszystkie następstwa  
 Tej zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!...  
 Ja skarżyć niémam prawa: ja jego morderca:  
 Ja skarżyć niémam prawa: przebaczam mu z serca;  
 Ale i on...

„Żeby już raz otwarcie był mnie zrekurował!...  
 Bo znał nasze uczucia... Gdyby nie przyjmował  
 Mych odwiedzin: to kto wie? możebym odjechał,

Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał...  
 Ale on, chytrze dumny, wpadł na concept nowy:  
 Udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy,  
 Żebym ja mógł się starać o związek takowy!...  
 A byłem mu potrzebny: miałem zachowanie  
 U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.  
 Więc on niby miłości mojej nie dostrzegał,  
 Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał,  
 Abym częściej przyjeżdżał; a ilekroć sami  
 Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami  
 I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,  
 Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo  
 O procesach, sejmikach, łowach...

„Ach, nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,  
 Gdy mię tak ścisnął i o przyjaźni zapewniał,  
 Potrzebując méj szabli lub kréski na sejmie,  
 Gdy musiałem nawzajem ścisnąć go uprzejmie:  
 To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem  
 Ślinę w gębie, a dłonią rękojęść ścisnąłem,  
 Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać...  
 Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,  
 Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,  
 Patrzyła błagająca, lice jęj bledniało...  
 A był to taki piękny gołębek, łagodny!  
 I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!  
 Taki anielski! że już nie wiem, już nie miałem  
 Odwagi zagniewać jęj, zatrwożyć — milczałem...  
 I ja, zawadyaka sławny w Litwie całej,  
 Co przedemną największe pany niegdyś drżały,  
 Com nie żył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi,  
 Ale bym się pokrzywdzić nie dał i Królowi,  
 Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie sprzeczką!  
 Ja... wtenczas zły i pjany, milczał jak owieczka,  
 Jak gdybym Sanctissimum ujrzał!...

„Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,  
 I już się nawet przed nim do próśb upokorzyć!  
 Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia  
 Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia!...

Spieszyłem się znowu jak najzimniej dyskurować  
 O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować!!  
 Wszystko to prawda z pychy: żeby nie ubliżyć  
 Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć  
 Przed panem prośbą prózną, nie dostać odmowy...  
 Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,  
 Gdyby wiedziano, że ja, Jacek...

„Soplicy Horeszkowie odmówili dziewczę!  
 Że mnie Jackowi czarną podano polewkę!...

„W końcu, sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,  
 Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić  
 I opuścić na zawsze powiat i ojczyznę,  
 Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę  
 I zacząć wojnę... Jadę pożegnać Stolnika,  
 W nadziei, że gdy ujrzy wiernego stronnika,  
 Dawnego przyjaciela, prawie domownika,  
 Z którym pił i wojował przez tak długie lata,  
 Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata  
 Jadącego... że może starzec się poruszy  
 I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,  
 Jak ślimak rogów!...

„Ach, kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela •  
 Choćby iskierkę czucia: gdy się z nim rozdziela,  
 Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu!  
 Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!  
 Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,  
 Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

„Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobladła,  
 Bez przytomności, ledwie że trupem nie padła,  
 Nie mogła nic przemówić: aż się jój rzuciły  
 Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jój miły!...

„Pomnę, pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał  
 Z radości i z rozpaczcy, zapomniał się, szalał.  
 Już chciałem znowu upaść ojcu jój pod nogi,  
 Wię się jak wąż u kolan, wolać: Ojczy drogi,

Weź za syna lub zabij!... Wtém Stolnik posepny,  
 Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,  
 Wszczął dyskurs — o czém? o czém? o córki weselu!...  
 W téj chwili?... O Gerwazy! uważ przyjacielu,  
 Masz ludzkie serce!

Stolnik rzekł: „Panie Soplica,  
 Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica;  
 Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?  
 Wiész Wasze, że mam córkę piękną i bogatą:  
 A kasztelan witepski! Wszakże to w Senacie  
 Niskie, drażkowe krzesło. Cóż mi radzisz bracie?...“  
 Nie pamiętam już zgoda, co mu na to rzekłem,  
 Podobno nic — na konia wsiałem i uciekłem!...

„Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny  
 Wynajdujesz: cóż? one nie zmniejszą twój winy!  
 Bo wszakże zdarzało się już nieraz na świecie,  
 Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecię,  
 Starł się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,  
 Mścić się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać  
 Panu polskiemu, w Polsce i w znowie z Moskałem!...“

„Nie byłem w znowie!“ Jacek odpowiedział z żalem.  
 „Gwałtem porwać? wszak mógłbym; z za krat i z za klamek  
 Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!  
 Miałem za sobą Dobrzyn i cztery zaścianki.  
 Ach, gdyby ona była jak nasze szlachcianki  
 Silna i zdrowa! gdyby uciezki, pogoni  
 Nie zlekła się, i mogła słuchać szczęku bronii!...  
 Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili,  
 Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,  
 Wiosenna gąsienica! i tak ją zagrabić,  
 Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić:  
 Nie mogłem, nie!...“

Mścić się otwarcie? szturmem zamek zwalić w gruzy?  
 Wstyd!... bo by powiedziano, że mścił się rekuzy!...  
 Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie  
 Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie!!

„Szatan dumy zaczął mi lepsze plany raić:  
 Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,  
 Nie bywać w zamku, miłość z serca wykorzenić,  
 Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,  
 A potem... potem jaką wynaleźć zaczepkę,  
 Pomścić się...

„I zdało mi się zrazu, że już serce zmienił,  
 I rad byłem z wymysłu, i — jam się ożenił,  
 Z pierwszą, którą napotkał dziewczyną ubogą!...  
 Złem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!  
 Nie kochałem jej. Biedna matka Tadeusza,  
 Najprzywiązana do mnie, najpocziwsza dusza:  
 Ale jam dawną miłość i złość w sercu dusił.  
 Byłem jako szalony; darmom siebie musiał  
 Zająć się gospodarstwem albo interesem:  
 Wszystko napróżno! Zemsty opętany biesem,  
 Zły, opryskliwy, znaleźć nie mogłem pociechy  
 W niczym na świecie... i tak z grzechów w nowe grzechy,  
 Zacząłem pić.

„I tak niedługo żona ma z żalu umarła.  
 Zostawiwszy to dziecię; a mnie rospacz żarła!...

„Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,  
 Tyle lat!... gdzie ja nie był! a dotąd nie mogę  
 Jej zapomnieć, i zawsze jej postać kochana  
 Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!...  
 Piłem, nie mogłem zapisać pamięci na chwilę,  
 Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!  
 Teraz oto, w habicie, — jestem Bożym sługą,  
 Na łożu, we krwi — o niej mówiłem tak długo!...  
 W tej chwili, o tych rzeczach mówić?... Bóg wybaczy.  
 Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rospaczy  
 Popelnilem...

„Było to właśnie wkrótce po jej zaręczynach.  
 Wszędzie gadano tylko o jej zaręczynach;  
 Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę  
 Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,



Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha;  
 Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha...  
 Ale Stolnik, jak zawsze spokojny, wesoly,  
 Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioly.  
 Mnie już nie prosił: na cóż byłem mu potrzebny?  
 Mój bezład w domu, bięda, mój nałóg haniebnny,  
 Podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!  
 Mnie, com niegdyś, rzecz mogę, trząsł całym powiatem,  
 Mnie, którego Radziwiłł nazywał: kochanku!  
 Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,  
 To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!  
 Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy  
 Szabel błyszczowało wkoło, strasząc zamki pańskie!...  
 A potem ze mnie śmiały się dzieci włościańskie!  
 Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!  
 Jacek Soplica!... Kto zna co jest czucie pychy?...“

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łożę;  
 A Klucznik rzekł wzruszony: „Wielkie sądy Boże!  
 Prawda! prawda! Więc to ty? i tyżes to Jacku  
 Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku?  
 Ty, którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,  
 Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiali pany,  
 Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!  
 Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!  
 Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,  
 Kiedys tak do niedźwiedzia trafił doskonale?  
 Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza;  
 Byles także po Maćku pierwszy do pałasza!  
 Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:  
*Oto Jacek wąs kręsi, trzęsą się zaścianki,  
 A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,  
 Ten zadrzy, choćby to był sam Radziwiłł Książę.*  
 Zawiązales ty węzeł i mojemu panu!  
 Nieszczęśniku! I tyżes? do takiego stanu?  
 Jacek Wąsal kwestarzem? Wielkie sądy Boże!...  
 I teraz, ha! bezkarnie ujsć tobie nie może...  
 Przysięgłem: kto Horeszków krwi kroplę wysączył...“

[ Tymczasem Książdz na łożu usiadł i tak kończył:

„Jeździłem koło zamku. Ile biesów w głowie  
I w sercu miałem: kto ich imiona wypowie!  
Stolnik zabija dziecię własne! mnie już zabił,  
Zniszczył!... Jadę pod bramę: szatan mnie tam wabił.  
Patrz, jak on hula! codzień w zamku pijatyka,  
Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!  
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie?...

„Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.  
Ledwie pomyślał: szatan nasyła Moskali.  
Stałem patrząc. Wiész, jak wasz zamek szturmowali.

„Bo fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami znowie...

„Patrzyłem. Różne myśli snuły się po głowie.  
Z razu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko,  
Patrzyłem; potem radość uczulem zbójceją,  
Czekając rychło zacznie palić się i walić;  
Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,  
Nawet Stolnika...

„Broniliście się, ty wiész, dzielnie i przytomnie.  
Zdziwiłem się. Moskale padali wkoło mnie.  
Bydłęta, źle strzelają! Na widok ich klęski  
Złość mię znowu porwała... Ten Stolnik zwycięski!  
I tak że mu na świecie wszystko się powodzi?  
I z téj strasznej napaści z tryumfem wychodzi?  
Odjeżdżałem ze wstydem. Właśnie był poranek.  
Wtém, ujrzałem, poznałem: wystąpił na ganek,  
I brylantową spinką ku słońcu migotał,  
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał...  
I zdało mi się, że mnie szczególnie urągał,  
Że mnie poznał, i ku mnie rękę *tak* wyciągał,  
Szydząc i grożąc... Chwytam karabin Moskala;  
Ledwie przyłożył, prawie nie mierzył — wypala!...  
Wiész!...

„Przeklęta broń ognista!... Kto mieczem zabija,  
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,  
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;

Ale ta broń ognista... dosyć zamek imać,  
Chwila, jedna iskierka...

„Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?...  
Utkwiłem oczy we dwie twojej broni rury;  
Rospacz jakaś, żal dziwny do ziemi mnie przybił!  
Czemuż, ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?...  
Łaskębyś zrobił! Widać za pokutę grzechu  
Trzeba było...“

Tu znowu brakło mu oddechu.

„Bóg widzi, rzecze Klucznik, szczerze trafić chciałem!  
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,  
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,  
I wszystko to przez Waszą, Panie Jacku, winę!  
A wszakże, gdy dziś jegry Hrabie na cel wzięli,  
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli,  
Tyś go zasłonił, i gdy Moskał do mnie palił,  
Tyś mnie rzucił o ziemię: tak nas dwóch ocalił...  
Jeśli prawda, że jesteś księdzem zakonnikiem:  
Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.  
Bądź zdrow, więcej na waszym nie postanę progu,  
Z nami kwita — zostawmy resztę Panu Bogu“.

Jacek rękę wyciągnął, — cofnął się Gerwazy:  
„Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obraży  
Dotykać rękę, takiem morderstwem skrwawioną  
Z prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono!“

Ale Jacek z poduszek na łoże upadłszy,  
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bledszy,  
I niespokojnie pytał o księdza Plebana,  
I wołał na Klucznika: „Zaklinam Waćpana,  
Abyś został; wnet skończę, ledwie mam dość mocy  
Zakończyć... Panie Klucznik, ja umrę tej nocy!...“

„Co bracie? krzyknął Sędzia; widziałem, wszak rana  
Niewielka. Co ty mówisz: po księdza Plebana?  
Może źle opatrzone... zaraz po doktora!  
W apteczce jest...“ Ksiądz przerwał: „Bracie, już nie pora!  
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,

- Zle zgojony, a teraz draśniono: gangrena  
Już tu... znam się na ranach; patrz, jaka krew czarna  
Jak sadza. Co tu doktor?... ale to rzecz marna.  
Raz umieramy: jutro czy dziś oddam duszę...  
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!

„Jest w tém zasługa nie chcieć zostać winowajcą  
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!  
Zwłaszcza, w kim taka, jaka była we mnie duma!...

„Imię zdrajcy przyłgnęło do mnie jako dzuma.  
Odwracali odemnie twarz obywatele,  
Uciekali odemnie dawni przyjaciele;  
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił:  
Nawet lada chłop, lada Żyd, choć się pokłonił,  
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem.  
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem  
W domu, w polu. Ten wyraz od rana do zmroku  
Wił się przedemną, jako plama w chorém oku...  
Przecież nie byłem zdrajcą kraju.

„Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika.  
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka,  
Targowiczanie potem chcieli mnie zaszczyścić  
Urzędem... Gdybym wtenczas chciał się przemoskwicić!...  
Szatan radził... Już byłem możny i bogaty:  
Gdybym został Moskąm, napiérwsze magnaty  
Szukałyby mych względów, nawet szlachta braty,  
Nawet gmin, który swoim tak łącznie uwłacza,  
Tym, którzy Moskwie służą, szczęśliwszym — przebacza!...  
*Nasi republikanie głowy nie uniżą*  
*Przed swoim, a obcemu proch ze stóp obliżą.\**  
Wiedziałem to, a przecież — nie mogłem...

„Uciekłem z kraju!...  
Gdziem nie był! com nie cierpiał?...

„Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić:  
Poprawić się potrzeba było, i naprawić  
Ile możliwości to...

\* Tych dwóch wierszy w pierwotnych wydaniach niema. (P. W.)

„Córka Stolnika, ze swym mężem Wojewodą,  
Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo;  
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię.  
Kazałem ją hodować...

„Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy  
Zabiłem: więc pokora... wszedłem między mnichy.  
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,  
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem,  
Że jako robak w prochu...

„Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady  
Trzeba było okupić dobrymi przykłady,  
Krwia, poświęceniem się...

„Biłem się za kraj, gdzie? jak? zmilczę. Nie dla chwały  
Ziemskiej, biegłem tylekroć na miecze, na strzały...  
Milój sobie wspominam, nie dzieła waleczne  
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne,  
I cierpienia, których nikt...

„Udało mi się nieraz do kraju przedzierać,  
Rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,  
Układać zmywy... Znają i Galicyanie  
Ten kaptur mnisi, znają i Wielkopolanie!  
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy;  
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,  
Raz już wiedli na Sybir; potem Austriacy,  
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,  
W carcer durum... a Pan Bóg wybawił mnie cudem,  
I pozwolił umierać między swoim ludem,  
Z Sakramentami...

„Może i teraz... kto wie? mozem znowu zgrzeszył!  
Możem nad rozkaz wodzów powstanie przyspieszył...  
Ta myśl, że dom Sopliców piérwszy się uzbroi,  
Że piérwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi!...  
Ta myśl... zdaje się czysta...

„Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary  
Bożej; twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary:



Tyś wątek spisku tyle lat snowany splątał!...  
 Cel wielki, który całe życie me zaprzął,  
 Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,  
 Którym tulił, hodował jak najmilsze dziecię,  
 Tyś zabił w oczach ojca — a jam ci przebaczył!  
 Ty!...“

„Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył!“  
 Przerwał Klucznik. „Jeżeli masz przyjąć wijatyk,  
 Księżę Jacku: toć ja nie luter, nie syzmatyk;  
 Kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy.  
 Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.  
 Kiedy nieboszyk pan mój upadał zraniony,  
 A jam klęcząc nad jego piersią pochylony,  
 I miecz maczając w ranę, zemstę zaprzysiągnął:  
 Pan głową wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął  
 W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;  
 Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył...  
 Ja też pojąłem: ale tak się z gniewu wściekłem,  
 Że o tym krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem“.

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,  
 I nastąpiła długa godzina milczenia.  
 Oczekują Plebana. Podkowy zagrzmiały,  
 Zastukał do komnaty arcydarz zdyszały:  
 List ma ważny, samemu Jackowi pokaże.  
 Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.  
 List od Fiszera, który był natenczas Szefem  
 Sztabu armii Polskiej pod Księciem Józefem.  
 Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie  
 Stała wojna; Cesarz już po całym świecie  
 Ogłasza ją; sejm walny w Warszawie zwołany,  
 I skonfederowane mazowieckie Stany  
 Wyrzekną uroczyście przyłączenie Litwy.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,  
 Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,  
 Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice,  
 I zalał się ostatnich łez rokosznych zdrojem:  
 „Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść z pokojem!“

Wszyscy uklękli; a wtém ozwał się po progiem  
Dzwonek: znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem.

Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczne,  
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne;  
Wpadły przez szyby, jako strzały brylantowe,  
Odbiły się na łożu o chorego głowę,  
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,  
Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.

---

## KSIĘGA XI.

ROK 1812.

Wróżby wiosenne. — Wkroczenie wojsk. — Nabożeństwo. — Rehabilitacya urzędowa ś. p. Jacka Soplidy. — Z rozmów Gerwazego i Protazego wnosić można bliżki koniec procesu. — Umizgi ułana z dziewczyną. — Rozstrzyga się spór o Kusego i Sokoła. — Zaczem goście zgromadzają się na biesiadę. — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju?  
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,  
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy  
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.  
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem  
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;  
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem  
Jakieś dziwne przecucie, jak przed świata końcem,  
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,  
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,  
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,  
Lecz kładło się na rolę, i schyliwszy głowy,  
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,  
Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiej,  
Nie śpiwają piosenek: pracują leniwo,  
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.

Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie,  
I poglądały z trwogą ku zachodniej stronie,  
Jakby z téj strony miał się objawić cud jaki,  
I uważają z trwogą wracające ptaki.

Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny,  
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;  
A za nim, krzykliwymi nadciągnawszy pułki,  
Gromadziły się ponad wodami jaskółki,  
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.  
W wieczór słyhać w zaroślach szept ciągnącej słomki,  
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem,  
I znużone na popas spadają z hałasem,  
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żurawie.  
Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,  
Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,  
Jaka burza te ptaki tak wczesnie wygania?

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek  
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek  
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:  
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!  
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,  
Płyną drogami kute żelazem szeregi;  
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów blyska,  
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że wonczas z wyraju  
Za ptastwem, i lud ruszył do naszego kraju,  
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą  
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie luno,  
Ziemia drży, słyhać biją stronami pioruny...

Wojna! wojna!... nie było w Litwie kąta ziemi,  
Gdzieby jój huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi  
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice  
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,  
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków  
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,

Gości innych nie widział oprócz spółleśników:  
 Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,  
 W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,  
 Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,  
 Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,  
 Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,  
 Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,  
 I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera  
 Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:  
 Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,  
 Pękł z hukiem jakby piorun; żubr, pierwszy raz w życiu  
 Zląkł się i uciekł w głębszym schować się ukryciu.

Bitwał... Gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,  
 Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;  
 Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:  
 Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,  
 Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!  
 O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca  
 Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,  
 Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
 Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!...  
 Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
 Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,  
 Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:  
 Nasz Książę Józef i Król westfalski Hieronim.  
 Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim:  
 Gdy Król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia  
 Ale polscy żołnierze, mimo utrudzenia,  
 Skarżyli się, że Król im marszu nie dozwala;  
 Tak radziby co prędzej doścignąć Moskala.

W mieście pobliskim stanął główny sztab książęcy,  
 A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy,



I ze sztabami swymi Jenerał Dąbrowski,  
Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojé i Grabowski.

Póžno było gdy weszli: więc każdy gdzie może,  
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze.  
Skoro dano rozkazy, rozstawiono czaty,  
Każdy strudzony poszedł spać do swój komnaty,  
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;  
Widać tylko, jak cienie, błędzące patrole,  
I gdzieniegdzie błyskania ognisk obozowych,  
Słychać kolejne hasło stanowisk wojskowych.

Spali: gospodarz domu, wodze i żołnierze;  
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze.  
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,  
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wslawić:  
Biesiadę, godną miłych sercom polskim gości,  
I odpowiednią wielkiej dnia uroczystości,  
Co jest świętem kościelném i świętem rodziny:  
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.  
Zaś jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,  
Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,  
Wojski zebrał co prędzej z sąsiedztwa kucharzy:  
Pięciu ich było; służą, on sam gospodarzy.  
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,  
Wdział szlafmycę a ręce do łokciów zakasał,  
W ręku ma plackę muszą, owad ladajaki  
Opędza, wpadający chciwie na przysmaki;  
Drugą ręką przetarte okulary włożył,  
Dobyl z zanadrza księgę, odwiął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: *Kucharz doskonały*.  
W niej spisane dokładnie wszystkie specyały  
Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczynie  
Dawał owe biesiady, we włoskiej krainie,  
Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił;  
Podług niej późniój Karol-Kochanku-Radziwiłł,  
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,

Sprawił pamiętną owę ucztę, której sława  
Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,  
To natychmiast kucharze robią umiejętni.  
Wre robota; pięćdziesiąt nożów w stoly tętni,  
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:  
Ci niosą drwa, ci z mlékciem i z winem sagany;  
Leją w kotły, skowrody, w rądle. Dym wybucha;  
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,  
Wojski, ażeby ogień tém łatwiej rozpałać,  
Rozkazał stopionego masła na drwa nalać.  
(Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu).  
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu;  
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie  
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;  
Ci skubią stopy ptastwa, lecą puchów chmury,  
Obnażają się głuszcze, cietrzewie i kury.  
Lecz kur nie wiele było: od owój wyprawy,  
Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy  
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo  
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:  
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo  
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.  
Zresztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,  
Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,  
I z lasów i z sąsiedztwa, zbliska i zdaleka:  
Rzekłbyś, ptasiego tylko nie dostaje mleka.  
Dwie rzeczy, których hojny pan do uczyty szuka,  
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wchodził uroczysty dzień *Najświętszej Panny  
Kwietnej*. Pogoda była prześliczna, czas ranny,  
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,  
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;  
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna  
Przez fale: z boku chmura biała, sama jedna,  
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,  
Podobne do nikonących piór Anioła Stróża,  
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany  
Spóźnił się, spieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie  
 Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.  
 Prawą skronią złożone na węzłowiui cieni  
 Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;  
 A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,  
 Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,  
 Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął,  
 Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,  
 I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.  
 Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,  
 Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,  
 A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,  
 Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,  
 Siednią barw błyszczy razem: szafirowe razem,  
 Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;  
 Aż rozłśniło się jako kryształ przezroczyste,  
 Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,  
 Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:  
 Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo litewskie z całej okolicy  
 Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy,  
 Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.  
 Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu,  
 A w części z ciekawości: bo dziś w Soplicowie  
 Na nabożeństwie mają być Jenerałowie,  
 Sławni dowódcy owi naszych legionów,  
 Których lud znał imiona i czcil jak patronów,  
 Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy  
 Były ewangelią narodową Litwy.

Już przyszło oficerów kilku, tłum żołnierzy;  
 Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,  
 Oglądając rodaków mundury noszących,  
 Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka  
 Całego zgromadzenia: lud na trawie klęka;  
 Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.  
 Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,

Pozlacał się jako lan dojrzałego żyta;  
 Gdzieniedzie kraśna główka dziewczica wykwita,  
 Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,  
 I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,  
 Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.  
 Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,  
 A na głos dzwonka niby na wiatru powianie,  
 Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela  
 Niosą piérwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;  
 Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki,  
 Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.  
 Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,  
 Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,  
 I rozlewa jak w mszalnej kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,  
 Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu  
 Podkomorzy, niedawno przez powiatu Stany  
 Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.  
 Miał mundur województwa: żupan złotem szyty,  
 Kontusz grodeturowy z frendzlą i pas lity,  
 Przy którym karabela z głównią jaszczurową;  
 Na szyi świecił wielką szpilką brylantową;  
 Konfederatka biała, a na niej pęk gruby  
 Drogich piórek, były to białych czapel czuby.  
 (Na fest kładzie się tylko kitka tak bogata,  
 Której każde pióreczko kosztuje dukata).  
 Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,  
 Wieśniacy i żołnierstwo ścisnęło się kołem,  
 On rzekł:

„Bracia! ogłosił wam ksiądz na ambonie  
 Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,  
 A teraz Litewskiemu Księstwu, Polsce całej  
 Przywraca; słyszeliście rządowe uchwały  
 I zwołujące Walny Sejm uniwersały.  
 Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,  
 W rzeczy, która się tyczy Sopiców rodziny,  
 Tutéjszych panów.

„Cała pomni okolica,  
 Co tu zbroił nieboszczyk — Jan Jacek Sopllica;  
 Ale kiedy o grzechach jego wszyscy wiecie,  
 Czas i zasługi jego ogłosić na świecie.  
 Obecni tu są naszych wojsk Jenerałowie,  
 Od których usłyszałem wszystko, co wam mówię.  
 Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,  
 Tylko odmienił życie dawne, stan i imię,  
 A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyźnie winy  
 Zgładził przez żywot święty i przez wielkie czyny.

„On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans Jenerał  
 Napół pobity już się do odwrotu zbierał,  
 Nie wiedząc, że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczce,  
 On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy  
 Przeniósł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,  
 Donoszące, że nasi biorą tył wrogowi.  
 On potém w Hiszpanii, gdy nasze ułany  
 Zdobyły Somosierry grzbiet oszańcowany,  
 Obok Koziętulskiego był ranny dwa razy.  
 Następnie, jak wysłaniec, z tajnymi rozkazy  
 Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,  
 Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;  
 Nakoniec, w Sopllicowie, w swém ojczystém gnieździe,  
 Gdy gotował powstanie, zginął na zajeździe.  
 Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość  
 Do Warszawy, w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość  
 Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie  
 Legii honorowej znaki kawalerskie.

„Owóż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,  
 Ja, Reprezentujący Województwa władzę,  
 Moją konfederacką ogłaszam wam laską:  
 Że Jacek wierną służbą i Cesarską laską  
 Zniósł infamii plamę, powraca do cześci,  
 I znowu się w rząd prawych patriotów mieści.  
 Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie  
 Wspomnieć kiedy o dawnéj, zagładzonej winie,  
 Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,  
*Gravis notae maculae*, wedle słów Statutu



Karzących tak militem jak i skartabella,  
 Coby siał infamią na obywatela;  
 A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci  
 Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.  
 Ten wyrok Marszałkowski pan Pisarz umieści  
 W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

„Co się tyczy legii honorowej krzyża:  
 Że późno przyszedł, nic to sławie nie ubliża;  
 Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,  
 Niech służy ku pamiętce: wiem go na grobie.  
 Trzy dni tu będzie wisiał, potem do kaplicy  
 Złoży się, jako wotum dla Boga Rodzicy“.

To powiedziawszy, order wydobyl z pokrowca,  
 I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca  
 Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną,  
 I krzyż biały gwiazdzisty ze złotą koroną.  
 Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,  
 Jako ostatni odbłysek ziemskiej Jacka chwały.  
 Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mowi,  
 Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi;  
 Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,  
 Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce,  
 Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce.  
 Patrzą w sad, gdzie wśród pączków barwistego maku  
 Stał ułan, jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku  
 Strojnym blachą złocistą i piórem koguta;  
 Przy nim dziewczę w zielonej sukience jak ruta  
 Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki  
 Ku oczom chłopca; dalej panny rwały kwiatki  
 Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy  
 Od kochanków, żeby im nie mieszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką z kory  
 Częstując się nawzajem, toczą rozhowory:

„Tak, tak, mój Protazeńku“, rzekł Klucznik Gerwazy.  
 „Tak, tak, mój Gerwazeńku“, rzekł Woźny Protazy.

„Tak to, tak!“ powtórzyli zgodnie kilka razy,  
 Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:  
 „Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę.  
 Wszakże były przykłady: pamiętam procesy,  
 W których się działy gorsze niż u nas ekscesy,  
 A intercyza cały zakończyła kłopot:  
 Tak z Borzobohatymi pogodził się Łopot,  
 Krepsztulowie z Kupściami, Putrament z Pikturną  
 Z Odyńcami Mackiewicz, z Kwileckimi Turno.  
 Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki  
 Z Litwą, gorsze niżeli z Sopicą Horeszki:  
 A gdy na rozum wzięła Królowa Jadwiga,  
 To się bez sądów owa skończyła intryga.  
 Dobrze, gdy strony mają panny, albo wdowy  
 Na wydaniu: to zawsze kompromis gotowy.  
 Najdłuższy proces zwykle bywa z duchowieństwem  
 Katolickim, albo też z bliskim pokrewieństwem:  
 Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.  
 Stąd to Lachy z Rusami w sporach nieskończonych,  
 Idąc z Lecha i Rusa, dwu braci rodzonych;  
 Stąd się tyle procesów litewskich ciągnęło  
 Długo z księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagiello;  
 Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami  
 Sławny ów proces Rymszów z Dominikanami,  
 Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny ksiądz Dymsza,  
 Stąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż pan Rymsza;  
 Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka...“  
 To mówiąc, półgarncówką przepił do Klucznika.

„Prawda! prawda!“ rzekł na to Gerwazy wzruszony.  
 „Dziwniec to były losy tej naszój Korony  
 I naszój Litwy! Wszak to jak małżonków dwoje!  
 Bóg złączył, a czart dzieli; Bóg swoje, czart swoje!  
 Ach, bracie Protazeńku! że to oczy nasze  
 Widzą! że znowu do nas ci Koroniasze  
 Zawitali! Służyłem ja z nimi przed laty;  
 Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!  
 Gdyby nieboszczyk pan mój Stolnik dożył chwili!...  
 O Jacku! Jacku!... lecz cóż będziemy kwilili?

Skoro dziś znowu Litwa łączy się z Koroną,  
Toć tém samém już wszystko zgodzono, zgładzono“.

„I to dziw“, rzekł Protazy, „że o tój to Zosi,  
O której rękę teraz nasz Tadeusz prosi,  
Było przed rokiem omen, jakoby znak z nieba!“  
„Panną Zofią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba;  
Bo już dorosła, nie jest dziewczynką maluczką,  
Przytém z krwi dygnitarskiej, jest Stolnika wnuczką“.  
„Owóz, kończył Protazy, był to znak proroczy  
O jój losie; widziałem znak na własne oczy.  
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza,  
Pijąc miód; alić patrzym: pęc, pada z poddasza  
Dwóch wróblów bijących się; oba samcy stare:  
Jeden młodszy cokolwiek miał podgardle szare,  
Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,  
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu.  
My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi:  
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi  
Soplica; więc ilekroć szary był na górze,  
Krzyczą: Wiwat Soplica! pfe Horeszki tchórze  
A gdy spadał, wolali: Popraw się Soplica!  
Nie daj się magnatowi, to wstyd na szlachcica!  
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;  
Wtém Zosienka, nad ptastwem litością wzruszona,  
Podbiegła i nakryła rączką te rycerze;  
Jeszcze się w rękę bili, aż leciało pierze,  
Taka była zawziętość w tém małeńkiem lichu.  
Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,  
Że pewnie przeznaczeniem będzie tój dziewczyny  
Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.  
A widzę, że się dzisiaj ziścił omen babi,  
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi,  
Nie zaś o Tadeuszu...“

Na to Klucznik rzecze:

„Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko docieczel  
Ja téż powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną  
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.  
Wiész, iż dawniej radbym był Sopliców rodzinę  
W łyżce wody utopić; a tego chłopczynę,

Tadeusza, od dziecka niezmiernie polubił!  
 Uważałem, że gdy się z chłopiętami czubił,  
 Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,  
 Jam go zawsze do trudnych imprezów podzegał.  
 Wszystko mu się udało: czy wydrzczyć gołębie  
 Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,  
 Czyli z najwyższej sosny złupić wronie gniazdo:  
 Wszystko umiał; myślałem: pod szczęśliwą gwiazdą  
 Urodził się ten chłopiec, szkoda, że Soplica!  
 Któżby zgadł, że w nim zamku powitani dziedzica,  
 Męża Panny Zofii, méj Wielmożnej Pani!...“

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,  
 Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy:  
 „Tak, tak, Panie Gerwazy, — tak Panie Protazy“.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały  
 Otworem i dym jako z pożaru buchały;  
 Aż z kłębów dymu, niby biała gołębica,  
 Mignęła świecąca się kuchmistrza szlafmyca:  
 Wojski przez okno kuchni, ponad starców głowy,  
 Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,  
 I podał im nareszcie filizanki spodek  
 Pelen biszkoktów, mówiąc: „Zakaście wasz miodek.  
 A ja wam téż opowiem historią ciekawą  
 Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,  
 Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów,  
 Rejtan wyplatał sztukę księżęciu Denasów.  
 Téj sztuki omal własném nie przypłacił zdrowiem:  
 Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem“...  
 Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,  
 Pytając: komu serwis ustawiać rozkaże?

Wojski odszedł, a starcy zaczerpnąwszy miodu,  
 Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,  
 Gdzie ów dorodny ułan rozmawiał z panienką.  
 Właśnie ułan ująwszy jéj dłoń lewą ręką  
 (Prawą miał na temlaku, widać, że był ranny),  
 Z takimi odezwał się słowami do panny:  
 „Zofio, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,  
 Nim zamienim pierścionki, muszę o tém wiedzieć,

I cóż, że przeszłej zimy byłaś już gotowa  
 Dać słowo mnie? Ja wtenczas nie przyjąłem słowa:  
 Bo i cóż mnie po takim wymuszonym słowie?  
 Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie;  
 Nie byłem taki próżny ażebym się łudził,  
 Żem jedném mém spojrzeniem miłość w tobie wzbudził.  
 Ja nie fanfaron: chciałem mą własną zasługą  
 Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.  
 Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć...  
 Czémże na tyle łaski umiałem zasłużyć?  
 Może mnie bierzesz Zosiu nie tak z przywiązania,  
 Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania?  
 Ale małżeństwo, Zosiu, jest rzecz wielkiej wagi!  
 Radź się serca własnego; niczyjój powagi  
 Tu nie słuchaj, ni stryja gróźb, ni namów cioci;  
 Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,  
 Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać;  
 Więzi twój woli nie chcę; będziem Zosiu czekać.  
 Nic nas nie nagli, zwłaszcza że wczora wieczorem  
 Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem  
 W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę...  
 I cóż kochana Zosiu?

Na to Zosia rzecze,

Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:  
 „Nie pamiętam już dobrze, co się dawniej działo;  
 Wiem, że wszyscy mówili, iż za mąż iść trzeba  
 Za pana: ja się zawsze zgadzam z wolą Nieba  
 I z wolą starszych...“ Potém, spuściwszy oczęta,  
 Dodała: „Przed odjazdem, jeśli pan pamięta,  
 Kiedy umarł ksiądz Robak, w owę burzę nocną,  
 Widziałam, że pan jadąc żałował nas mocno;  
 Pan łzy miał w oczach... Te łzy, powiem panu szczerze,  
 Wpadły mi aż do serca; odtąd panu wierzę,  
 Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze  
 Za pana powodzenie, zawsze przed oczami  
 Stał pan, z tymi dużymi, błyszczącymi łzami...  
 Potém Podkomorzyna do Wilna jeździła,  
 Wzięła mnie tam na zimę; alem ja tęskniła  
 Do Soplicowa i do tego pokoiku,  
 Gdzie mnie pan naprzd w wieczór spotkał przy stoliku,



Potém pożegnał... Nie wiem, skąd pamiątka pana,  
 Coś niby jak rozsada w jesieni zasiana,  
 Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła,  
 Że, jako mówię panu, ustawniem tęskniła  
 Do tego pokoiku, i coś mi szeptalo,  
 Że tam znów pana znajdę — i tak się téż stało.  
 Mając to w głowie, często téż miałam na ustach  
 Imię pana... było to w Wilnie na zapustach;  
 Panny mówiły, że ja jestem zakochana:  
 Jużci jeżeli kocham, to już chyba pana“.  
 Tadeusz rad z takiego miłości dowodu,  
 Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu  
 Do pokoju damskiego, do owój komnaty,  
 Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięciu laty.

Teraz bawił tam Rejent cudnie wystrojony,  
 I usługiwał damie swojej narzeczonej,  
 Biegając i podając sygnety, łańcuszki,  
 Stoiki i flaszeczki i proszki i muszki;  
 Wesół, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.  
 Panna młoda kończyła robić gotowalnię:  
 Siedziała przed zwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;  
 Pokojowe zaś, jedno z żelazkami w rękę  
 Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,  
 Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną;  
 Kuchcik stuknął doń w okno: kota spostrzeżono!  
 Kot, wykradłszy się z łoży, prześmignął po łące  
 I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące;  
 Tam siedzi: wystraszyć go łącno z rozsadniku  
 I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku.  
 Bieży Asesor, ciągnąc za obróż Sokoła;  
 Pospiesza za nim Rejent i Kusego woła.  
 Wojski obu z chartami przy płocie ustawił,  
 A sam się z placką muszą do sadu wyprawił.  
 Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza trwoży;  
 Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,  
 Ukazują palcami skąd zająć wyruszy,  
 Cmokają zcicha; charty nadstawiły uszy,  
 Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie,

Jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie.  
 Wtém Wojski krzyknął: „Wyczha!“ Zajac smyk z za płotu  
 Na łąkę; charty za nim; i wnet bez obrotu,  
 Sokół i Kusy razem spadli na szaraka  
 Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,  
 I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.  
 Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecko,  
 Żałośnie! Biegą szczwacze: już leży bez ducha,  
 A charty mu sierć białą targają z pod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem  
 Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,  
 Oderznął skoki i rzekł: „Dziś równą odprawę  
 Wezmą pieski, bo równą pozyskały sławę,  
 Równa ich była ręczość, równa była praca;  
 Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,  
 Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty.  
 Otóż skończony spór wasz długi i zażarty;  
 Ja, któregocście sędzią zakładu obrali,  
 Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali,  
 Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,  
 A wy podpiszcie zgodę“. Na starca wezwanie,  
 Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice  
 I długo rozdzielone złączyli prawice.

Wtém rzekł Rejent: Stawiłem niegdyś konia z rzędem,  
 Opisałem się także przed ziemskim urzędem,  
 Iż pierścień mój sędziemu w salarium złożę:  
 Fant postawiony w zakład wracać się nie może.  
 Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przymie,  
 I każe na nim wyryć albo swoje imię,  
 Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;  
 Krwawnik jest gładki, złoto jedynastój proby.  
 Konia teraz ułani pod jazdę zabrali,  
 Rzęd został przy mnie; każdy znawca ten rząd chwali,  
 Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:  
 Kulbaczka wąska, modą z turecka kozacką,  
 Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,  
 Poduszczecka z rubrontu wyściela siedzenie;  
 A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszkę  
 Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;

A gdy w galop puścisz się — (tu Rejent Bolesta,  
 Który, jako wiadomo, bardzo lubił gesta,  
 Rozstawił nogi jakby na konia wskakiwał,  
 Potém galop udając powoli się kiwał) —  
 A gdy w galop puścisz się, natenczas z czapraka  
 Blask bije, jakby złoto kapalo z rumaka,  
 Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane,  
 I szerokie strzemiona srebrne, pozłacane;  
 Na rzemieniach munsztuka i na uździenicy  
 Połyskują guziki perłowej macicy,  
 U napierśnika wisi księżyc w kształt Leliwy,  
 To jest w kształt nowiu... Cały ten sprzęt osobliwy,  
 Zdobyty (jak wieść niesie) w boju podhajeckim  
 Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,  
 Przyjm, Asesorze, w dowód mojego szacunku“.

A na to rzekł Asesor, wesół z podarunku:  
 „Ja niegdyś darowane od księcia Sanguszki  
 Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,  
 Jaszczurem wykładane, z kolcami ze złota,  
 I utkaną z jedwabiu smycz, której robota  
 Równie droga jak kamień, co się na niej świeci.  
 Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci...  
 Dzieci pewnie mieć będą: wiész, że się dziś żenię;  
 Ale ten sprzęt, Rejencie, proszę unieźenie,  
 Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rząd bogaty  
 I na pamiątkę sporu, co długimi laty  
 Toczył się i nareszcie zakończył zaszczytnie  
 Dla nas obu. Niech zgoda między nami kwitnie“.  
 Więc wracali do domu oznajmić za stołem,  
 Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu  
 Wyhodował, i w ogród puścił pokryjomu,  
 Ażeby szczerwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.  
 Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,  
 Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.  
 Kuchcik w lat kilka później szepnął o tém słowo,  
 Chcąc Asesora skłócić z Rejentem na nowo;  
 Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył:  
 Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nie uwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,  
 Czekając uczyty, w koło stołu rozmawiali,  
 Gdy Pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi,  
 I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.  
 Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,  
 Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy;  
 Zofia z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,  
 Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem  
 (Od Telimeny pięknie dygać wyuczona).  
 Miała wianek na głowie jako narzeczona,  
 Zresztą ubiór ten samy, w jakim dziś w kaplicy  
 Składała snop wiosenny dla Boga-Rodzicy.  
 Uzęła znów dla gości nowy snopek ziela;  
 Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,  
 Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie.  
 Brali ziółka, całując jęj ręce, wodzowie;  
 Zosia znowu dygała w kolój, zapłoniona.

Wtém Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,  
 I złożywszy ojcowski całus na jęj czole,  
 Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole,  
 A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali: Brawo!  
 Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,  
 A szczególnie jęj strojem litewskim, prostaczym:  
 Bo dla tych wodzów, którzy w swém życiu tułaczem  
 Tak długo blakali się w obcych stronach świata,  
 Dziwne miała powaby narodowa szata,  
 Która im wspominała i młode ich lata  
 I dawne ich miłostki. Więc ze łzami prawie  
 Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.  
 Ci proszą, aby Zosia wzniosła nieco czoło  
 I oczy pokazała; ci, ażeby wkoło  
 Raczyła się obrócić; dziewczyna wstydliva  
 Obraca się, lecz oczy rękami zakrywa.  
 Tadeusz patrzył wesół i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,  
 Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie  
 Zawsze instynktem, co jęj do twarzy przypadnie);  
 Dosyć, że Zosia piérwszy raz w życiu dziś z rana

Była od Telimeny za upór łajana,  
 Nie chcąc modnego stroju, aż wymogła placzem,  
 Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczem.

Spódniczkę miała długą, białą; suknię krótką  
 Z zielonego kamlotu z różową obwódką;  
 Gorset także zielony, różowymi wstęgi  
 Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;  
 Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.  
 Od ramion świecą białe rękawy koszuli,  
 Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,  
 U dłoni skarbowane i wstążką opięte.  
 Szyja także koszulką obciśniona wąską,  
 Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiązką;  
 Zauszniczki wyrzniete sztucznie z pestek wiszni,  
 Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni.  
 (Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem,  
 Dane dla Zosi, gdy Sak był jój zalotnikiem);  
 Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,  
 Na skroniach zielonego wianek rozmarynu;  
 Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,  
 A na czoło włożyła, zwyczajem żniwiarki,  
 Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,  
 Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z oficerów  
 Dobył z kieszeni *portefeuille* z plikami papierów,  
 Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,  
 Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył  
 Papiery i ołówki, poznał rysownika,  
 Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,  
 Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,  
 I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.  
 Sędzia poznał: „Jak się masz, mój Jaśnie Wielmożny  
 Hrabio? i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny  
 Do malarstwa!...“ W istocie, był to Hrabia młody,  
 Niedawny żołnierz; lecz że wielkie miał dochody  
 I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił,  
 I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,  
 Cesarz go pułkownikiem dziś właśnie mianował;



Więc Sędzia witał Hrabie i rangi winszował,  
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tymczasem weszła druga para narzeczona:  
Asesor niegdyś Cara, dziś Napoleona  
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,  
A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,  
Już włożył mundur siny z polskimi wyłogi  
I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.  
Obok, poważnym krokiem szła jego kochanka  
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;  
Bo Asesor już dawno Telimenę rzucił,  
I aby tę kokietkę tém mocniej zasmucił,  
Ku Wojszczance afekty serdeczne obrócił.  
Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,  
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna  
I posażna: bo oprócz swój dziedzicznej wioski,  
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciój pary daremnie czekają czas długi.  
Sędzia niecierpliwi się i wysyła sługi;  
Wracają, powiadają, że trzeci małżonek,  
Pan Rejent, szcując kota, zgubił swój pierścionek  
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama  
Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama  
I choć jój pomagają służebne kobiety,  
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety;  
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

---

## KSIĘGA XII.

### KOCHAJMY SIĘ.

Ostatnia uczta staropolska. — Arcy-serwis. — objaśnienie jego figur. — Jego ruchy. — Dąbrowski udarowany. — Jeszcze o Scyzoryku. — Kniaziewicz udarowany. — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa. — Uwagi Gerwazego. — Koncert nad koncertami. — Polonez. — Kochajmy się.

Nakoniec z trzaskiem, sali drzwi nawściąż otwarto.  
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,  
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze:  
Bo Wojski występuje w nowym charakterze  
Marszałka dworu. Laskę ma na znak urzędu,  
I tą laską z kolei jako mistrz obrzędu,  
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.  
Naprzód, jako najpierwsza województwa władza,  
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,  
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne;  
Obok, na prawej stronie, Jenerał Dąbrowski.  
Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski;  
Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,  
Oficerowie, pany, szlachta i ziemianie,  
Mężczyźni i kobiety, naprzemian po parze,  
Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia, skłoniwszy się opuścił biesiadę.  
On na dziedzińcu włością traktował gromadę;  
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim.  
Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.  
Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli:  
Zajęci częstowaniem włością, chodząc jedli.

Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi  
Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście, potraw czekający w sali,  
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,  
Którego równie drogi kruszec jak robota.  
Jest podanie, że Książę Radziwiłł-Sierota  
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić  
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.  
Serwis potem zabrany czasu wojny szwedzkiej,  
Przeszedł, nie wiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki;  
Dziś, ze skarbca dobyte, zajął środek stoła  
Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi  
Piankami i cukrami białymi jak śniegi:  
Udawał przewybornie krajobraz zimowy.  
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,  
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,  
Okryte, zamiast szronu, cukrowymi pianki;  
Na krawędziach naczynia stoją, dla ozdoby,  
Niewielkie z porcelany wydęte osoby  
W polskich strojach: jakoby aktory na scenie,  
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;  
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,  
Tylko głosu im braknie: zresztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi.  
Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:  
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem) —  
„Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem:  
Te persony, których tu widzicie bez liku,  
Przedstawiają polskiego historyę sejmiku,  
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie;  
Sam tę scenę odgadłem i państwu objaśnię.

„Oto na prawo widać liczne szlachty grono:  
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono.  
Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,  
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.

Patrzcie, iż w każdej kupce stoi w środku człowiek,  
 Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,  
 Rąk niespokojnych widać, — mówca coś tłumaczy,  
 I palcem eksplikuje i na dłoni znaczy.  
 Ci mówcy zalecają swoich kandydatów  
 Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty bratów.

„Wprawdzie tam, w drugiej kupie, szlachta pilnie słucha.  
 Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,  
 Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,  
 Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;  
 Cieszy się mówca widząc, że są nawróceni,  
 Gładzi kieszeń, bo kréski ich już ma w kieszeni.

„Lecz za to w trzecim gronie dzieje się inaczej:  
 Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy.  
 Patrzcie, wrywają się i cofają uszy;  
 Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy!  
 Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,  
 Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika.  
 Ten drugi, pochyliwszy czoło na kształt byka,  
 Powiedziałbyś, że mówcę pochwyci na rogi;  
 Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

„Jeden między kupkami szlachcie cichy stoi.  
 Widać, że człek bezstronny; waha się i boi;  
 Za kim dać kréskę? nie wie, i sam z sobą w walce,  
 Pyta losu, wniósł ręce, wytknął wielkie palce,  
 Zmrużył oczy, paznogciem do paznogcia mierzy:  
 Widać, że kréskę swoją kabale powierzy;  
 Jeśli palce trafią się, da afirmatywę,  
 A jeżeli się chybią, rzuci negatywę.

„Na lewej druga scena; refektarz klasztoru  
 Obrócony na salę szlacheckiego zboru.  
 Starsi rzędem na ławach siedzą, młodzi stają  
 I ciekawie przez głowy w środek zagląдают;  
 W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,  
 Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma.

Właśnie wstrząsnął ostatnią; Woźni ręce wznoszą  
I imię obranego urzędnika głoszą.

„Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa.  
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza;  
Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,  
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;  
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: Veto!...  
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podnieta,  
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię;  
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

„Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie  
Tego starego księdza, co idzie w ornacie;  
To Przeor; Sanctissimum z ołtarza wynosi,  
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.  
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i kłeka,  
A ksiądz tam się obraca, gdzie jeszcze broń szczeka;  
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

„Ach wy nie pamiętacie tego państwo młodzi!  
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,  
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej:  
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,  
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!  
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,  
Policyantów różnych, żandarmów, konstabów;  
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,  
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę“.

Wtém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podkomorzy:  
„Panie Wojski, niech Wasze na potém odłoży  
Te historie. Prawda, że Sejmik ciekawy;  
Ale my głodni, każ Waśc przynosić potrawy“.

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi łaskę:  
„Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,  
Zaraz dokonając cenę ostatnią sejmików.  
Oto nowy Marszałek na rękę stronników  
Wyniesion z refektarza. Patrz, jak szlachta braty  
Rzucają czapki, usta otwarli, — wiwaty!



A tam po drugiej stronie, pan przekreskowany  
 Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany.  
 Żona przed domem czeka: zgadła co się dzieje...  
 Biédna! oto na ręku pokojowej mdleje;  
 Biédna! Jaśnie Wielmożnej tytuł przybrać miała,  
 A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!“

Tu Wojski skończył opis, i laską znak daje.  
 I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje  
 Roznoszący potrawy: barszcz królewskim zwany,  
 I rosół staropolski sztucznie gotowany,  
 Do którego pan Wojski z dziwnymi sekrety  
 Wrzucił kilka perełek i sztukę monety.  
 (Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie).  
 Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!  
 Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,  
 Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,  
 Z ingrediencyami pomuchl, figatelów,  
 Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów;  
 Owe ryby: łososie suche, dunajeckie,  
 Wyżyny i kawiary weneckie, tureckie,  
 Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,  
 Flądry i karpie ówki i karpie szlachetne;  
 W końcu sekret kucharski: ryba niekrojona,  
 U głowy przysmażona, we środku pieczona,  
 A mająca potrawkę z sosem u ogona!

Goście ani pytali nazwiska potrawy,  
 Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy:  
 Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,  
 Kieliszki napelniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił,  
 I odarty ze śniegu już się zazielenił;  
 Bo lekka, ciepłem letniem powoli rozgrzana,  
 Roztopiła się lodu cukrowego piana,  
 I dno odkryła, dotąd zatajone oku.  
 Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,  
 Zabłysnąwszy zieloną, różnobarwną wiosną.  
 Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,

Pszenicy szafranowej buja kłos złocisty,  
 Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,  
 I gryka wyrabiana sztucznie z czekolady,  
 I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć;  
 Darmo proszą Wojskiego, żeby je przedłużyć:  
 Już serwis jak planeta, koniecznym obrotem  
 Zmienia porę, już zboża malowane złotem,  
 Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją;  
 Już trawy pożółkniały, liście czerwienieją,  
 Sypią się, rzekłbyś, iż wiatr jesienny powiewa;  
 Nakoniec, owe chwilę przedtém strojne drzewa,  
 Teraz, jakby odarte od wichrów i szronu,  
 Stoją nagie: były to laski cynamonu,  
 Lub udające sosnę gałązki wawrzynu,  
 Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu.

Goście pijący wino, zaczęli gałązki,  
 Pnie i korzenie zrywać i gryźć dla zakąski.  
 Wojski obchodził serwis, i pelen radości,  
 Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie  
 I rzekł: „Mój panie Wojski, czy to chińskie cienie?  
 Czy to Pinety panu dał w służbę swe bisy?  
 Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy  
 I wszyscy takim starym uczują zwyczajem?  
 Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem“.

Wojski rzekł kłaniając się: „Nie, Jaśnie Wielmożny  
 Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!  
 Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,  
 Które dawano w domach panów starodawnych,  
 Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!  
 Com zrobił, tom wyczytał z téj tu oto księgi.  
 Pytasz, czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa?  
 Niestety! już i do nas włązi moda nowa.  
 Niejeden panicz krzyczy że nie cierpi zbyt ków;  
 Je jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków,

Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie  
 Fałszywe wino modne, moskiewskie, szampańskie;  
 Potém w wieczór na karty tyle złota straci,  
 Że za nie dalbyś ucztę na stu szlachty braci...  
 Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,  
 Niech tego Podkomorzy za zle mi nie bierze),  
 Kiedym ten serwis cudny ze skarbcza dobywał,  
 To nawet Podkomorzy, i on mnie przedrwiwał!  
 Mówiąc, że to machina żmudna, staroświecka,  
 Że to ma pozór niby zabawki dla dziecka,  
 Nieprzyzwoitój dla tak znakomitych ludzi!  
 Sędzio!... i Sędzia mówił, że to gości znudzi!...  
 A przecież, ile wnoszę z panów zadziwienia,  
 Widzę, iż ten kunszt piękny godzien był widzenia!  
 Niewiem, czy się podobna okazyja zdarzy  
 Częstować w Soplicowie takich dygnitarzy:  
 Widzę, że Pan Jenerał na biesiadach zna się;  
 Niechaj przyjmie tę książkę! Ona Panu zda się,  
 Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona  
 Dawał ucztę, ba, nawet dla Napoleona.  
 Ale pozwól, nim księgę tę Panu poświęcę,  
 Niech powiem jakim trafem wpadła w moje ręce.

„Tę książkę, jak mi mówił Bartłomiej Dobrzański,  
 Posiadał w Wielkopolsce naprzód Pan Poniński:  
 Nie ów Poniński Łodzian, człowiek z brzydką sławą,  
 Co kraj przedawszy umarł u Żyda pod ławą;  
 Lecz Poniński Starosta. Ten żyjąc wspaniale,  
 Podług téj książki dawał obiady i bale.  
 Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu,  
 Co mieszkał w Kopaszewie, Panu Skórczewskiemu.  
 Wreszcie, książkę od pana Skórczewskiego żony  
 Wziął Bartłomiej Dobrzyński, Prusakiem rzeczony,  
 Gdy gościł w Wielkopolsce. Jak zabytek drogi  
 Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyste progi;  
 Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu,  
 Oddał ją mnie. Niech służy Wielmożnemu Panu.“

Wtém szmer powstał za drzwiami; razem głosów wiele  
 Zawołało: „Niech żyje Kurek na kościele!“

Ciżba tłoczy się w salę a Maciej na czele.  
 Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,  
 I wysoko pomiędzy wodzami posadził,  
 Mówiąc: „Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,  
 Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie“.  
 „Jem wcześniej, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła  
 Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,  
 Obejrzyć z blizka naszą armię narodową.  
 Wieleby gadać... jest to ani to ni owo!  
 Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,  
 A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie“.  
 To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry,  
 Na znak, że jeść nie będzie, i milczał ponury.

„Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,  
 Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,  
 Ów Maciej, zwany Rózga! znam ciebie ze sławy.  
 I proszę, takiś dotąd czerstwy, takiś żwawy!  
 Ileż to lat minęło! patrz, jam się podstarzał;  
 Patrz, i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał:  
 A ty jeszcze z młodymi mógłbyś pójść w zapasy,  
 I rózga twoja kwitnie pono jak przed czasy;  
 Słyszałem, żeś niedawno Moskałów oćwiczył.  
 Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmiernie bym życzył  
 Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,  
 Ostatnie egzemplarze starodawnój Litwy“.

„Jenerale, rzekł Sędzia, po owém zwycięztwie,  
 Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księżtwie;  
 Zapewne do którego weszli legionu!“

„W istocie, odpowiedział młody szef szwadronu,  
 Mam w drugiej kompanii wasate straszzydło,  
 Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zowie Kropidło,  
 A Mazury zowią go litewskim niedźwiedziem.  
 Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem“.

„Jest, rzekł porucznik, kilku innych rodem z Litwy,  
 Jeden żołnierz znajomy pod nazwiskiem Brzytwy,  
 I drugi, co z tromblonem jeździ na flankiery:  
 Są także w pułku strzelców dwa grenadyery  
 Dobrzyńscy“.

„Ale, ale o ich naczelniku,  
 Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Sczoryku,  
 O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,  
 Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów“.  
 „Sczoryk, rzecze Wojski, choć nie exulował,  
 Ale bojąc się śledztwa przed Moskwą się schował;  
 Całą zimę nieborak tulił się po lasach,  
 Teraz dopiéro wyszedł. W tych wojennych czasach  
 Mógłby się na co przydać, jest rycerskim czlekiem,  
 Szkoda tylko, że trochę przyciśniony wiekiem.  
 Lecz owóz on!...“

Tu Wojski palcem wskazał w sieni,  
 Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni,  
 A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca  
 Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca;  
 Trzykroć weszła, i trzykroć znikła w głów obłoku.  
 Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się z tłoku,  
 I rzekł:

„Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie,  
 Czy Jenerale, — mniéjsza o tytułowanie, —  
 Jam jest Rębajło, staję na tve zawołanie  
 Z tym moim sczorykiem, który nie z oprawy,  
 Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,  
 Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.  
 Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział  
 Cokolwiek na pochwałę i téj staréj ręki,  
 Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,  
 Ojczyźnie tudzież Panów Horeszków rodzinie,  
 Czego pamięć dotychczas między ludźmi słygnie.  
 Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy  
 Tak zręcznie temperuje pióra, jak on głowy.  
 Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!  
 A niéma żadnej szczerby na tym sczoryku  
 I żaden go nie splamił zbójcecki uczynek:  
 Tylko otwarta wojna, albo pojedynek...  
 Raz tylko!... Panie daj mu wieczny odpoczynek!  
 Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono...  
 A i to, Bóg mi świadkiem, pro publico bono“.



„Pokaż-no, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski:  
 A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski!“  
 I z zadziwieniem wielki rapiér opatrywał  
 I innym oficerom w kolej pokazywał.  
 Próbowali go wszyscy; ale ledwie który  
 Z oficerów mógł podnieść ten rapiér do góry.  
 Mówiono, że Dembiński, sławny ręki siłą,  
 Podźwignąłby szablęcę, lecz go tam nie było.  
 Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki  
 I dowódzca plutonu porucznik Różycki  
 Potrafili obracać tym żelaznym dragiem:  
 I tak rapiér na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz jenerał Kniaziewicz, wzrostem najślusznniejszy,  
 Pokazało się, iż był w ręku najsilniejszy.  
 Ujawszy rapier, lekko jakby szpadę dźwignął  
 I nad głowami gości błyskawicą mignął,  
 Przypominając polskie fechtarskie wykręty:  
*Krzyżową sztukę, młynca, cios krzywy, raz cięty,*  
*Cios kradziony, i tempy kontrpunktów, tercetów,*  
 Które téż umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,  
 Objął go za kolana, i ze łzami jęczał  
 Za każdym zwrotem miecza: „Pięknie! Jenerale,  
 Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!  
 To sztych Puławskich! tak się Dzierżanowski składał!  
 To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał!  
 Chyba Maciej Dobrzyński! A to, Jenerale,  
 Mój wynalazek, dalbóg mój; ja się nie chwale:  
 To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,  
 Od mojego imienia zwane *Cios mopanku*:  
 Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie,  
 Moje!“ Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.

„Teraz umrę spokojny! Jest przecie na świecie  
 Człowiek, który przytuli moje drogie dziecię;  
 Bo wszak nad tém oddawna dzień i noc boleję,  
 Czy po śmierci ten rapiér mój nie zerdzewieje!  
 Otóż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny  
 Jenerale, wybac mi, porzućcie te rożny,

Niemieckie szpadki; to wstyd szlacheckiemu dziecku  
 Nosić ten kijek: weźmij szablę po szlachecku!  
 Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,  
 To jest, co najdroższego na świecie posiadam.  
 Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,  
 On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia  
 Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku  
 Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku;  
 A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie  
 Wisiał, jako nad Żydem Boże przykazanie!  
 Myślałem zakopać go razem z ręką w grobie,  
 Lecz znalazłem dziedzica — niechaj służy tobie!“

„Jenerał wpół śmiejąc się, a na wpół wzruszony:  
 „Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mi żony  
 I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota  
 Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!  
 Powiedz, czém ci ten drogi dar mam wynagrodzić,  
 I czém twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić?“  
 „Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,  
 Co żonę przegrał, grając w marysza z Moskałem,  
 Jak o tém pieśń powiada... Ja mam dosyć na tem,  
 Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem  
 W takiej ręce! Niech tylko Jenerał pamięta,  
 Aby tasiemka była długa, rozciągnięta,  
 Bo to długie; a zawsze od lewego ucha  
 Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha“.

Jenerał wziął scyzoryk; lecz że bardzo długi,  
 Nic mógł nosić, w furgonie schowały go sługi.  
 Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,  
 Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.

Dąbrowski rzekł do Maćka: „A ty co, kolego?  
 Zdaje się, żeś ty nierad z przybycia naszego?  
 Milczysz kwaśny? I jakże serce ci nie skacze,  
 Gdy widzisz orły złote, srebrne? gdy trębacze  
 Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?  
 Maćku, myślałem, że ty większym jesteś zuchem!  
 Jeśli szabli nie weźmiesz, i na koń nie siądziesz

Przynajmniej z kolegami wesoło pić będziesz  
Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!“

„Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!  
Ale, Panie, dwóch orłów razem się nie gnieździ!  
Łaska pańska, Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!  
Cesarz wielki bohater, gadać o tém wiele!  
Pamiętam, że Puławscy, moi przyjaciele  
Mawiali, poglądając na Dymuriera,  
Że dla Polski, polskiego trzeba bohatera,  
Nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta,  
Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta.  
Wojsko!... Mówią, że polskie!... Lecz te fizyliery,  
Sapery, grenadiery i kanoniery:  
Więcej słyhać niemieckich tytułów w tym tłumie  
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!  
A muszą też być z wami Turki czy Tatarzy  
Czy szymatyki, co ni Boga ani wiary:  
Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,  
Przechodniów odzierają, kościoły rabują!  
Cesarz idzie do Moskwy... daleka to droga,  
Jeśli Cesarz jegomość wybrał się bez Boga!...  
Słyszałem, że już podpadł pod klątwy biskupie;  
Wszystko to jest...“ Tu Maciej chleb umoczył w zupie,  
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,  
Młodzież zaczęła szemrać: Sędzia przerwał swary,  
Głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Był to Rejent: sam siebie Rejentem ogłosił.  
Nikt go nie poznał. Dotąd polskie suknie nosił;  
Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza  
Warunkiem intercyzy, wyrzec się kontusza:  
Więc się Rejent rad nierad po francuzku przebrał.  
Widno, że mu frak duszy połowę odebrał:  
Stąpa, jakby kij połknął, prosto, nieruchawo;  
Jak żuraw, nie śmie spojrzeć ni w lewo ni w prawo:  
Mina gęsta, lecz z miny widać, że jest w męce,  
Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce,

On, co tak gesty lubił!... Ręce za pas sadił,  
 Nié masz pasa — tylko się po żołądku gładził;  
 Postrzegł omyłkę; bardzo zmieszał się, spiekl raka,  
 I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.  
 Idzie jakby przez różgi wśród szeptów i drwinek,  
 Wstydząc się za frak, jakby za niecny uczynek:  
 Aż spotkał oczy Maćka, i zadrzał z bojaźni.

Maciej dotąd z Rejentem żył w wielkiej przyjaźni;  
 Teraz, wzrok nań obrócił tak ostry i dziki,  
 Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki.  
 Myśląc, że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi.  
 Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: „Głupi“  
 I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania,  
 Że zaraz wstał od stołu, i bez pożegnania  
 Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,  
 Telimena, roztacza blaski swój urody,  
 I ubiór, od stóp do głów co najświeższej mody.  
 Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,  
 Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie;  
 Chyba pędzel by skreślił te tiule, ptyfenie,  
 Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie,  
 I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia. Z zadziwienia błądy,  
 Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady:  
 „I tyżes to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?  
 Ty? w obecności mojej ściskasz rękę cudzą?  
 O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!  
 I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?  
 Takeś twojej tak świeżej niepomna przysięgi?  
 O łatwowierny! po cóż nosiłem te wstęgi!  
 Lecz biada rywalowi, co mnie tak znieważa!  
 Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!“

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieszał,  
 Podkomorzy rywalów zagodzić pospieszał;  
 Lecz Telimena wzięwszy Hrabiego na stronę:  
 „Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mnie za żonę:

Jeżeli pan przeszkadzasz, odpowiedź na to,  
 A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:  
 Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,  
 Czyś gotów, żebyś ze mną zaraz się ożenił,  
 Zaraz, dziś?... jeśli zechcesz, odstąpię Rejenta".  
 Hrabia rzekł: „O kobieto dla mnie niepojęta!  
 Dawniej w uczuciach twoich byłaś poetyczną,  
 A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną!  
 Cóż są wasze małżeństwa jeśli nie łańcuchy,  
 Które związują tylko ręce a nie duchy?  
 Wierzaj: są oświadczenia, nawet bez wyznania;  
 Są obowiązki, nawet bez obowiązania!  
 Dwa serca, palające na dwóch końcach ziemi,  
 Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi...  
 Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca  
 Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,  
 Że wiecznie patrzą na się, i najkrótszą drogą  
 Biegą do siebie — ale zbliżyć się nie mogą!“  
 „Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą  
 Z łaski Bożej, dość Hrabio: ja jestem kobietą;  
 Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo,  
 Teraz ostrzegam; jeśli piśniesz jedno słowo,  
 Ażebym ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie,  
 Że z tymi paznogciami przyskoczę do ciebie  
 I...“ „Nie będę, rzekł Hrabia, szczęścia Pani kłócił!“  
 I oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił,  
 I ażebym ukarać niewierną kochankę,  
 Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzanekę.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić  
 Przykładami mądrymi: więc zaczął wywodzić  
 Historję o dziku nalibockich lasów,  
 I o kłótni Rejtana z Książęciem Denasów.  
 Ale goście tymczasem skończyli jeść lody,  
 I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę: krążą miodu dzbany,  
 Muzyka już się stroi i wzywa na tany.  
 Szukają Tadeusza, który stał na stronie  
 I coś pilnego szeptał swojej przyszlęj żonie.



„Zofio! muszę cię w bardzo ważnej rzeczy  
 Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.  
 Wiiesz, iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,  
 Wedle prawa na cię by powinna spadać.  
 Ci chłopcy są nie moi, lecz twoi poddani:  
 Nie śmiałybym ich urządzić bez woli ich pani.  
 Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,  
 Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą  
 Tyle tylko, że pana innego dostaną?  
 Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie,  
 Lecz po mej śmierci, Bóg wie komu ich zostawię.  
 Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,  
 Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję:  
 Bezpiecniejsz zrobię, kiedy władzy się wyrzekę  
 I oddam los włościanów pod prawa opiekę.  
 Sami wolni, uczynmy i włościan wolnemi,  
 Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,  
 Na której się zrodzili, którą krwawą pracą  
 Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.  
 Lecz muszę cię ostrzec, że tych ziem nadanie  
 Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.  
 Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu;  
 Lecz ty Zofio, jesteś z wysokiego rodu,  
 W stolicy przepędziłaś twoje młode lata:  
 Czyż zgodzisz się żyć na wsi, zdaleka od świata,  
 Jak ziemianka?...“

A na to Zosia rzekła skromnie:

„Jestem kobieta, rządy nie należą do mnie.  
 Wszakże Pan będziesz mężem: ja do rady młoda,  
 Co Pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!  
 Jeśli, włość uwalniając, zostaniesz uboższy,  
 To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.  
 O moim rodzie mało wiem, i nie dbam o to;  
 Tyle pomnę, że byłam ubogą sierotą,  
 Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,  
 W ich domu hodowana i za mąż wydana.  
 Wsi nie lękam się. Jeśli w wielkim mieście żyłam,  
 To dawno, zapomniałam, wieś zawsze lubiłam;  
 I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki  
 Więcej bawiły niżli owe Peterburki.“

Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,  
 To z dzieciństwa; wiem teraz, że mnie miasto nudzi;  
 Przekonałam się zimą po krótkim pobycie  
 W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie:  
 Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.  
 Pracy téż nie lękam się, bom młoda i zdrowa,  
 Umiem chodzić około domu, nosić klucze;  
 Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!“

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,  
 Podszedł do niéj zdziwiony i kwaśny Gerwazy:  
 „Już wiem! rzekł, Sędzia mówił już o téj wolności!  
 Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości!  
 Boję się, żeby to coś nie było z niemiecka!  
 Wszak wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka!  
 Prawda, że się wywodzim wszyscy od Adama:  
 Alem słyszał, że chłopci pochodzą od Chama,  
 Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,  
 A więc panujem jako starsi nad obiema.  
 Jużci pleban inaczej uczy na ambonie...  
 Powiada, że to było tak w Starym Zakonie,  
 Ale skoro Chrystus Pan, choć z królów pochodził,  
 Między Żydami w chłopskiej stajni się urodził,  
 Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził...  
 Niech i tak będzie, kiedy inaczej nie można!  
 Zwłaszcza, że jako slysze, i Jaśnie Wielmożna  
 Pani moja, Zofia, na wszystko się zgadza;  
 Jéj rozkazać, mnie słuchać: jużci przy niéj władza.  
 Tylko ostrzegam, byśmy wolności nie dali  
 Pustej i słownej tylko, jako za Moskali,  
 Kiedy pan Karp nieboszczyk włością wyswobodził,  
 A Moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził.  
 Radzę więc, aby chłopów, starym obyczajem,  
 Uszlachcić i ogłosić, że im herb nasz dajem.  
 Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,  
 Drugim niech swą Leliwę nada pan Soplica.  
 Natenczas i Rębajło uzna chłopą równym,  
 Gdy go ujrzy szlachcicem, Wielmożnym, herbownym.  
 Sejm potwierdzi.

„A niech się mąż pani nie trwoży,  
 Iż oddanie ziem, państwo tak bardzo zuboży:  
 Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiej  
 Widział umozolone w pracy gospodarskiej.  
 Jest na to sposób. W zamku wiem ja pewną skrzynię,  
 W której jest Horeszkowskie stołowe naczynie,  
 Przymót różne sygnety, kanaki, manele,  
 Kity bogate, rzędy, cudne karabele.  
 Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży,  
 Pani Zofii jako dziedzicze należy;  
 Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,  
 Od Moskali i od was państwo Soplicowie.  
 Mam także spory worek mych własnych talarów,  
 Uzbieranych z wysługi, tudzież z pańskich darów.  
 Myślałem, gdy nam zamek wróconym zostanie,  
 Obrócić grosz na murów wyreparowanie;  
 Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie...  
 A więc, panie Soplico, wnoszę się do ciebie,  
 Będę żył u méj pani na łaskawym chlebie,  
 I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,  
 Wprawiał do scyzoryka pani mojej dziecię,  
 Jeśli syn — a syn będzie: bo wojny nadchodzą,  
 A w czasie wojny zawždy synowie się rodzą“.

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,  
 Gdy poważnymi kroki przystąpił Protazy,  
 Skłonił się i wydobył z zanadrza kontusza  
 Panegiryk ogromny, w półtrzecia arkusza.  
 Skomponował go rymem podoficer młody,  
 Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody;  
 Potém wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,  
 Wiersze rabiał. Już Woźny przeczytał ich trzysta,  
 Aż gdy przyszedł do miejsca: *O ty, której wdzięki  
 Budzą bolesną radość i rokoszne męki!*  
*Która, na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną!*  
*Złamią się wnet oszczepy i tarcze rozpękną!*  
*Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiej niezgód hydrze*  
*Niech dłoń twoja syczące z czoła żmije wydrze!...*  
 Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali,  
 Niby chwając, w istocie nie chcąc słuchać dalej.

Już z rozkazu Sędziego Pleban stał na stole  
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,  
Skoczyli do Panicza, padli do nóg Pani:  
„Zdrowie Państwu naszemu!“ ze łzami krzyknęli;  
Tadeusz krzyknął: „zdrowie spółobywateli,  
Wolnych, równych — Polaków!“ — „Wnoszę ludu zdrowie!“  
Rzekł Dąbrowski; lud krzyknął: „Niech żyją Wodzowie!  
Wiwat wojsko, wiwat lud, wiwat wszystkie stany!“  
Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany.

Tylko Buchman radości podzielać nie raczył;  
Pochwalał projekt, lecz go radby przeinaczył:  
A naprzód, komisję legalną wyznaczył,  
Któraby...

Krótkość czasu była na zawadzie,  
Że nie stało się zadość Buchmanowej radzie.  
Bo na dziedzińcu zamku już stali parami  
Oficery z damami, Wiara z wieśniaczkami.  
Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.  
Oficerowie wiodą muzykę wojskową;  
Ale pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:  
„Każ pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała.  
Wiész, że dzisiaj synowca mego zaręczyny,  
A dawnym obyczajem jest naszój rodziny,  
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.  
Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice,  
Pocziwi muzykanci; już się skrzypak zżyma,  
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma:  
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;  
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać,  
Niechaj ci zaczną; niech się i lud podweseli;  
Potém będziem wybornój twój słuchać kapeli“.  
Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,  
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,

I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.  
 Na to hasło, stojący obok kobeźnicy,  
 Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem  
 Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem:  
 Myślałbyś, że ta para w powietrze uleci,  
 Podobna do pyzatyh Boreasza dzieci.  
 Brakło cymbałów.

Było cymbalistów wielu,  
 Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.  
 (Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,  
 Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).  
 Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie  
 Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.  
 Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;  
 Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,  
 Odwykł od grania, nie śmieć, i panów się wstydzi;  
 Klaniając się umyka. Gdy to Zosia widzi,  
 Podbiega, i na białej podaje mu dłoni  
 Drażki, którymi zwykle mistrz we stróny dzwoni,  
 Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,  
 I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!  
 Wszak to me zaręczyny: zagrajże Jankielu!  
 Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mém weselu?”

Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą  
 Na znak że nie odmawia; więc go w środek wiodą,  
 Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,  
 Kładą mu na kolanach. On patrzy z roskoszą  
 I z dumą: jak weteran w służbę powołany,  
 Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,  
 Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,  
 Lecz uczył, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

- Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbalach klęczą,  
 Stroją na nowo stróny i próbując brzęczą;  
 Jankiel z przymrużonymi na poły oczyma  
 Milczy i nieruchome drażki w palcach trzyma.



Spuścił je. Z razu bijąc taktem tryumfalnym,  
Potem gęściej siekł stróny jak deszczem nawalnym:  
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko proba;  
Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,  
Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydło muchy,  
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.  
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.  
Spojrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,  
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:  
Zdumieni się słuchacze.

Razem ze strón wiera

Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela  
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:  
Brzmi *Polonez Trzeciego Maja!*... Skoczne dźwięki  
Radością oddychają, radością słuch poją;  
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.  
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,  
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,  
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,  
Zgodzonego z narodem Króla fetowali,  
Gdy przy tańcu śpiewano: *Wiwat król kochany!*  
*Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!*

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;  
A wtém, puścił fałszywy akord jak syk węża,  
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem  
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.  
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,  
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?  
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca  
Wciąż tę zdradziecką stronę, melodyę zmaça,  
Coraz głośniej targając akord rozdaşany,  
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany:  
Aż Klucznik pojawił mistrza, zakrył ręką lica  
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! to jest *Targowica!*“  
I wnet pękła ze świstem stróna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaça;  
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:

Słysząc tysiące coraz głośniejszych hałasów;  
 Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,  
 Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonaly  
 Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,  
 Przypominając sobie ze łzami boleści  
*Rzeź Pragi*, którą znały z pieśni i z powieści:  
 Rade, że mistrz nakoniec strónami wszystkiemi  
 Zagrzmał, i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,  
 Znowu muzyka inna; znów, z razu brzęczenia  
 Lekkie i ciche; kilka cienkich strónek jęczy,  
 Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej,  
 Lecz strón coraz przybywa: Już rozpierzchle tony  
 Łączą się i akordów wiążą legiony,  
 I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,  
 Tworząc nótę żalosalną téj sławnej piosenki:  
*O żołnierzu, tulaczu, który borem, lasem  
 Idzie, z biędzy i z głodu przymierając czasem,  
 Nakoniec pada u nóg konika wiernego,  
 A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.*  
 Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!  
 Poznali ją żołnierze; Wiara się skupiła  
 W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie  
 Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie  
 Zanócili tę piosnkę i poszli w kraj świata;  
 Przywodzą na myśl długie swój wędrówki lata,  
 Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,  
 Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie  
 Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.  
 Tak rozmyślając smutnie pochyliłi głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,  
 Natęży, takty zmienia: coś innego głosi,  
 I znowu spojrział z góry, okiem stróny zmierzył,  
 Złączył ręce, oburącz w dwa drażki uderzył:  
 Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,  
 Że stróny zadzwoniły jak trąby mosiężne,  
 I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,  
 Marsz tryumfalny: *Jeszcze Polska nie zginęła!*

*Marsz Dąbrowski do Polski!*... I wszyscy klasnęli,  
I wszyscy „Marsz Dąbrowski“ chórem okrzyknęli!

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,  
Upuścił drażki z palców, podniósł w górę ręce;  
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,  
Powiewała poważnie broda podniesiona,  
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,  
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca,  
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,  
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił:  
„Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza  
Czekała, długo, jak my Żydzi Mesyasza...  
Ciebie prorokowali dawno między ludem  
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...  
Żyj i wojuj, o ty nasz!...“ Mówiąc ciągle szlochał:  
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!  
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,  
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza,  
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza  
I wasa pokręcając, podał rękę Zosi,  
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.  
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;  
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,  
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,  
A on stąpa powoli, niby od niechcienia:  
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,  
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.  
Oto stanął, jak gdyby chciał swoją damę pytać,  
Pochylił ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;  
Dama głowę odwraca, wstydy się, nie słucha;  
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,  
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;  
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi,  
I zaśmiał się na koniec; rad z jej odpowiedzi.  
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry,  
I swą konfederatkę z czaplinoymi pióry

To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,  
 Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.  
 Idzie; wszyscy zazdroszcza, biegną w jego ślady,  
 Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:  
 Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,  
 I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;  
 Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,  
 Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,  
 Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty,  
 I zewsząd obwijają tanecznymi skręty;  
 Więc gnięwa się, prawicę na rękojeść składa,  
 Jakby rzekł: „Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!“  
 Zwraca się z dumą w czoło i z wyzwaniem w oku,  
 Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,  
 Ustępują mu z drogi, i zmieniwszy szyki,  
 Puszczają się znów za nim...

Brzmia zewsząd okrzyki:

„Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,  
 Może ostatni, co tak Poloneza wodzi!“

I szły pary po parach hucznie i wesoło;  
 Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,  
 Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;  
 Mieni się cętkowata, różna barwa strojów  
 Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,  
 Wyzłocona promieniami zachodniego słońca  
 I odbita o ciemne murawy węzłowia.  
 Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak, ani kapeli  
 Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,  
 Ręce w tył założywszy, stoi zły, ponury,  
 Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:  
 Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,  
 Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.  
 Niewdzięczna! Chociaż tyle pięknych darów strwonił,  
 Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił:  
 On jeszcze! ile razy na parkanie siadał,  
 By ją dojrzyć przez okna, w konopie się wkradał,

Żeby patrzeć jak ona pleła swe ogródki,  
 Rwała ogórki, albo karmiła kogutki!  
 Niewdzięczna!... Spuścił głowę, i nakoniec świsnął  
 Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął,  
 I szedł w obóz, gdzie stała przy armatach warta;  
 Tam dla rozerwania się zaczął grać w drużbarta  
 Z wiarusami, kielichem osładzając żalność.  
 Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy weselo: lecz choć w pierwszej parze,  
 Ledwie widna z daleka. Na wielkim obszarze  
 Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience,  
 Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,  
 Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,  
 Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem.  
 Zgadniesz gdzie jest: bo ku niej obrócone oczy,  
 Wyciągnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy.  
 Darmo się Podkomorzy zostać przy niej sili:  
 Zazdrośnicy już z pierwszej pary go odbili;  
 I szczęśliwy Dąbrowski niedługo się cieszył:  
 Ustąpił ją drugiemu; a już trzeci spieszył;  
 I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.  
 Aż Zosia już strudzona, spotkała z kolei  
 Tadeusza, i dalszej lękając się zmiany  
 I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.  
 Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,  
 Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,  
 U góry błękitnawy, na zachód różany:  
 Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,  
 Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,  
 Ówdzie nieco drobniejsze jak stada cyranek;  
 Na zachód obłok, na kształt rąbkowych firanek,  
 Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,  
 Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,  
 Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,  
 Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.  
 Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,  
 I raz ciepłym powiewem westchnąwszy, usnęło.



A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi  
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,  
Wreszcie z kolei wszystkich trzech par zaręczonych,  
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,  
Wszystkich przyjaciół, których kto żywy spamięta,  
I których zmarłych pamięć pozostała święta!...

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,  
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.

---



OBJAŚNIENIA.



## OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, egzekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne w kraju, gdzie władza wykonawcza nie miała prawa żadnej policyi pod swymi rozkazami, a obywatele możni trzymali nadworne pułki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunastotysięczne wojska. Żałujący więc, uzyskawszy dekret, musiał po egzekucyą udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w rękę i w towarzystwie woźnego, zdobywali (często nie bez rozlewu krwi) dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w posesyą oddawał. Taka egzekucya zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli opierać się wyrokom; rzadko zdarzały się zbrojne napaści, i gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djablem. Zepsucie publicznych obyczajów w Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Panno Święta, co Jasnój bronisz Częstochowy  
I w Ostrój świecisz Bramie.

Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na Jasnój Górze w Częstochowie. W Litwie, słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogródku, tudzież Żyrowickiej i Boruńskiej.

...ale nie myśl wcale,

Aby w domu Sędzłego służono niedbale.

Rząd rossyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od razu praw i instytucyi cywilnych, ale powoli ukazami podkopuje



i roztacza. W Małorossyi naprzykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony; Litwie zostawiono całe dawne urządzenie sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu sędziowie ziemscy i grodzy w powiatach i sędziowie główni w guberniach. Ale że apelacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instytucyi, przy sądach więc miejscowych ledwie pozostał cień dawniej powagi tradycyjnej.

. .nim się pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż osobom poważnym nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Obożnym, Stolnikiem lub Podczaszym, z razu w rozmowie tylko i korespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd rossyjski zabraniał podobnych tytułów i pragnąłby je śmiesznością okryć, a wprowadzić na ich miejsce tytułowanie podług rang swojej hierarchii, do której Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Podkomorzy już zjechał z żoną i córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, *princeps nobilitatis*, za rządu rossyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcyi utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka i mianuje Komorników, czyli mierniczych powiatowych.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny, albo *jenerał*, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty, etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo, że za jastrzębiem drobne ptastwo, szczególnie jaskółki tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie: latać jak za rarogiem.

Że Bonaparte czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Asesora z Rejentem wzmogła się uparta.

Asesorowie składają policją ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczani od rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie apelacyjni zowią się także Asesorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelaryą; dekretowi piszą wyroki; wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Co by rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda nowogródzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz, ostatni Pisarz W. Ks. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasińskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnót i patriotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Woźny pas mu odwiązał, pas słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowi i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, w której spisywano nazwiska stron procesujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć taką wokandę.

Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektoryatowi zdobyte chorągwie.

Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Książę Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w San-Domingo, i cała prawie legia tam zginęła. W emigracji jest kilku weteranów pozostałych z owej nieszczęsnej wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

I w organ i w rozliczne instrumenta grała.

W dawnych zamkach stawiano na chórach organ.

I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka, podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny, są to wielkie statki na Niemnie, którymi Litwini prowadzą handel z Prusami, splewając zboża i biorąc w zamian za nie towary kolonialne.

Książę Dominik, kiedyś z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francji. Na nim zgasła linia męska Książąt na Ołyce i Nieświeżu, największych panów w Polsce a zapewne i w Europie.

... z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie narodowej za Kościuszki. Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*,  
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna o grzybach, wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W téj pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

... Nasz Malarz Orłowski.

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł niedawno w Petersburgu.

Dwie pijawki:  
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierza, szczególnień niedźwiedzia.

*Sprawnik*, albo *kapitan sprawnik*, naczelnik policji ziemskiej; *Strapczy*, rodzaj prokuratora rządowego. Urzędnicy ci, mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkim są obrzydzeniu u obywateli.

Ukołtysany, marzył o wielku żelaznym.

Podług tradycyi, Wielki Książę Gedymin miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego: przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Czy żyje wielki Baublis...

W powiecie Rosińskim, w majątności Paszkiewicza, Pisarza Zińskiego, rósł dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdys w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniętego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności litewskich.

Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?

Niedaleko fary nowogródzkiej rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

... wszak ów dąb gađuła

Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Obacz Goszczyńskiego *Zamek Kaniowski, poema.*

Kołomyjek z Halicza...

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

... znał się dobrze na handlu zbożowym,

Na wycinnym .

Ob. przyp. na str. 290, w. 1.

Miejsce zwane *Pokuciem*...

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd Rosyane zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa, którego chce uczcić.

Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kablak skrzywi,

Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze, zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy ornitologowie.

Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości.

Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście niema przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

A co? fuzyjka moja? Niewielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy z takich fuzyi ptaka w lot trafiają.

Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej bywają na dnie listki złota.

... taki ziemi kawał,  
Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznać na pasy skórę wołową i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Eneidzie, ale zapewne w komentarzach Scholastów.

Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z Konopi.

Raz na sejmie poseł Filip, ze wsi dziedzicznej Konopie, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materyi, że wzbudził śmiech powszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie: wyrwał się jak Filip z Konopi.

N. B. — Niektóre miejsca w księdze czwartej są pióra STEFANA WITWICKIEGO.

#### ZAŚCIANEK.

Nazywają w Litwie okolicą lub zaściankiem osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli siół: osad wiejskich.

On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczywnu owsianego, płócze się wodą, aż póki nie oddzielią się wszystkie cząstki mączne; stąd przysłowie.

... Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, rozkazywał zatykać w każdej parafii drąg wysoki z uwiązaną na wiérczu miotłą czyli wicią: i to się nazywało *rozdać wici*. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był pod utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew wojewódzką.

Brała różne przydomki, zwane *imioniska*.

Imioniska są właściwie sobrykiety.

Bronić Pana Pocięja...

Aleksander hrabia Pocięj, wróciwszy po wojnie do Litwy, wspierał rodaków udających się za granicę i znaczne sumy przesłał do kasy Legionów.



Nieco wyżej, *Dawida Wóz*, gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstelacya zwana u astronomów *Ursa major*.

Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele  
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajduwane za-  
bytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Był to *kometa* pierwszej wielkości i mocy.

Pamiętny kometa roku 1811.

Ksiądz Poczobut człek sławny, był obserwatorem.

Ksiądz Poczobut ex-jezuita, sławny astronom, wydał dzieło  
o Zodyaku w Denderach, i obserwacyami swymi pomógł Lalandowi  
do obrachowania biegów księżyca. Obacz: *Żywot* przez Jana  
Sniadeckiego.

W świecie Księcia, był książę niemiecki Denassów.

Właściwie książę de Nassau-Siegen, sławny podówczas wo-  
jownik i awanturnik. Był admirałem moskiewskim i pobił Turków  
na Lemanie, potem sam na głowę pobity od Szwedów. Bawił  
czas jakiś w Polsce, gdzie otrzymał indygenat. Pojedynek księcia  
de Nassau z tygrysem brzmiał wówczas po wszystkich gazetach  
europejskich.

A czy Sędzia, rzekł Major, *Żółtą księgę* czytał?

*Żółta księga*, od okładek tak nazwana, księga barbarzyń-  
ska praw wojennych rosyjskich. Nieraz, w czasie pokoju, rząd  
ogłasza prowincye całe za będące w stanie wojny, i na mocy *Żół-  
tej księgi* oddaje dowódcy wojskowemu zupełną władzę nad ma-  
jątkami i życiem obywateli. Wiadomo, że od roku 1812 aż do  
rewolucyi, Litwa cała podlegała *Żółtej księdze*, której egzekuto-  
rem był Wielki Książę Carewicz.

Ciągnie za sobą długie, sążniowate drzewo,  
Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatruje się młody  
dąb, i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miaz-  
gę rozerznawszy, drzewo zlekka poranić. W te karby wtykają się  
ostre krzemienie, które z czasem wrastają w drzewo i tworzą  
guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną  
broń piechoty litewskiej; dotąd używają się niekiedy i zowią się  
*nasiekami*.

I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,  
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki,

Po powstaniu Jasińskiego, kiedy wojska litewskie ustępowały ku Warszawie, Moskale zbliżyli się do opuszczonego Wilna. Jenerał Dejów, na czele sztabu, wjeżdżał przez Ostrą Bramę. Ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin, spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku, kartaczami nabił, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalał wówczas Wilno. Jenerał Dejów z kilku oficerami zginął; reszta, lękając się zasadzki, odstąpiła od miasta. Niewiem z pewnością nazwiska onego mieszczanina.

Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Bywały później jeszcze zajazdy, lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośne i krwawe. Około roku 1817 obywatel U... w Województwie Nowogródzkim, pobił na zajęździe cały garnizon nowogródzki i dowódców zabrał w niewolę.

Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsisz-Ilów.

Zapewne Preussich-Eylau.

Targowiczanie potem chcieli mnie zaszczyścić.

Zdaje się, że Stolnik zabity został około roku 1791, za czasów pierwszej wojny.

Wróżby wiosenne.

Jeden historyk rosyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przeczucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812 r.

Nie biegło na ruń...

*Ruń*, jest to zieleniejąca się ozimina.

Wszyscy na północ. Rzeklibyś, że wozczas z wyraju.

*Wyraj*, w mowie gminnej, znaczy właściwie czas jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj, jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud *wyrajem* kraje ciepłe, i w ogólności jakieś kraje bajeczne, szczęśliwe, za morzami leżące.

Księga ta miała tytuł: *Kucharz doskonały*.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stukilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił.

Opisywano wielokroć i malowano owę Legacyą Rzymską. Ob. *Kucharz doskonały*, przemowa: „Ta legacya wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozumie nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu... że jeden z książąt Rzymskich rzekł: „Dziś Rzym szczęśliwy, mając takiego Posła“. — N. B. Czerniecki sam był kuchmistrem Ossolińskiego.

Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.

W Litwie, za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich, zawiązano w województwach Konfederacye i obrano posłów na Sejm.

On to pod Hohenlinden...

Wiadomo, że pod Hohenlinden korpus polski pod dowództwem Jenerała Kniaziewicza zdecydował wygraną.

Jest podanie, że książę Radziwill-Sierota.

Radziwill-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacyi swojej do Ziemi Świętej.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił.

W szesnastym i na początku siedmnastego wieku, w epoce kwitnienia scen, uczyły nawet były przez artystów urządzone, pełne symbolów i scen teatralnych. Na sławnej uczcie, danej w Rzymie dla Leona X, znajdował się serwis przedstawiający z kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwillowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około wieku XVIII; w Polsce najdłużej przetrwały.

Czy to Pinety panu dał w służbę swe bisy.

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz; kiedy u nas gościł, nie wiemy.

Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,  
Co żonę przegrał grając w maryasza z Moskałem.

Znajoma na Litwie pieśń żalсна o pani Cybulskiej, którą mąż w karty przegrał Moskałom.

Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebierania się w suknie francuskie grasowała na prowincjach od roku 1800 do 1812. Najwięcej młodzieży przebrało się przed ożenieniem na żądanie narzeczonych.

## I o kłótni Rejtana z księżciem Denassów.

Historya sporu Rejtana z księżciem de Nassau, przez Wojskiego niedoprowadzona do końca, wiadoma jest z tradycyi. Umieszczamy koniec jój kwoli ciekawemu czytelnikowi. Rejtan, obruszony przechwałkami księcia de Nassau, stanął obok niego na przesmyku. Właśnie ogromny odyniec, rozjuszony strzałami i szczwałnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrывa księżciu z rąk strzelbę, swoją ciska o ziemię, a ujawszy oszczep i podając drugi Niemcowi: „teraz, rzekł, obaczym kto lepiej robi spisą.“ Już odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha, opodal stojący, trafnym strzałem zwierza powalił. Panowie zrazu gniewali się; potem pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

Kiedy pan Karp nieboszczyk włościan wyswobodził.

Rząd rosyjski nie uznaje ludzi wolnych, prócz szlachty. Włościanie przez właściciela uwolnieni, są zaraz zapisywani w skazki dóbr stołowych cesarskich, i zamiast pańszczyzny muszą opłacać podatek zwiększony. Wiadomo, że w roku 1818, obywatele gubernii Wileńskiej uchwalili na sejmiku projekt uwolnienia wszystkich włościan, i wyznaczili w tym celu delegacye do Cesarza; ale Rząd rozkazał projekt umorzyć i nigdy o nim więcej nie wspominać. Niema innego sposobu uwolnić człowieka pod rządem rosyjskim, tylko przybrać go do familii. Jakoż wielu tym sposobem uszlachcono z łaski lub za pieniądze.

---

WARYANTY.







Utwór ten, w początkowej swojej redakcyi miał nosić tytuł „Żegota,“ i dopiero później, w ciągu dalszego pisania, zmienił go Autor na „Pana Tadeusza“, któremu dał był nazwisko „Saplica“, lecz na uwagę zrobioną mu że na Litwie jest familia szlachecka Sapliców, przemienił je na „Soplica“. Jak wielką wagę przywiązywał Mickiewicz do tego dzieła, świadczy list Ignacego Domeyki do syna poety, pisany z Santiago 25 kwietnia 1875 r., w którym donosi między innymi: „Codzień prawie bywałem u niego kiedy pisał Pana Tadeusza i zawsze z uśmiechem, ze spokojem, wesółm spojrzeniem witał mię i rozmawiał o kraju, o gościnności, szlacheckim życiu i obyczaju na Litwie. Nieraz powtarzał mi: — Panie Ignacy, jeśli kiedy umyślą postawić mi jaki pomnik w Nowogródku, to za nic innego jak za Pana Tadeusza“.

Oto niektóre głównejsze waryanty z pierwotnego manuskryptu, który w przepisywaniu uległ wielu zmianom.

## ŻEGOTA.

(Według rękopisu z którego kilka kart znajduje się w posiadaniu Ignacego Domeyki; część z tego rękopisu posiada także pan Falkenhagen-Zaleska. Autograf »Pana Tadeusza« własnoręcznie przez Autora przepisany i poprawiony, jest obecnie własnością Hr. Stanisława Tarnowskiego w Krakowie.)

Ojczyzno, Litwo moja, ty jesteś jak zdrowie,  
Ileś sercu potrzebna, ten tylko się dowie  
Kto cię stracił, dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i chcę opiewać, bo tęsknię po tobie.

Panno Święta, co jasnój bronisz Częstochowy  
I w Ostrój świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogródzki, ochraniasz z jego wiernym ludem,  
 Jakaś mnie dziecku zdrowie powróciła cudem,  
 Gdym do płaczącej matki, pod Twoją opiekę  
 Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,  
 I wkrótce mogłem pieszo do Twych świątyń progę  
 Iść za wrócone życie podziękować Bogu:  
 Tak mię powrócisz cudem na ojczyzny łono.  
 Tymczasem, przenoś moją duszę utęsknioną  
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;  
 Do tych pól malowanych kwieciami rozmaitem,  
 Wyzlaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem;  
 Gdzie mleczne kwitną grochy, i gdzie jak śnieg biała  
 Gryka, rumiane kręgi dziecielin oblała,  
 A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą  
 Zieloną, na niej zrzadka drzewa ciche siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,  
 Na pagórku niewielkim, przy jodłowym gaju,  
 Stał dwór szlachecki, stary, lecz podmurowany;  
 I świeciły się zdala pobielane ściany,  
 Tém bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
 Topoli, dom broniących od wiatrów jesieni.  
 Dom niewielki wprawdzie, lecz zewsząd chędogi,  
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi  
 Użatku, co pod dachem zmieścić się nie może.  
 Widać, że okolica obfita we zboże,  
 I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszecz smugów  
 Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów  
 Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru,  
 Czarnoziemne i wszystkie należne do dworu,  
 Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek,  
 Że we dworze dostatek mieszka i porządek.  
 Bez parkanów, bez bramy przechodniom ogłasza  
 Że gościnnie i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie teraz dwukonna bryka zajechała,  
 I obiegłszy dziedziniec przed gankiem została.  
 Wysiadł podróżny, konie porzucone same  
 Szcypiąc trawę, powoli podeszły pod bramę  
 We dworze pusto, bo drzwi do ganku zamknięte

Zaszczépkami i kolkiem zaszczéпки zatknięte.  
 Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,  
 Odemknął, wbiegł do domu, bo chciał dom powitać.  
 Dawno domu nie widział, bo w dalekiém mieście  
 Kończył nauki: końca doczekał nareście.  
 Wbiega, i okiem chciwie ściany starodawne  
 Ogląda czule, jako swe znajome dawne.  
 Też same widzi sprzęty, też same obicia,  
 Z którymi się zabawiać przywykł od powicia.  
 Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdaly.  
 I też same portrety na ścianach wisiały:  
 Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma  
 Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma,  
 Jakim był gdy na wózku wjechał do Krakowa,  
 I zaprzysiągł w kościele, że szabli nie schowa,  
*Dopóki nie wypędzi z Polski trzech despotów,<sup>1)</sup>*  
 Póki nie wygna z Polski królów wszystkich razem,  
 Lub sam trupem nie padnie. Tu z męskim wyrazem  
 Rejtan wąsaty: owdzie na rumaku dzielnym  
 Książę Józef, rażony postrzałem śmiertelnym.  
 Nawet stary stojący zegar kurantowy  
 W drewnianój szafie, poznał u wnijścia alkowy,  
 I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,  
 By dawny Dąbrowskiego postyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,  
 Gdzie mieszkał dzieckiem będąc przed dziesięciu laty.  
 Wchodząc, cofnął się, toczył zdumione źrenice  
 Po ścianach; w téj komnacie mieszkanie kobiéce.  
 Któżby tu mieszkał? Jego stryj był nie żonaty,  
 A siostra na folwarku siedziała przed laty.  
 To nie był pokój ciotki. Stoi fortepiano,  
 Na nim nóty i książka. Wszystko porzucano  
 Niedbale i w bezładzie, nieporządek miły,  
*I te rzucone książki bardzo go bawiły,*  
 Niestare były rączki co je tak rzuciły.

<sup>1)</sup> Wiersze drukowane w tym ustępie *kursywo* są przez autora w rękopisie przekreślone lub zastąpione innymi. Pomniejsze poprawki lub przekreślenia poszczególnych wyrazów, opuszczamy. (P. W.)

Tuż i sukienka biała świeżo z kołka zdjęta,  
*Jak gdyby do ubrania na krzesła . . . . .*  
 Do ubrania na krzesła poręczu rozpięta.  
 A na oknach donice z pachnącymi ziołki:  
 Gieranjum, lak, lewkonja, astry i fijołki.  
 Podróżny stanął w jedném z okien, nowe dziwo:  
 W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą,  
 Był maleńki ogródek ścieżkami przerznity,  
 Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty;  
 Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek,  
 Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.  
 Grządki widać że były świeżo polewane,  
 I stało pełne wody naczynie blaszane.  
*Jeszcze chwiałały się świeżo odemknięte drzwiczki,*  
 Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki,  
 Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki  
 Świeżo tracone: blisko drzwi ślad widać nożki,  
 Na piasku, bez trzewiczka była i pończoszki,  
*Na żółtym, drobnym piasku . . . . .*  
 Na piasku drobnym, suchym i bielszym od śniegu  
 Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu  
 Szybkim, był zostawiony nóżkami drobnymi  
 Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,  
 Wonnymi powiewami wiatru oddychając,  
 Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,  
 Oczyma ciekawymi po dróżynach gonił,  
 I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,  
 Myślał o nich i czyje były odgadywał.  
 Przypadkiem oczy podniósł i tuż na parkanie  
 Stała młoda dziewczica; białe jój ubranie,  
 Jakie Litwinka tylko zwykła nosić z rana,  
 W jakim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana,  
 Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
 Oslaniając ramiona i łabędzią szyję,  
*Lecz choć nikt się nie patrzył . . .*  
 Lecz choć świadka nie miała, założyła ręce  
 Na piersiach, przydawając zasłony sukience.  
 Włos w pukle nierozwiany, lecz w węzełki małe



Pokręcony, schowany w drobne różki białe,  
 Dziwnie ozdabia głowę, *bo od blasku słońca*  
*Zachodniego, zdała się w promieniach błyszcząca,*  
 . . . . . *bo od słońca blasku,*  
 Świeciła jako skronie świętych na obrazku.  
 Twarzy nie było widać; zwrócona na pole,  
 Szukała kogoś okiem daleko, na dole,  
 Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,  
 Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie,  
 I wionęła ogrodem przez płotki i kwiaty,  
 I po desce opadłój na oknie komnaty,  
 Nim spostrzegł się podróżny już wpadła dziewica,  
 Jasno, lekko i cicho jak światło księżyca.  
*Oparł się o ścianę komnaty . . . . .*  
*Nim się spostrzegł wleciała przez okno, świecąca,*  
*Nagła, cicha i lekka, jako blask miesiąca.*  
 Nucąc chwyciła suknię, biegła do zwierciadła,  
 Wtém ujrzała młodzieńca, i z rąk jój wypadła  
 Suknia, a twarz od dziwu i strachu pobladła.  
 A twarz młodzieńca barwą spłonęła rumianą,  
 Jak obłok, gdy z jutrzeńką napotkał się rano.  
 Skromny młodzieniec oczy rękami zasłonił,  
 Chciał coś mówić, przeproszać, tylko się uklonił  
 I cofnął się. Dziewica krzyknęła boleśnie,  
 Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie.  
 On przeląkł się i spojrział, lecz już jój nie było.  
 Wyszedł zmieszany i czuł że mu serce biło  
 Głośno, i sam nie wiedział czy go miało śmieszyć  
 To dziwaczne spotkanie, czy wstydzic, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności  
 Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.  
 Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano  
 Jako w porządnym domu i obrok i siano,  
 Bo Sędzia nigdy nie chciał wedle nowój mody,  
 Odsyłać konie gości żydom do gospody.  
 Słudzy nie weszli witać, ale nie myśl wcale  
 Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Słudzy czekają nim się pan Rotmistrz <sup>1)</sup> ubierze,  
 Który teraz w salonie zastawia wieczerę,  
 On pana zastępuje i on w niebytności,  
 Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości,  
 Daleki krewny pański i przyjaciel domu.  
 On z sali do folwarku wyszedł pokryjomu,  
 Bo nie mógł gościa witać w tkackim pudermanie,  
 Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie  
 Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,  
 Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.  
 Strukczaszy poznał zdala, ręce rozkrzyżował  
 I z krzykiem podróznego ścisnął i całował.  
 Zaczęła się ta prędką, zmieszana rozmowa,  
 W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa,  
 Krótkie i poplątane *ciągami pytań, badań,*  
*Okrzyków, wykrzykników, westchnień,* w ciąg powieści pytań,  
 Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.  
 Gdy się Strukczaszy dosyć napytał, nabadał,  
 Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

Dobrze nam, Tadeuszu, (bo tak nazywano  
 Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano,  
 Na pamiątkę że w czasie wojny się urodził):  
 Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził  
 Do domu, w imieniny stryja i w niedzielę,  
 Tém większe staruszkowi sprawimy wesele,  
 I sam się uweselisz. U nas goście liczni,  
 Od dni kilku już bawią sędziowie graniczni,  
 Dla skończenia dawnego z panem Hrabią sporu.  
 I *sam* Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu.  
 Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami,  
 Młodzież poszła bawić się do lasu strzelbami,  
*A sędzia stryj . . . . .*  
 A starzy z kobietami żniwo oglądają  
 Pod lasem, i tam pewnie myśliwych czekają.  
 Pójdziemy jeśli zechcesz i wkrótce spotkamy  
 Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.

<sup>1)</sup> W rękopisie raz Rotmistrz, to znów Strukczaszy, którego w ostatecznej redakcyi przeobraził Autor we Wojskiego. (P. W.)

Pan Rotmistrz z Tadeuszem idąc pod las drogą,  
 I jeszcze się dowoli nagadać nie mogą.  
 Słońce ostatnich brzegów nieba dochodziło  
 Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło,  
 Całe zaczerwienione jak zdrowe oblicze  
 Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze  
 Na spoczynek powraca. Już krąg płomienisty  
 Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty,  
 Napęlniając wierzchołki i gałęzie drzewa,  
 Cały las w jedną wielką, czarną górę zlewa,  
 Góra coraz ciemnieje i zda się być skałą,  
 A słońce na jej wierzchu jak lampa gorzało,  
 I zapadło do głębi; jeszcze przez konary  
 Błysnęło jako świeca przez okienne szpary  
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dźwięczące  
 We zbożach, i grabliska suwane po łące  
 Ucichły i stanęły. Jak pan Sędzia każe,  
 U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.  
 „Pan świata wie jak długo pracować potrzeba,  
 Słońce, jego robotnik, kiedy zejdzie z nieba,  
 Czas i ziemianinowi ustępować z pola.“  
 Tak zwykł mawiać pan Sędzia, a Sędziego wola  
 Była ekonomowi pocziwemu świętą;  
 Bo nawet wozy w które już składać zaczęto  
 Kopy żyta, niepełne jadą do stodoły:  
 Cieszą się z nadzwyczajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,  
 Weszło, lecz w porządku. Naprzód dzieci małe  
 Z dozorcą. Potem stary Podkomorzy z Sęstwem,  
 Wiodąc żonę pod rękę, otoczon rodzeństwem.  
 Panny nieco opodał, a młodzież na boku,  
 Panny szły zawsze przodem o jakie pół kroku,  
 Z tyłu strzelce z flintami. Nikt tam nie rozprawiał  
 O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał,  
 A każdy mimowolnie porządku pilnował,  
 Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,  
 I nigdy nie pozwalał by chybiono względu  
 Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu.  
 Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,

Z jego upadkiem domy i narody giną.  
 Więc do porządku wykli domowi i słudzy;  
 I przyjezdny gość, krewny, albo człowiek cudzy  
 Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,  
 Przyjmował zwyczaj którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego z synowcem witania:  
 Dał mu poważnie rękę do pocałowania,  
 I w skroń pocałowawszy uprzejmie pozdrowił.  
 A choć przez wzgląd na gości nie wiele z nim mówił,  
 Widać było z łez które wylotem kontusza  
 Otarł pędko, jak kochał pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru  
 I z łąk i z pastwisk razem wracało do dworu:  
 Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy  
 I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy  
 Stado cielic tyrolskich z mosiężnymi dzwonki,  
 Tam konie rżące pędzą ze skoszonej łąki,  
 Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa  
 Raz wraz skrzypi i napój w koryto rozlewa.

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,  
 Niechybił gospodarskiej ważnej powinności,  
 Udał się sam ku studni. Najlepiej z wieczora  
 Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,  
 Dozoru tego nigdy sługom nieporuczy,  
 Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Pan Rotmistrz z Woźnym stali ze świecami w sieni,  
 I żywo rozprawiali nieco poróżnieni,  
 Bo w niebytność Rotmistrza Woźny pokryjomu,  
 Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,  
 I ustawić coprędzej pośrodku zamczyska,  
 Którego widać było pod lasem zwaliska.  
 Pocóż te przenosiny? Pan Rotmistrz się skrzywił,  
 I przeproszał Sędziego. Sędzia się zadziwił.  
 Stało się już; i późno i trudno zaradzić,  
 Wolął gości przeprosić i w pustki prowadzić.

Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył  
 Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył.  
 We dworze żadna izba niéma obszerności  
 Dostatecznej, dla tylu tak szanownych gości.  
 W zamku sień *wielka jeszcze* . . . . .  
 . . . . . jeszcze dobrze zachowana,  
 Sklepienie całe. Wprawdzie pękła jedna ściana,  
 Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi,  
 Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.  
*Mówiąc kto* . . . . .  
 Tak mówiąc, na Sędzię mrugał; widać z miny  
 Że miał i tań inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,  
 Okazały budową, poważny ogromem,  
 Puścizna starożytnej rodziny Orzeszków. <sup>1)</sup>  
 Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszeków;  
 Część dóbr spadła dalekim krewnym po kądzieli,  
 Większą część rozdzielono między wierzycieli,  
 Zamku żaden wziąć niechciał *bo mury w złym stanie*,  
 . . . . . bo w szlacheckim stanie  
 Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie.  
 Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki  
 Panicz bogaty, krewny Orzeszków daleki,  
 Przyjechawszy ze szkół, upodobał mury,  
 Tłumacząc, że gotyckiej są architektury,  
 Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem  
 Że architekt był z Wilna majstrem, nie zaś Gotem,  
 Dość że Hrabia chciał zamku. Właśnie i Sędziemu  
 Przyszła nagle też chętka niewiadomo czemu.  
 Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównych sądach,  
 W senacie, znowu w ziemstwie, i w guberskich rządach,  
 Wreszcie po wielu kosztach i ukazach licznych,  
 Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał że w zamkowej sieni,  
 Zmieszczą się i palestra i goście proszeni.

1) W późniejszym opracowaniu zamiast Orzeszków, występują Horeszkowie. Nie zawadzi przypomnieć tu, że matka poety była Orzeszkówna z domu.



Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem  
 Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,  
 Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi.  
 Sterczały w koło sarnie i jelenie rogi,  
 Z napisem czyją ręką łupy te zdobyte;  
 Tuż zwycięzców nazwiska i herby wyrte.  
*Herb Orzeszków, Półkozic na samém sklepieniu*  
*Krzyż . . . . .*  
*I każdy wyrażony stoi po imieniu,*  
*Półkozic na samém sklepieniu.*

Goście weszli w porządku i stanęli kołem,  
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem.  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc, kłaniał się damom, starcom i młodzieży.  
 Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy bernardynie,  
 Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,  
 Mężczyznom dano wódkę. Wtenczas wszyscy siedli  
 I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,  
 Wysoko siadł przy damach obok jegomościa.  
 Między nim a stryjaszkiem jedno pozostało  
 Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.  
 Stryj nieraz na to miejsce i na drzwi poglądał,  
 Jakby czyjgoś przyjścia był pewny i żądał.  
 A Tadeusz wzrok stryja do drzwi odprowadzał  
 I znów na miejscu pustém oczy swe osadzał.  
 Dziwna rzecz, miejsca w koło są siedzeniem dziewic  
 Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,  
 Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna;  
 Tadeusz tam pogląda gdzie nie siedzi żadna.  
 To miejsce jest zagadką, — młódź lubi zagadki, —  
 Roztargniony, choć obok nadobnej sąsiadki,  
 Ledwie kilka słów wyrzekł do podkomorzanki.  
 Nie zmienia jój talerzów, nie doléwa szklanki,  
 I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,  
 Z których by wychowanie poznały stołeczne.  
 To jedno miejsce puste nęci go i mami;  
 Tuż nie puste, bo on je napełnia myślami.

Z tego miejsca wybiegło domysłów tysiące,  
 Jako po deszczu żabki na samotnej łące;  
 Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę  
 Róża jezior, skroń białą wznosząca nad wodę.

Tadeusz przypominał jak wszedł do komnaty  
 Pustej, jak to siedzenie, i patrzył przez kwiaty,  
 Jak przez głowy sąsiadek patrzył w okna sadu,  
 Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu,  
 Pamiątki zostawionej po prześlicznej nóżce,  
 Co głębiej w myśl utkwiała niż w piasek na dróźnie  
 I nie śmiał oczu podnieść do góry, był pewny  
 Że ujrzy na filarze jej ubiór powiewny:  
 Włos skręcony i w białe obwiniony strączki,  
 I na piersiach odkrytych skrzyżowane rączki.

Dano trzecią potrawę. Wtén pan Podkomorzy  
 Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Roży,  
 A młodziej przysunawszy z talerzem ogórki  
 Rzekł: muszę ja wam służyć moje panny córki  
 Choć stary i niezgrabny. Zatém się rzuciło  
 Kilku młodych od stołu i pannom służyło.  
 Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza,  
 I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,  
*Wąs pokręcił i rzekł.*

Nalał węgryna i rzekł: dziś nowym zwyczajem  
 My na naukę młodzież do stolicy dajem,  
 I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki  
 Więcej od starych mają książkowej nauki;  
 Ale codzién postrzegam jak młódź cierpi na tem,  
 Że niéma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.  
 Dawniej na dwory pańskie jechał szlachcic młody, —  
 Ja sam lat dziesięć byłem dworskim wojewody,  
 Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,  
 To mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana,  
 On mnie radą do usług publicznych sposobił,  
 Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.  
 W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,  
 Codzién za jego duszę modłę się do Boga.  
 Jeżeli tyle w jego nie skorzystał dworze

Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,  
 Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,  
 Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,  
 Przynajmniej tom skorzystał że mi w moim domu  
 Nikt nigdy nie zarzuci żem ubliżył komu.

Teraz inne zwyczaje, lecz ja powiem śmiało:  
 Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą;  
 Nie łatwą, bo nie na tęp kończy się jak nogą  
 Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo:  
 Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka,  
 Ale nie staropolska ani też szlachecka.

Grzeczność wszystkim należna, lecz każdemu inna,  
 Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,  
 I względ męża dla żony przy ludziach, i pana  
 Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.

Trzeba poznać każdego imię, urodzenie,  
 Obyczaje, zasługi, urząd i znaczenie.

*Grzeczność jest strój, my wszyscy chodzimy we stroju,  
 Lecz innym do kościoła, na sejm lub do boju.*

Trzeba się długo uczyć ażeby nie zbłądzić,  
 I każdemu należną uczciwość wyrządzić.

I starzy się uczyli. U panów rozmowa

Była to historia żyjąca, krajowa,

A między szlachtą dzieje domowe powiatu;

Dawali przez to poznać szlachcicowi bratu

Że szlachta wie i o nim, lekce go nie waży,

I szlachcic znał swą wartość i miał się na straży.

Dziś człowieka nie pytaj co zacz, kto go rodzi,

Z kim żył i co porabiał? bo uczeni młodzi

*Mówią, dosyć jest wiedzieć jak kto gada, chodzi,*

*Ażby się z nim naraz . . . . .*

Mówią, że to rozumnych wcale nie obchodzi

Kto jest, byle nie głupi i byle nie w nędzy.

Zaś że kto dobrze gada i że wyszedł z nędzy

Jak ów Wespazyanus nie wachał pieniędzy,

I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów.

Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów,

Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,

Więc przyjaciół szanują jako pieniądz żydzi.

Tak mówiąc Sędzia gości obejrzał porządkiem,  
 Bo choć zawsze i pięknie mówił i z rozsądkiem,  
 Wiedział że niecierpliwa młodzież terazniejsza  
 Ze ją nudzi rzecz długa, choćby najważniejsza,  
 Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem.  
 Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem;  
 Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,  
 Ale częstym skinieniem głowy potakiwał.  
 Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał  
 I dalej mówił.

Grzeczność nie jest rzeczą małą,  
 Kiedy się człowiek uczy ważyć jak przystało  
 Wiek, urodzenie, urząd, cnoty, obyczaje,  
 Wtenczas i własną ważność *powoli* zarazem poznaje.  
 Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,  
 Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.  
 Pamiętacie waćpaństwo jak tu z za granicy  
 Przyleciał Marszałkowicz. W naszej okolicy  
 Pan najpierwszy i ojca szanownego dziecię,  
 Przystojny, pelen nauk, bywalec na świecie,  
 Wszyscy za nim latali, jakby za rarogiem;  
 Zazdroszczono domowi, przed którego progiem  
 Marszałkowicza koczyk stanął z koni czwórką,  
*Uprzęży petersburskiej i z furmanem Jurką.*  
 Ekonom ojca jego, nieboszczyk pan Łojko,  
 Wstydziałby się zajeżdzać dryndulką tak małą;  
 Lecz Marszałkowicz nazwał swój kocz „damą białą.“  
 Z tyłu zamiast lokaja, wziął kusego pieska,  
 A na kozłach niemczysko wychudłe jak deska.  
 Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,  
 W pończochach, ze srebrnymi sprzączkami trzewiki,  
 I peruka z ogonem, uwiązanym w miechu.  
 My starzy patrząc na to, pękali od śmiechu,  
 A chłopci żegnali się, mówiąc: że w powiecie  
 Jeździ niemiecki djabeł w weneckiej karecie.  
 Wszakże, młodzieży przypadł ten djabeł do smaku!  
 Brali sobie do sukien wzory z jego fraku;  
 A damy uczyły się grymasów, ukłonów,  
 Konceptów przywiezionych z paryskich salonów.

*Ja zaraz weneckiego pana przeżegnałem krzyżem,  
 Z jego ukłonem i mową pachnącą Puryżem.  
 Ja zaś mówiłem, że ten człowiek niedorzeczny  
 Zle skończy: a wnosilem stąd, że był niegrzeczny.  
 Ciągłe tęsknił w ojczyźnie, nie mógł znaleźć ludzi,  
 Nie miał z kim żyć, powtarzał, że się na śmierć nudzi.  
 Przedrwiwał najzacniejsze kobiety w powiecie,  
 Bo prostaczki, na wielkim nie bywały świecie,  
 Trudno z nimi rozmawiać, nie podobna bawić,  
 Nie umiały go dosyć ocenić i sławić...  
 A wiecież jak on skończył? Poznał się z otyłym  
 Żydem Ickiem, bankierem z Królewca przybyłym.  
 Siostra szachraja, dziewczka długa i dzióbata,  
 Niepiękna i niemłoda, nawet niebogata,  
 Lecz ówik baba: umiała przyłudzić młodzików,  
 Plotąc, jak opętana, dziesięcią języków;  
 Wojewodzie <sup>1)</sup> przysięgał, że czystym mówiła  
 Akcentem, jak gdyby się na bruku rodzila  
 W Paryżu. Owóż wkrótce popadł w babie szpony,  
 Jest już w pół zrujnowany i w pół ożeniony,  
 Lecz jak go djablem zwano tak zginął od krzyża  
*Przecież choć djablem zwany zbawił go znak krzyża.*  
 Bo konie jego pewnie przybyłe z Paryża,  
 I nie znające znaków męki chrześcijańskiej,  
 Złękły się na rozstajnej drodze męki Pańskiej,  
*Białą damę, z żydówką czarną wniosły w rzekę,*  
 Wniosły w rzekę kocz z panią i ze swatem.  
 Odetchnął Sędzia, potem zaczął: a zatem —  
 Co był znak że przychodzi już do wniosku mowy:  
 Razem na Tadeusza rzucił wzrok surowy;  
 Zląkł się bardzo synowiec. Wtém z potrawą czwartą  
 Podszedł lokaj, i z trzaskiem boczne drzwi otwarto.*

Weszła nowa osoba przystojna i młoda.  
 Jój zjawienie się nagle, jój wzrost i uroda,  
 Jój ubiór, nie zdziwiły nikogo na sali  
 Prócz Tadeusza; widać że ją wszyscy znali.  
 Kibić miała wysmukłą, kształtną i powabną,

<sup>1)</sup> W autografie raz Marszałkowiec to znów Wojewodzie. (P. H.)



Suknię materyalną różową, jedwabną,  
 Gors wycięty, kołnierzyk z koronek, rękawki  
 Krótkie, a w ręku kręci wachlarz dla zabawki,  
 Bo nie było gorąco. Wachlarz pozłocisty,  
*Który więcej . . . . . złotem błyska,*  
*Przy świecach powiewając deszczem iskier ciska.*  
 Powiewając rozlewał deszcz iskier rześisty,  
 Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,  
 W pukle i przewinione różowymi wstęgi.  
 Śród nich szpilka z brylantem zakryta od oczu,  
 Świeciła się jak gwiazda w komety warkoczu,  
 Słowem ubiór galowy. Szeptali niejedni  
 Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.  
 Nóżek z pod długiej sukni oko nie obaczy,  
 Biegła szybko do stołu, suwała się raczej  
 Jako osobki, które na trzykrólskie święta  
 Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.  
 Biegła, i wszystkich lekkim witając ukłonem,  
 Chciała usiąść na miejscu sobie zostawionem.  
 Trudno było, bo krzeseł dla gości nie stało,  
 Na czterech ławkach, cztery rzędy ich siedziało.  
 Trzeba było rząd ruszyć lub ławy przeskoczyć.  
 Zręcznie między siedzenia umiała się wtłoczyć,  
 A potem między rzędem siedzących a stołem,  
 Jak bilardowa kula toczyła się kołem.  
 W biegu dotknęła blisko naszego młodziana,  
 Zaczepiła falbaną o czyjeś kolana,  
 Pośliznęła się nieco i w tém roztargnieniu,  
 Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu,  
 Przeprósiwszy go potem na swém miejscu siadła  
 Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła  
 Tylko się wachlowała, lub wachlarza trzonek  
 Kręciła, to kołnierzyk z brabantkich koronek  
 Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki  
 Muskiała włosów pukle i wstęg jasnych pęki.

Tu przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.  
 Tymczasem w końcu stoła, naprzód ciche szmery,  
 A potem się zaczęły w pół głośne rozmowy.  
 Mężczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy;

Asesora z Regentem wzmogła się uparta  
 Coraz głośniejsza klótnia o kusego charta,  
 Którego posiadaniem Asesor się szczycił,  
 Więc utrzymywał że on zajęcia pochwycił.  
 Pan Regent zaś dowodził wbrew Asesorowi  
 Że ta chwala należy chartu Sokołowi.  
*Zwano innych na świadki . . . . .*  
 Pytano innych zdania, więc wszyscy do koła,  
 Brali stronę Kusego albo też Sokoła.

*Podkomorzy i Sędzia przy pełnym kielichu,  
 O jakiejś ważnej rzeczy mówili po cichu,  
 Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.  
 Sędzia kilka słów wyrzekł do swojej sąsiadki.  
 Sędzia na drugim końcu, do swojej sąsiadki  
 Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,  
 Niepodobna na później wieszczę odkładać,  
 Goście głodni, chodzili daleko na pole,  
 Myślałem że dziś z nami nie będziesz przy stole;  
 To rzekłszy, z Podkomorzym przy pełnym kielichu,  
 O jakimś interesie rozmawiał po cichu.*

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,  
 Tadeusz przyglądał się *nieznacznie* przybyłej osobie;  
 Dziwił się, że za pierwszém na miejsce wejściem,  
 Odgadnął zaraz czyjém miało być siedzeniem.  
 Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie,  
 Rozwiązane już widział swych domysłów tajnie;  
 Więc było przeznaczone by przy jego boku,  
 Usiadła owa piękność widziana w pomroku.  
 Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,  
 Bo ubrana, a ubiór powiększa i zmniejsza.  
 I włos u tamtój widział krótki, jasno złoty,  
 A u téj długie, krucze zwijały się sploty.  
 Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,  
 Którymi przy zachodzie wszystko się czerwieni.  
 Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła,  
 Ale myśl twarz kochanki odgadywać zwykła.  
 Myślał że pewnie miała czarniutkie oczęta,  
 Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;

U téj znalazł podobne oczy, usta, lica,  
 W wieku była by może największa różnica.  
 Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,  
 A pani ta niewiastą już w latach dojrzałą.  
*Tadeusz o te drobnostki nie pyta.*  
 Lecz młodzież o podobne drobnostki nie pyta:  
 Bo młodzieńcowi młoda jest każda kobiéta,  
 Chłopcowi każda piękność zda się równienna,  
 A niewinnemu każda kochanka dziewica.

Tadeusz chociaż liczył blisko lat dwadzieście,  
 I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, w wielkiem mieście  
 Miał wuja księdza, który mocno go pilnował,  
 I w dawnéj surowości prawidłach wychował.  
 Tadeusz zatém przywiózł w swe strony rodzinne,  
*Zdrowie dobre, wesolość i serce niewinne,*  
 Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne.  
 A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie,  
 Nazywał się Sopllica. Wszyscy Sopllicowie  
 Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,  
 Do gospodarstwa zdadni, w naukach mniej pilni. <sup>1)</sup>

Str. 28 po w. 32.

Potrzeba także wiedzieć, że on Telimienie  
 Nadskakiwał i niby kochał się szalenie;  
 Żałował więc, że dał się ułoić tak prędko;  
 Widać, że już na inną rybkę dybie z wędką.  
 Więc zbliżył się, i z wolna gładząc faworyty  
 Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:  
 „Sławna Akademię macie państwo w Wilnie:  
 Lecz z katedry o chartach nauczano mylnie,  
 Inaczéj sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,  
 I u nas na wsi. U nas jest stare przysłowie:  
 Chart bez ogona...

Str. 46, zamiast w. 26 i 27.

Niech wiedzą cudzoziemcy, że i nasze kraje  
 Zupelnie europejskie miały obyczaje!

<sup>1)</sup> Na tym ustępie kończy się rękopis będący własnością p. Ignacego Domeyki. (P. W.)

N. B. Tu w tekście, przez omyłkę zecera niepotrzebnie powtórzono dwukrotnie wiersz :

Ucywilizowane miały obyczaje.

Str. 56, po w. 16.

Podobną Janusowi, dwulicemu bogu,  
Który gdy wyrocznymi skrzypnie zawiasami,  
Krzyczą dzieci, i matki zlewają się łzami.

Str. 57, po w. 7.

Iskrzyły mu się oczy (zawždy postrzegano  
Ten blask niezwykły, kiedy o łowach gadano).  
Obiegł więc zgromadzenie ognistą źrenicą, i t. d.

Str. 59, po wierszu ostatnim.

Dalój na rydzel! Waszeć Mości Rotmistrzysko,  
Kaź wnieść stół obiadowy — tylko nie w zamczysko.

Str. 60, zamiast w. 11.

Odpozywając na niój naksztalt lampy gore.

Str. 63, zamiast w. 20. i następnych.

O ty, godna być czczoną w Pafos lub Cyterze,  
Godna, aby młodzieży pistolety, szpady,  
Walczyły o cię, by cię sławiły ballady.

Str. 80, zamiast w. 11.

Resztę wszyscy odgadli: że z cudzego lasu  
Przybył i dalej pójdzie: że nie tracąc czasu,  
Trzeba zrobić obławę, wszyscy wraz uznali.

Str. 82, po w. ostatnim.

*Tu w pierwotnym rękopisie, następuje opis politycznego stanu Litwy, zamykając, obecnie Księgę pierwszą, począwszy od: »Takie były zabawy, spory w one lata» i t. d. aż do dwóch ostatnich wierszy w ten sposób zmienionych:*

Teraz, gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze  
Gadał długo. Wychodząc, ostrzegł iż nie może  
Być na mszy obławniczej: bo jutro w niedzielę,  
Musi w parafialnym nauczać kościele;  
Potém będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,  
Lub, gdy prędko nie wrócą, szukać ich przyrzekał.

Str. 88, zamiast w. 11.

Karczma z dwóch ciał jest zrosła, jak sporysz orzecha,

Różnych od siebie, choć je kryje jedna strzecha.  
Z przodu jest jako korab, z tyłu jak świątynia.

Do str. 96, od w. 11, w rękopisie dwa następujące znajdują się warianty przy puszczy:

## I

Któż zbadał puszc litewskich przepastne krainy,  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
Myśliwiec krąży koło puszc litewskich łoża,  
Zna je ledwie po wiérczchu, ich postać, ich lice:  
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.  
Bo dalej niżli bory i podszyte knieje  
Są miejsca: bajka tylko wie co się w nich dzieje...  
Miejsca nigdy człowieka niezgwałcone krokiem,  
Jak zakłete, okryte tumanów obłokiem.  
Śród tysiąca strumieni ogromne mrowiska,  
Poplątane zielsk sieci, żmii legowiska,  
Tu i ówdzie jeziora, jako wilcze doły  
Zdradnie ukryte, zieleń zarosłe na poły,  
A głębokie tak, iż ich dna nikt nie dośledzi:  
W tych to jeziorach, mówią wszyscy, że bies siedzi.  
Woda ich brzydka śklni się jak skorupą rdzawą,  
I ciągle nakształt dymu zionie woń plugawą,  
Od której drzewa w koło trącą liść i korę:  
Złysiałe, karłowate, robaczliwe, chore,  
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,  
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą około wody, jak czarownic kupa  
Koko czarnego kotła, w którym warzą trupa.  
Dalej zaś niedostępne, niezbadane okiem,  
Leżą jary nakryte tumanu obłokiem,  
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.

Za tymi tumanami, jak wieść niesie głucha,  
Ciagnie się bardzo piękna, żyzna okolica,  
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.  
Tam są złożone wszystkie drzew i ziół nasiona,  
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.  
Tam, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu  
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.



Te pary, królujące i patryarchalne,  
 W jądrze puszczy ukryte, ludziom niewidzialne,  
 Rodzą się, umierają, bezpieczne siedliskiem,  
 Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.  
 W samym środku, jak słyhać, mają swoje dwory  
 Żubr ogromny i niedźwiedź, puszczy imperatory;  
 Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry  
 I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;  
 Dalej zaś, podwładne potężne wasale,  
 Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;  
 Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,  
 Żyjący z łaski państwa dworscy zausznicy.  
 Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawniej zgodzie,  
 Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie;  
 Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka,  
 Uczy się obyczajów wojny od człowieka.  
 W téjże stolicy słyhać, że lasów mocarze  
 Mają swe niezbadane od ludzi cmentarze.  
 Bo wiadomo, że w miejscach kędy człowiek gości  
 Nigdy nie znaleziono zmarłych zwierząt kości:  
 Gdyż każdy zwierz raniony lub w ciężkiej chorobie  
 Na cmentarz bieży spocząć w przodków swoich grobie.

## II.

Głupi niedźwiedziu! i t. d.

Któż zbadał puszczy litewskich szerokie krainy,  
 Ich cienie nieprzejrzone, ich wewnętrzne głębiny?  
 Gdzie z borów bory, z gęstych gęstsze ciągną knieje;  
 Strach tylko albo bajka wie co się w nich dzieje,  
 Nie lęka się rybaków dno przepastne morza,  
 I myśliwiec nie zgwałci puszczy litewskich łoża;  
 Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice,  
 Lecz obce mu ich serca, życia tajemnice.  
 Są tam, jakby za światem, w ukryciu głębokiem,  
 Miejsca nigdy człowieka niezbadane okiem.  
 Tam od wieków, panują puszczy imperatory:  
 Żubr pyszny, niedźwiedź groźny, ze swoimi dwory;  
 Syn panuje po ojcu; bezpieczni siedliskiem,  
 Żaden z ich przodków ludzkim nie zginął pociskiem,  
 Blisko nich téż żyjący, nie tak okazale,

Wilcy ich ministrowie, dziki ich wasale,  
 A nad nimi latają niby zauszniczy,  
 Sępy i orły, gromów i burz posłannicy.  
 Człowieka tam nie znają. Onby mógł niezbrojny  
 W środku tych zwierząt strasznych przechodzić spokojny!  
 Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
 Jakim w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia,  
 Ojce ich pierwsze, co ich rody zaczynały,  
 Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.  
 Nikogo nie zawiodły w głębie tych przepaści  
 Ni ciekawość nauki ni łotrów napaści.

Czasem tylko i t. d.

Str. 106, po w. 23.

„...A co się onych tyczy, Domeyki z Doweyką –  
 Mieli dwory w sąsiedztwie, nad rzeką Wilejką.  
 Bywali u mnie często; chociaż ja daleko  
 Od nich miałem folwark mój po nad Uszą rzeką.  
 „Asesorze, jeżeli i t. d.

Str. 155, po w. 30.

Ot plan pruski! po cichu, szu, szu, szu, uzbrajać...  
 Czy my szczury! Mamy tu jako baby bajać?

Str. 160, po w. 24.

Była wieść, że od przodka Dobrzyńskich ta klinga  
 Wydarta pod Grunwaldem z rąk mistrza Junginga.

Str. 177, zamiast w. 34 i 35.

W przypadku wojny, ty wiesz com ja przysposobił:  
 Pamiętaj żeś Soplica; zrób czegoś nie zrobił:

Str. 216, po w. 21.

Objaśnia świat, i znowu zamyka się w chmurach;  
 I znowu ryknie piorun po lasach i górach.  
 Wreszcie ucichło. Szumią tylko wielkie drzewa,  
 A w koło szmerze ciąga i gęsta ulewa.

Str. 219, po w. 19.

Potém dłonie powoli podniósł i otworzył,  
 Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:  
 „Płut już nie będzie gadać! Potrzeba tak było  
 Koniecznie... Co zrobiło, to się już zrobiło...“

Wreszcie dłonie opuścił i palcami chrząsał,  
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsał.

Str. 221, zamiast w. 16.

Mówilem z Telimeną, sam na sam we czworo  
Oczu: i ona, moją zwalczona perorą,  
Dawnym układom naszym wcale nie przeszkadza;  
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.

Str. 222, zamiast w. 11 i następnych.

Przecież powiem otwarcie: dziś te zaręczyny  
Do skutku przyjść nie mogą... z mojej własnej winy..  
Nie godzien jestem wcale dziewicy niewinnej,  
Takięj nadobnej, dobrej, i takięj dziecinnęj.  
Nie pytaj mnie o więćej... Czyli tak los zrządził,  
Czy własna moja wina: dosyć, żem pobłądził...  
Jesteśmy młodzi; jeśli Zosia czekać raczy,  
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,  
Może stałością na jęj wzajemność zarobię,  
Może troszeczką chwały me imię ozdobię,  
Może wrócim do Litwy... Wtenczas, stryju drogi,  
Przybiegnę ci przypomnieć, upaść pod twe nogi;  
Wtenczas na klęczkach miłą powitam Zosienkę,  
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę...  
Ale teraz... byłaby największa nikczemność,  
Przeniewierzywszy się jęj, prosić o wzajemność!

Str. 225, zamiast w. 11 i 12.

(Tu pokazała palcem na wstążkę czerwoną,  
Jęj rękami do fraka Hrabi przyszpiloną).

Str. 226, zamiast w. 23 i 24.

A jako lekarz ciała łagodzący bole,  
Ręką je miękka gładzi, nim ostrzem zakole:

Str. 226, zamiast w. 33 i 34.

Jak ryś, nim z drzewa spadnie myśliwcowi w oczy,  
Sierć nadyma, wąs wznosi, i ogonem toczy...

Str. 228, po w. 19.

Bo jeszcze wtenczas góry żydowstwo nie brało,  
I pieniąż, bóg dzisiaj, miał czcicieli mało...

Str. 229, po w. 10.

O mych dawnych miłośkach... Bo prawda, niestety,  
 Że już bałamucilem i dawniej kobiety;  
 Zwyczajnie, młody głupiec... On gadając o tem  
 Przy swojej córce, serce mi przeszywał grotę;  
 I po takich wspomnieniach, w rozpaczy i gniewie  
 Czulem, że już nie mogłem mówić mu o Ewie...  
 Ach, gdyby on przyzwolił: byłbym się poprawił,  
 Ustatkował i z żoną wiek szczęśliwy strawił...  
 A wszakże... wielka moja wina, Panie Boże!  
 Otóż pycha!... Stało się... odstać się nie może...  
 Panie świeć jego duszy!...

Str. 230, zamiast w. 10 i następnych.

Raz pamiętam, nie wiedząc jak sobie poradzić,  
 Umyśliłem w obce się strony wyprowadzić,  
 Uciec, schować się... Jadę pożegnać Stolnika i t. d.

Str. 231, zamiast w. 30 i następnych.

Wiosenna gąsienica! Z rodzimego drzewa,  
 Zerwać ją, byłoby ją zabić!... Czulem, że Ewa  
 Nie przeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa,  
 Nie przeżyłaby nigdy rodziców przekleństwa:  
 Nie mogłem, nie!...  
 Pomścić się? na głowę mu zwalić zamku gruzy?  
 Wstyd! bo by powiedziano żem mścił się rekuzy:  
 Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewczkę,  
 Jacek Soplica mścił się, za czarną polewkę!...  
 Kluczniku, i t. d.

Str. 231, po w. 7.

Tak szatan zawsze radzi, zbrodnią leczyć winę,  
 I ze złej drogi radzi uciekać w głębinę...

Str. 232, zamiast w. 30.

Jeszcze nie skończył!... Prawda, że pierwszy raz w życiu  
 I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu,  
 Na dnie sumienia... Niech mi to Pan Bóg wybaczy!

Str. 235, zamiast w. 23 i następnych.

Nie mam, rzeczce, już żadnej do Waści urazy;  
 Lecz nie mogę bez mego szlachectwa obrazy  
 Dotykać ręki i t. d.

Str. 237, po w. 12.

Przybrawszy sobie imię, któżby się chciał wsławić,  
 Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić?...  
 Tyle mi wolno wyznać: żem żył dla ojczyzny,  
 Żem najmilój te spełniał rozkazy starszyny,  
 Gdzie wiele niebezpieczeństw, mało było sławy.  
 Przemilczę różne moje za krajem wyprawy...  
 Milój sobie i t. d.

Str. 238, po w. 19.

Nieboszczyk był Pan, prawda, może trochę dumny,  
 Bo téż miał z czego... ale święty i rozumny!

Str. 241, zamiast w. 3 i 4.

Po niebie i po ziemi toczą wzrok żaloszny,  
 I uważają dziwne wróżby owój wiosny.

Str. 241, po w. 10.

Na niebiosach, jako nie granatnych paciórek,  
 Już czerni się żórawi długi, wążki sznurek;

Str. 241, zamiast w. 35 i następnych.

Który sam, prócz leśników, nie znał innych ludzi,  
 Teraz w swojej lubianej chałupie się budzi,  
 Teraz widzi i t. d.

Str. 242, po w. 22.

Urodzajna, zasiała w głębi mojej duszy  
 Ziarna, których niedoli chwast nigdy nie zgłuszy...

Str. 261, zamiast w. 1 i następnych.

Z tych mówców i z tych kupek wprawne oko zgada,  
 Że to przedsejmikowa domowa narada.  
 Ci mówcy kandydata są to przyjaciele.  
 Zamawiają dlań kréski; lecz ja powiem śmieie,  
 Że się wybór nie uda: widać z min słuchaczy,  
 Że niechętni, i kilku mówców jest w rozpaczy.

Str. 263, zamiast w. 29 i następnych.

Tymczasem, serwis dalej zmieniał pory roku.  
 Powierzchnia jego, oschła z konfitur potoku,  
 Zieloną, różnobarwną zabłysnęła wiosną.  
 Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosna;



Pszenica z cukru, żółtym malowna szafranem  
 Na kłosach przysypana liściem pozłacanym,  
 Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies blade,  
 I gryka, wyrobiona sztucznie z czekolady.  
 Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie,  
 Wydając na jaw owoc, dojrzały jak w lecie:  
 Sapieżanki i dule i jabłka i bery,  
 Zielone, malinami skrapiane, szpalery.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć;  
 Darmo proszą Wojskiego, żeby je przedłużyć.  
 Bo serwis jako świat nasz, koniecznym obrotem  
 Zmienia kształt. Już owoce malowane złotem,  
 Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją,  
 Upadają z gałązek, liście czerwienieją,  
 Sypią się: rzekłbyś, iż wiatr jesienny powiewa.  
 Nakoniec, owe chwilą przedtém strojne drzewa,  
 Teraz, jakby odarte od wichrów i szronu,  
 Stoją nagie: były to laski cynamonu,  
 Lub udające sosnę gałązki wawrzynu,  
 Odziane zamiast koleców ziarenkami kminu.  
 Goście pijący wino, zaczęli gałązki,  
 Pnie i korzenie zrywać, i gryźć dla zakąski.

Lecz na końcu serwisu stał porcelanowy  
 Dom, jakoby dwór pański prześlicznej budowy,  
 Gustem włoskim podobny do owych pałaców,  
 Które w Litwie stawiała familia Paców.  
 W tym domu otwarły się na sprężynach bramy,  
 I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy  
 Na koniach piernikowych; a wiodą na smyczy  
 Charty z ciasta; za nimi orszak obławniczy  
 Z flintami, z oszczepami, prowadzący sfory  
 Ogarów; dalej sieci ciągną się tabory,  
 Henryk Dąbrowski i t. d.

Str. 265, po w. 20.

Ta książka dostała się w me ręce trafunkiem;  
 Składam ją u nóg, z winnym zostając szacunkiem,  
 Mnie wielce Mościwego Pana Dobrodzieja...

Lecz Wojskiemu głos przerwał Rejent, krzyząc: „Knieja!  
Knieja źle jest udana; ale za to charty  
Wyborne! Ten szczególnie: ma ogon zadarty  
Jak mój Kusy, i tutej on bieży na przedzie  
Przed drugim, co jak suseł... Nie prawda, sąsiedzie?...“  
Asesor przeczy: „Jeśli wyprzedza na stole,  
Inaczéj było w polu: co stół to nie pole...“

Lecz Wojski kończył, kielich napelniając trunkiem:  
Książka dostała mi się szczególnym trafunkiem.

Str. 266, po w. 20.

Gdzieś podział, panie Maćku, towarzyszków broni?  
Panie Sędzio, racz prosić, niech przyjdą i oni!

Str. 267, zamiast w. 3 i następnych.

O którym mnie Pan Sędzia tyle prawił cudów,  
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.  
Może Pan Wojski, jako świadek i historyk  
Téj bitwy, opowie nam, gdzie jest ów Scyzoryk?

Str. 270, po w. 11.

Tu widzę inni ludzie, niż byli w mych latach.  
Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,  
Manewrach; noszą tylko lance, karabiny.  
Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny!  
Widziałem dwóch Potockich — i któż tu uwierzy?  
Szwędających się konno samych, jak żołnierzy!  
A to byli synowie Potockiego Jana,  
Wprawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana!  
Jeden zwie się Arturem, a drugi Alfredem:  
Myślalbyś że ten Niemiec, a tamten jest Szwedem...  
Kto to wszystko rozumie!... To grenadjery,  
To znowu fizyljery, to znów wołtyżery:  
Więcój tu pono Niemców, niżeli Polaków;  
Ni Husarzy nie widać, ni Pancernych znaków!  
A szable... a mój Boże! wszak to kara nieba!  
Tymi szablami u nas nie ukroisz chleba...  
A muszą téż być z Niemcem Turki czy Tatary,  
Czy syzmatyki: bo to ni Boga ni wiary!  
Kobiéty napastują, w kościołach nocują,

Z kołmi śpią na ołtarzach a nawet rabują!  
 Na Litwina uderzył cesarz jak na wroga...  
 Idzie, mówią do Moskwy... Daleka to droga!  
 Pono Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga.  
 Słyszałem, że już popadł pod kłątwy biskupie;  
 Słowem dzieło... — Tu Maciej chleb umoczył w zupie,  
 I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Str. 272 po w. 24.

I zdrapię ci policzki i oczy ci wydrę!...  
 Hrabia ze zgrozą na nią spojrział jak na hydrę:  
 „Widzę, rzecze do niej, żeś w nim zakochana:  
 Dowodzi tego nagle charakteru zmiana.  
 I czegoż to nie mogą miłości płomienie?  
 W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie!  
 Przebaczam ci, bym szczęścia twojego nie kłócił...“  
 To wyrzekłszy, ze wzgardą od niej się odwrócił;  
 I ażeby niewierną zapomnieć kochanki,  
 Obrócił serce swoje do Podkomorzanki.

Str. 274, zamiast w. 7 i 8.

Obaczysz Tadeuszu: nim kilka lat minie,  
 Będziesz miał z twojej Zosi sławną gospodynię.

Str. 275, zamiast w. 28 i następnych.

Skomponował go rymem wiejski organista.  
 Już Protazy przeczytał brzmiących wierszy trzysta,  
 Aż gdy doszedł do miejsca, gdzie fortunne kresy,  
 Z prawnymi kombinując serdeczne procesy,  
*Mądrość* (Zofia) z *Bożym darem* (Tadeuszem)  
 Zechciały dożywoćnym sprząć himeneuszem...  
 Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali,  
 Niby chwając i t. d.

KONIEC TOMU III-go.



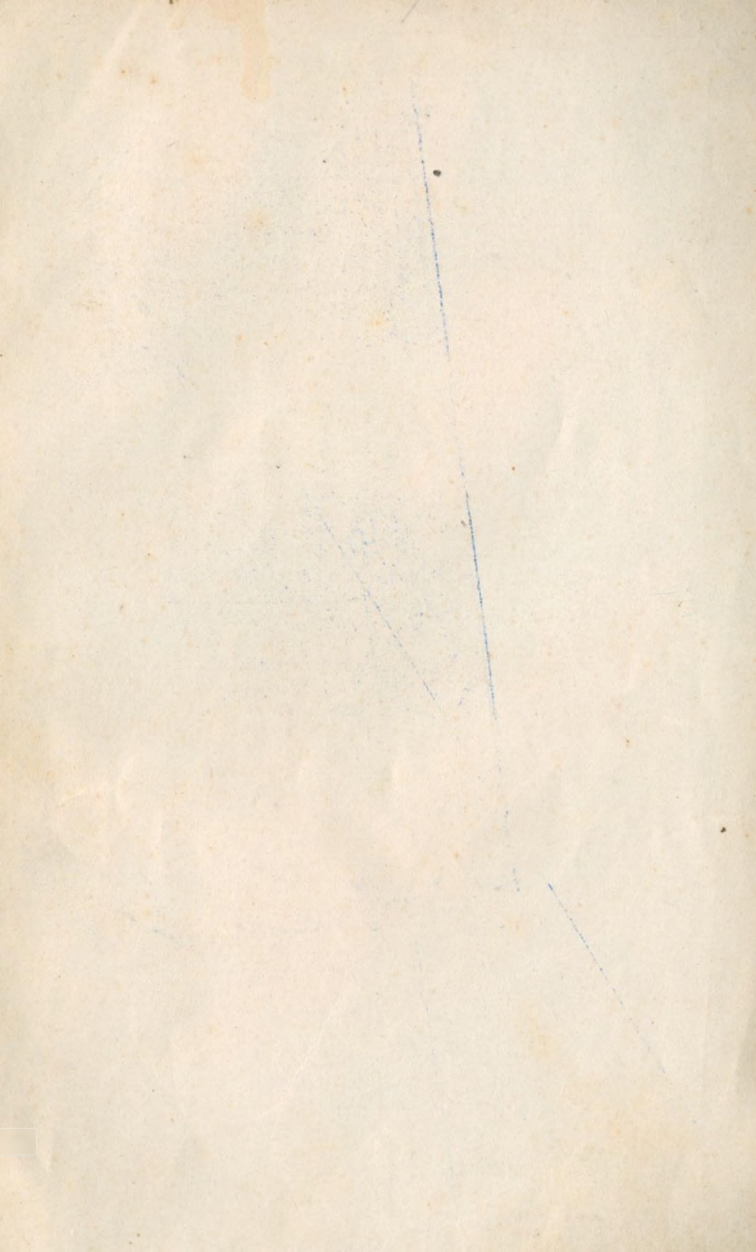


# SPIS RZECZY.

	Str.
KSIEGA I. Gospodarstwo. Powrót panicza. — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu. — Ważna Sędziego nauka o grzecznosci. — Podkomorzego uwagi polityczne nad modami. — Początek sporu o Kusego i Sokola. — Zale Wojskiego. — Ostatni Woźny trybunału. — Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.	9
KSIEGA II. Zamek. Polowanie z chartami na upatrzonogo. — Gość w zamku. — Ostatni z dworzan opowiada historią ostatniego z Horeszków. — Rzut oka w sad. — Dziewczyna w ogórkach. — Śniadanie. — Pani Telimeny anegdota petersburska. — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokola. — Interwencya Robaka. — Rzecz Wojskiego. — Zakład. — Dalej w grzyby . . . . .	36
KSIEGA III. Umizgi. Wyprawa Hrabł na sad. — Tajemnicza nimfa gęsi pasie. — Podobieństwo grzybobrania do przechadzki cieniów elizejskich. — Gatunki grzybów. — Telimena w świątyni dumania. — Narady dotyczące się postanowienia Tadeusza. — Hrabia pejzażysta. — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami. — Hrabiego myśli o sztuce. — Dzwon. — Bilecik. — Niedźwiedź Mospanie ! .	60
KSIEGA IV. Dyplomatyka i łowy. Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Zapóźne postrzeżenie omyłki. — Karczma. — Emisaryusz. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusyę na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagalasówki z Sanguszkówką rozstrzygniony na stronę jednorurki Horeszkowskięj. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce . . . . .	83
KSIEGA V. Klótnia. Plany myśliwskie Telimeny. — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki. — Strzelcy wracają. — Wielkie zadziwienie Tadeusza. — Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek. — U stołu wytacza się rzecz o łowach. — Powieść Wojskiego o Rejtanie i księciu Denasów, przerwana. — Zagojenie układów między stronami, także przerwane. — Zjawisko z kluczem. — Klótnia. — Hrabia z Gerwazym odbywają radę wojenną . . . . .	111



- KSIEGA VI. Zaścianek.** Pierwsze rady wojenne zajazdu. — Wyprawa Protazego. — Robak z panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej. — Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznej. — Ustęp o konopiach. — Zaścianek szlachecki Dobrzyń. — Opisanie domowstwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego . . . . . 136
- KSIEGA VII. Rada.** Zbawienne rady Bartka, zwanego Prusak. — Głos żołnierski Maćka Chrzyciela. — Głos polityczny pana Buchmana. — Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk rozcina. — Rzec Gerwazego, z której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej. — Protestacya starego Maćka. — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę. — Hejże na Soplicę! . . . . . 153
- KSIEGA VIII. Zajazd.** Astronomia Wojskiego. — Uwagi Podkomorzego nad kometami. — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego. — Tadeusz, chcąc zręcznie wyplątać się, wpada w wielkie kłopoty. — Nowa Dydo. — Zajazd. — Ostatnia woźnieńska protestacya. — Hrabia zdobywa Soplicowo. — Szturm i rzeź. — Gerwazy piwniczym. — Uczta zajazdowa . . . . . 169
- KSIEGA IX. Bitwa.** O niebezpieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania. — Odsiecz niespodziana. — Smutne położenie szlachty. — Odwiedziny kwestarskie są wróżbą ratunku. — Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę. — Wystrzał z krucicy, hasło boju. — Czyny Kropiciela, czyny i niebezpieczeństwa Maćka. — Konewka zasadzką ocala Soplicowo. — Posiłki jezdne, atak na piechotę. — Czyny Tadeusza. — Pojedynek dowódców przerwany zdradą. — Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju. — Czyny krwawe Gerwazego. — Podkomorzy zwycięzca wspaniałomyślny . . . . . 192
- KSIEGA X. Emigracya.** Jacek. Narada tycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców. — Układy z Rykowem. — Pożegnanie. — Ważne odkrycie. — Nadzieja. . . . . 214
- KSIEGA XI. Rok 1812.** Wróżby wiosenne. — Wkroczenie wojsk. — Nabożeństwo. — Rehabilitacya urzędowa ś. p. Jacka Soplicy. — Z rozmów Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec procesu. — Umizgi ulana z dziewczyną. — Rozstrzyga się spór o Kusego i Sokola. — Zaczem goście zgromadzają się na biesiadę. — Przedstawienie wodzom par narzeczonych . . . . . 240
- KSIEGA XII. Kochajmy się.** Ostatnia uczta staropolska. — Arcyserwis. — Objasnienie jego figur. — Jego ruchy. — Dąbrowski udarowany. — Jeszcze o Scyzoryku. — Kniaziewicz udarowany. — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa. — Uwagi Gerwazego. — Koncert nad koncertami. — Polonez. — Kochajmy się . 259
- Objasnienia i Waryanty . . . . . 285



1999-01-28

*erb*

05. 1999

*Handwritten signature*

*da*

*Lat. paper*

2009-09-03

2012-09-25

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

521658